MAGDA

STACHULA

ODNALEZIONA

I TAK CIĘ ZNAJDĄ

thriller

MAGDA

STACHULA

EDIPRESSE
KSIĄŻKI

Copyright for the Polish Edition © 2021 Wydawnictwo Edipresse Sp. z o.o.
Copyright for the Text © 2021 Magdalena Stachula-Nieścioruk

Wydawnictwo Edipresse Sp. z o.o., ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa

Dyrektor Zarządzająca Segmentem Książek: Iga Rembiszewska
Senior Project Manager: Natalia Gowin
Produkcja: Klaudia Lis
Marketing i promocja: Renata Bogiel-Mikołajczyk
Digital i projekty specjalne: Tatiana Drózdż
Dystrybucja i sprzedaż: Izabela Łazicka (tel. 22 584 23 51)

Redakcja: Katarzyna Wojtas
Korekta: Dorota Bielska, Katarzyna Wojtas, Edytorial.com.pl, Izabela Jesiołowska
Projekt okładki i stron tytułowych: Pawel Panczakiewicz//PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN – www.panczakiewicz.pl

Zdjęcia na okładce: Pexels

Biuro Obsługi Klienta
e-mail: bok@edipresse.pl
tel.: 22 278 2519
(pon.–pt. w godz. 8:00–17:00)

facebook.com/edipresseksiazki
facebook.com/pg/edipresseksiazki/shop
instagram.com/edipresseksiazki

ISBN: 978-83-8177-658-5

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kodowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiejkolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych w całości lub w części tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie Zecer firmy Elibri

Spis treści

Strona tytułowa
Karta redakcyjna
Dedykacja

Prolog
Część pierwsza
- Lena
- Emil
- Nikodem
- Lena
- Emil
- Nikodem
- Lena
- Anna
- Nikodem
- Lena
- Emil
- Lena
- Anna
- Lena
- Emil
- Lena
- Nikodem
- Anna
- Nikodem
- Emil
- Nikodem
- Lena
- Nikodem

Część druga
- Lena
- Emil
- Lena
- Nikodem
- Lena
- Nikodem
- Emil
- Anna
- Emil
- Lena
- Emil

Nikodem
Lena
Emil
Nikodem
Emil
Anna
Nikodem
Emil
Lena
Anna
Nikodem
Anna
Lena
Nikodem
Lena
Anna
Lena
Anna
Nikodem
Anna
Lena
Anna
Nikodem
Lena
Emil
Część trzecia
Nikodem
Anna
Nikodem
Emil
Lena
Nikodem
Anna
Emil
Lena
Anna
Nikodem
Lena
Anna
Emil
Epilog

Od autora
Podziękowania

KOCHANEJ CIOCI HANI
– SILNEJ, WRAŻLIWEJ
I WSPANIAŁEJ KOBIECIE

PROLOG

Kopenhaga
Droga z Tingbjerg w kierunku centrum

Rower leżał na poboczu, tylne koło było wygięte do góry, łańcuch przysypany żwirem, a wiklinowy koszyk zwisał z wykrzywionej kierownicy. Kierowca volvo zwolnił, choć i tak jechał powoli, nie więcej niż trzydzieści na godzinę, bo właśnie wychodził z ostrego zakrętu. Kolor ramy roweru przyciągnął jego uwagę, soczysta mięta. Znał się na barwach jak mało który mężczyzna, był projektantem w jednym z największych kopenhaskich domów mody. Stylowa zieleń ramy kontrastowała z jaskrawą żółcią w tle.

Jego serce na moment zamarło, włączył światła awaryjne i zatrzymał samochód, w niebezpiecznym miejscu, tuż za zakrętem. Wyskoczył z auta, drobne krople deszczu migotały w blasku włączonych reflektorów, kiedy przebiegał przed maską. Zatrzymał się przy rowerze i zastygł bez ruchu. Spod żółtej peleryny wystawały nogi kobiety. Nie mylił się, pierwsze wrażenie okazało się tym właściwym. Ktoś jest ranny i potrzebuje natychmiastowej pomocy. Nachylił się nad ofiarą wypadku, chwycił za ociekającą deszczem pelerynę, przewrócił kobietę na plecy.

Młoda i martwa twarz. Przyszło mu na myśl, że kobieta musiała podobać się facetom, chociaż teraz niewiele zostało z jej atrakcyjności.

Pęknięta czaszka, zasychająca krew na skórze skroni i włosach – w jednej sekundzie zrozumiał, że jest już za późno. Niekontrolowany cichy jęk wydobył się z jego ust, wiedział, że ten obraz pozostanie z nim na długo.

Zaczął klepać się po klatce piersiowej w poszukiwaniu telefonu komórkowego, po chwili wyjął smartfon z wewnętrznej kieszeni płaszcza. Już miał wybrać numer alarmowy, gdy nagły impuls zablokował ruch jego palca po wyświetlaczu.

A jeśli mu nie uwierzą? Jeśli policja uzna, że to on potrącił kobietę? Nie powinien się w to mieszać. Jej nikt już nie pomoże, a jemu może tylko zaszkodzić. Jest znaną i wpływową osobą, nie potrzebuje problemów, wizyt na policji, zeznań w sądzie. Jeżeli teraz odjedzie, nikt się nie dowie, że tu był, a za dwadzieścia minut zaszyje się w swoim przytulnym apartamencie w centrum Kopenhagi. Mógł słuchać muzyki, być skupionym na drodze, nie patrzeć na boki, poza tym się ściemnia, dosłownie za kilka chwil zapadnie

zmrok, widoczność jest utrudniona. Nie jest spostrzegawczą osobą, siąpi deszcz, po prostu nie zauważył roweru ani ciała kobiety na poboczu. Jutro rano ma lot do Nowego Jorku, fashion week, na który czekał od wielu tygodni. Kto wie, czy zeznania w sprawie wypadku nie zatrzymają go w kraju, a na to nie może sobie pozwolić. To nie jego sprawa, ktoś, kto potrącił kobietę, uciekł z miejsca wypadku, za to grozi więzienie, ale on nie ma z tym nic wspólnego.

Pośpiesznym krokiem wrócił do samochodu, wyłączył światła awaryjne i ruszył przed siebie. Najpierw powoli, a potem coraz szybciej. Co chwilę zerkał we wsteczne lusterko, jakby się bał, że nagle ktoś pojawi się za nim. Na szczęście nikt nie jechał, być może kolejny kierowca, tak jak on kilka minut wcześniej, z ciekawości zatrzymał się przy kobiecie, a poza tym to mało uczęszczana droga.

To spostrzeżenie sprawiło, że niepokój znów dorwał mu się do gardła. To nie mógł być wypadek. Wychodząc z ostrego zakrętu, nie jedzie się szybko, mało prawdopodobne, żeby śmiertelnie potrącić rowerzystę, co najwyżej lekko zranić. Oczywiście bywają wyjątki, ale jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mu, że ktoś celowo to zrobił. Wjechał w kobietę, bo chciał ją zabić. Być może jego podświadomość zarejestrowała drobny szczegół, ulotne wrażenie, które jasno wskazywało na morderstwo, a nie nieszczęśliwy wypadek? Teraz nie potrafił sobie przypomnieć, nazwać po imieniu, ale czuł, że w tamtym miejscu zdarzyło się coś złego.

Nacisnął pedał gazu, nie chciał już wracać myślami do martwej kobiety, tylko jak najszybciej znaleźć się w domu. Wziąć ciepłą kąpiel i zapaść się w miękki fotel z kieliszkiem bourbona w dłoni. Jutro o tej porze będzie wysoko, w przestworzach nad Oceanem Atlantyckim, z dala od Kopenhagi i przyziemnych spraw.

Z przeciwnej strony nadjeżdżała biała furgonetka. Poczuł, że się poci. Był dobrych kilka kilometrów od miejsca zdarzenia, po drodze minął parę zjazdów. Kierowca busa jechał szybko, wątpliwe, żeby zwrócił na niego uwagę. Poza tym wcale nie musi kierować się w tamtą stronę i natrafić za kilka minut na martwą dziewczynę na poboczu. I, do cholery, przecież jest niewinny, dlaczego martwi się, że ktoś go widział, oskarży o morderstwo lub nieudzielenie pomocy?

Skręcił w kierunku swojego osiedla, starł pot z czoła, wyłączył ogrzewanie, sięgnął po pilota i otworzył bramę do podziemnego garażu. A jeśli ta kobieta jeszcze żyła, a jego telefon mógł jej pomóc? To niemożliwe, przecież widział jej twarz, była martwa. Po co wybrał tamtą drogę, teraz ma tylko przez to wyrzuty sumienia. Wiedział, że nie zagłuszy ich lampka najlepszego trunku. Zaparkował samochód, wyłączył silnik i wysiadając z auta, zauważył, że do butów ma poprzyklejane liście. Wdepnął w nie tam, w miejscu morderstwa. Zrobiło mu się niedobrze. Może liście trzymają się na lepkiej i gęstej krwi tamtej kobiety?

Odruchowo zaczął wycierać buty o kratkę kanalizacyjną, by pozbyć się brudu. A jeśli zostawił ślady podeszew swoich butów na innych liściach, odciski palców na pelerynie denatki? Musi się uspokoić, nie ma nic wspólnego z tamtym zdarzeniem, nie jest winny jej śmierci. Padający deszcz zmyje ślady jego obecności, może być spokojny. Chociaż ruszając w stronę windy, wiedział, że ten wieczór nie będzie należał do łatwych. I wszystko przez nieznajomą dziewczynę, kobietę, która dzisiaj nie wróci do domu, której ktoś niebawem zacznie szukać, a może nawet już szuka. Jeszcze dziś wieczorem, najpóźniej jutro, zostanie odnaleziona, a świat jej bliskich legnie w gruzach.

Kim była? Dlaczego ktoś ją zabił? I kim jest morderca? Pytania bez odpowiedzi były czymś, czego nie znosił, za to one uwielbiały jego. Wiedział, że nie zazna spokoju, dopóki nie pozna prawdy.

CZĘŚĆ PIERWSZA

PRZED ZABÓJSTWEM

LENA

11 września 2019
Kopenhaga

Siadam na łóżku z bijącym sercem. Kręci mi się w głowie, pokój przed moimi oczami wiruje, coś mnie zbudziło, jakiś hałas. Dźwięk tłuczonego szkła? Ktoś rozbił szybę i wtargnął do domu?

Gwałtownie podrywam się z pościeli, serce wali z zawrotną prędkością, krew pulsuje w uszach, znów zawrót głowy, za szybko wstałam, przytrzymuję się szafy, żeby nie upaść. Łapię równowagę i na koszulę nocną zarzucam szlafrok leżący na fotelu. Pasek wypadł ze szlufek, ale nie mam czasu się po niego schylać. Powinnam uciekać. Głos w mojej głowie łomocze z coraz większą siłą. Znaleźli mnie, wiedziałam, że kiedyś to nastąpi. Nigdy i nigdzie nie będę bezpieczna. Ukradli mi przyszłość i nic tego nie zmieni.

Drzwi do mojego pokoju nie mają zamknięcia, a nawet gdyby, dla nich to żadna przeszkoda. Podbiegam do okna i odsłaniam rolety. Świta. Blade promienie słońca muskają fasadę kamienicy po przeciwnej stronie ulicy. Mój pokój znajduje się na zaadaptowanym poddaszu, nie uda mi się tędy uciec. To już koniec. Jak w ogóle byłam w stanie choć przez chwilę myśleć, że mogę spać spokojnie po tym, co się zdarzyło? Przeklinam siebie za naiwność. Uciekać! Powinnam się na tym teraz skupić. Ale jak i dokąd? Może się schować? W szafie, pod łóżkiem, na balkonie?

W popłochu rozglądam się po pokoju, z korytarza dobiega odgłos przesuwanego po podłodze szkła. Żadnych rozmów, kroków, nikt po mnie nie idzie? Otwieram drzwi i wyglądam na korytarz. Szur, szur, szur, tępy odgłos dochodzący z dołu, spokojny, wręcz nienaturalnie powolny. Na palcach podchodzę do szczytu schodów i widzę kawałki szkła na deskach, a potem słyszę pochlipywanie. Cichy szloch. A więc to nie oni? Nie ma tu nikogo oprócz mnie i pani Sary?

Zbiegam po schodach i dostrzegam ją na środku salonu, siedzi na swoim wózku inwalidzkim i w ręku ściska trzonek miotły.

– I na dodatek jeszcze ciebie zbudziłam – mówi, podnosząc na mnie wzrok.

– Pani Saro, co się stało? – pytam, kucając przed nią.

Chwytam za jej dłonie, są zimne i pomarszczone.

– Rozbiłam wazon – mówi. – Ten po prababce Larsa, to był Holmegaard – dodaje, spoglądając na mnie smutno. Przywołuje najstarszą hutę szkła w Danii, słynącą z wysokiej jakości przedmiotów o ponadczasowej i eleganckiej formie, już kilkukrotnie opowiadała mi historię tego wazonu. – Ale niezdara ze mnie. Ręce się trzęsą, a chciałam słoneczniki wstawić do wody, wczoraj wieczorem Søren przyniósł.

Ma na myśli sąsiada spod szóstki. Emerytowanego profesora nauk społecznych, wieloletniego przyjaciela pani Sary i jej męża Larsa. Pani Sara uważa, że słoneczniki są najpiękniejszymi kwiatami na świecie, gdy tylko jedne uschną, w wazonie pojawiają się kolejne.

– Są jak słońce, nie znam osoby, która nie uśmiecha się na ich widok.

Mówi tak za każdym razem, gdy układa z nich świeży bukiet i stawia w swoim ulubionym wazonie, którego kolorowe fragmenty leżą teraz pod moimi gołymi stopami.

– Proszę mi to dać. – Biorę od niej zmiotkę i pochylam się nad rozbitym wazonem.

– Włóż kapcie – prosi. – Jeszcze wdepniesz w odłamek szkła.

Posłusznie wbiegam do swojego pokoju i wsuwam na nogi klapki.

– Wobec starości człowiek jest taki bezradny – mówi, kiedy znów jestem na dole.

Pani Sara z natury jest pogodną osobą, rzadko kiedy bywa smutna czy przygnębiona, ale czasem jakieś wydarzenie zakłóca jej życiowy zen i potrzebuje kilku godzin, by znów wrócić do dobrej formy. Mówi wtedy, jak ważne jest życiowe *hygge*. Słyszałam o tym terminie, ale nie sądziłam, że naprawdę tak często to słowo jest wypowiadane w Danii. Pani Sara właściwie w każdej sytuacji wtrąca je do naszych rozmów, sprawnie zastępując nim kilka polskich przymiotników, jak „przyjemny", „przytulny", „urokliwy", teraz też rozwodzi się na ten temat. Zastygam z miotłą w dłoni i zerkam na nią, zastanawiając się, co by zrobiła, gdyby była na moim miejscu. Czy w mojej sytuacji też umiałaby odnaleźć *hygge*?

A może zaryzykować i zdobyć się na szczerość wobec niej? Przyznać się, co zrobiłam, z jakiego powodu kilka miesięcy temu przyjechałam do Danii i zdradzić, dlaczego muszę się ukrywać? Zrzucić z siebie ten cały ciężar, wygadać się… Tylko czy ona potrafiłaby mnie zrozumieć?

– Smucisz się? – pyta nagle. – Z powodu tego wazonu?

– Nie – protestuję, podnosząc się z kolan.

Emocje wyryte na mojej twarzy nie mają nic wspólnego ze zbitym wazonem, chciałabym mieć tylko takie problemy.

– Na targu staroci kupimy nowy. – Uśmiecham się, wyrzucając zawartość szufelki do kubła na śmieci.

Mój puls zwolnił, nadal jestem bezpieczna, ukryta w domu staruszki w centrum Kopenhagi. Tu, w jej obecności, nic mi nie grozi, mogę się uspokoić. Odkładam szufelkę do szafki w przedpokoju i ruszam w stronę kuchni.

W pomieszczeniu czuć zapach ryby i cebuli, które wczoraj pani Sara jadła na kolację. Podchodzę do okna i otwieram je na oścież, wpuszczając rześkie powietrze do mieszka-

nia. Opłukuję ręce nad zlewem i sięgam po płócienną szmatkę z napisem po duńsku: *hav en god dag* znaczącym: miłego dnia. Mimo że pobudka była nieprzyjemna, to będzie dobry dzień, obiecuję sobie w myślach.

– Zrobię nam śniadanie, a potem pójdziemy na spacer – mówię, wyjmując pieczywo z chlebaka. – Zapowiada się piękny dzień, trzeba to wykorzystać.

– Sernik i kawa – wtóruje mi starsza pani, pojawiając się w progu.

– I to mi się podoba.

Odwracam się w jej stronę. Szeroki uśmiech na jej twarzy sprawia, że od razu czuję się lepiej. Doceniam każdą chwilę spędzoną w obecności tej wesołej staruszki, choć nawet przez moment nie potrafię zapomnieć, dlaczego tu się znalazłam. Nie można przejść do porządku dziennego nad tym, że zabiło się człowieka.

EMIL

11 września 2019
Kopenhaga

Szpital, w którym pracuję, jest jednym z najnowocześniejszych w Danii, numer jeden w Kopenhadze. Okulistyka na światowym poziomie, coś, o czym w Polsce mogłem tylko pomarzyć. Zespół lekarzy i pielęgniarek to międzynarodowe środowisko, nie czuję się więc tu obco. Każdy ma ten sam problem – adaptacja, trudności językowe i życie z dala od swojego kraju. Wynajmuję mieszkanie niecałe dziesięć minut pieszo od szpitala. Niewielkie studio z widokiem na kanał Sortendams. Gustowne, przytulne i jasne. Jak większość mieszkańców, po Kopenhadze poruszam się rowerem.

Przeprowadzka do Danii, na którą zdecydowałem się pod wpływem impulsu – była reakcją na propozycję, złożoną mi przez Martina, mojego kolegę z Sofii, także lekarza okulistę – okazała się śmiałym krokiem w kierunku zmian w moim życiu. Chciałem, aby nastąpił moment zwrotny i nie chodziło tylko o wyższe zarobki czy lepsze możliwości w podnoszeniu kwalifikacji zawodowych, lecz także otwarcie na nowo w kwestiach osobistych. Marazm, w jakim żyłem, sprawiał, że gnuśniałem. Celowe wprowadzenie bałaganu do poukładanego życia czasem ma sens. Zależało mi, aby podobnym do siebie dniom nadać nowy koloryt.

A przede wszystkim chciałem zapomnieć o Lenie. Dziewczynie, która nagle zniknęła z mojego życia. Z dnia na dzień, bez słowa pożegnania, wyjaśnienia, zostawiając pustkę w moim sercu, swoje osobiste rzeczy w naszym mieszkaniu i całą masę pytań bez odpowiedzi. Jednak przyjeżdżając tu kilka miesięcy temu, nie sądziłem, że tak szybko spotkam nową kobietę, z którą zacznę układać sobie życie.

Młoda pielęgniarka, także Polka, była spragniona zmian i potrzebowała seksu równie mocno jak ja. Do łóżka poszliśmy na drugiej randce, a potem pozwoliłem jej wpadać do mnie, kiedy tylko miała na to ochotę. Od ponad trzech miesięcy jesteśmy parą, nie zdecydowaliśmy się zamieszkać razem, choć to byłoby finansowo najlepszym rozwiązaniem, zważywszy na fakt, że i tak większość czasu spędzamy w klinice. Ostatnio nawet kilka razy o tym wspomniała, ale nie podjąłem wątku. Uważam, że jest za wcześnie na jakiekolwiek deklaracje, a wspólne mieszkanie jest pewnego rodzaju granicznym punktem,

początkiem nowego etapu, na który mamy jeszcze czas. Dzisiaj to ona zaprosiła mnie do siebie na kolację, zapewne ze śniadaniem. Z chęcią pozwolę jej zająć się sobą.

Wychodzę z kliniki kilka minut po osiemnastej i od razu dzwonię do niej.

– Cześć, kotku – odzywa się, a w oddali słyszę, jak coś skwierczy na patelni.

– Robisz steki? – pytam.

– Jak zawsze – kwituje. – Dobrze wysmażone dla mnie i krwiste dla ciebie. Możesz kupić wino, czerwone wytrawne, w tym sklepie na rogu mojej ulicy?

– Jasne – mówię, przyciskając telefon uchem do ramienia, a ręką wpisuję kod w zapięciu od roweru.

Odpinam go, chowam zabezpieczenie do plecaka, cały czas słuchając jej wywodu na temat naszego kilkudniowego wspólnego wyjazdu do Polski. Pracuję zbyt krótko, by móc pozwolić sobie na pełnowymiarowy urlop tak jak ona, ale trzy lub cztery dni mam w planach.

– Zatrzymalibyśmy się w Międzyzdrojach – ciągnie.

Brzękają jakieś naczynia, z kranu leje się woda. Nie lubię, gdy włącza głośne mówienie, zazwyczaj proszę, aby przerzuciła się na słuchawkę, ale teraz nie robię tego, i tak mam zamiar za chwilę skończyć rozmowę.

– A potem wpadłbyś do mnie do Szczecina – rzuca. – Poznałbyś moją rodzinę.

– Pogadamy o tym, jak przyjadę – przerywam jej. – Wsiadam właśnie na rower.

Żegnam się i chowam telefon do kieszeni spodni. Nie podoba mi się plan wizyty w jej rodzinnym domu. Niby nic, ale tak jak w przypadku wspólnego zamieszkania, to także pewnego rodzaju linia graniczna, niepisana deklaracja, że coś dla siebie znaczymy, mamy wobec siebie poważne plany i niech dowiedzą się o naszym istnieniu nasi bliscy. Nie mam ochoty poznawać jej rodziny. Nie na tym etapie związku, nie teraz.

Zarzucam plecak na ramiona i wjeżdżam na Sortedam Dossering, drogę biegnącą wzdłuż kanału. Wrzesień jest wyjątkowo ciepły, choć co kilka dni niespodziewanie nad miastem przechodzi ogromna zlewa. Duńska pogoda nie jest tak beznadziejna, jak można by się spodziewać, być może zmienię zdanie, gdy przyjdzie deszczowa jesień, ale jak do tej pory nie mogę narzekać.

Jeszcze nie wiem, jak długo zostanę w Danii, kontrakt ze szpitalem podpisałem na trzy lata, z możliwością skrócenia lub przedłużenia pobytu; to dość elastyczna forma zatrudnienia, która jest mi na rękę. Od października wraz z Martinem mamy w planach zapisać się na intensywny kurs duńskiego. Obecnie znam tylko podstawowe zwroty, a język brzmi niczym bełkot nawiedzonego przez złe duchy człowieka. Czarno widzę moje sukcesy w tej kwestii, ale dam sobie i duńskiemu szansę.

Przejeżdżam trasą rowerową na drugą stronę kanału i staję na czerwonym świetle. Ruch jest duży, popołudniowe godziny szczytu, w słuchawkach przyjemnie gra Miles Davis, gdy nagle dziewczyna po przeciwnej stronie ulicy przykuwa moją uwagę. Dosłow-

nie świat na moment zamiera, jesteśmy tylko ona i ja. Auta jeżdżące w jedną i drugą stronę stanowią jedynie tło dla spektaklu, który odgrywa się przed moimi oczami. Nie ma wątpliwości, nie mogę się mylić, to ona, Lena. Pewnego dnia wyszła i już nie wróciła, a teraz idzie chodnikiem po drugiej stronie ulicy, zwinnie przemykając pomiędzy kałużami po wczorajszej zlewie. Włosy wirują na wietrze i choć nie widzę jej twarzy, nie mam cienia wątpliwości, to Lena.

Jak to w ogóle możliwe? Co ona tutaj robi? Może jednak się mylę i to tylko podobna do niej dziewczyna? Ale ten sam krok, sylwetka. Nagle się odwraca, jakby wyczuła, że ktoś jej się przygląda. Doskonale widzę jej twarz, Lena Romanowska, dziewczyna, w której powoli zaczynałem się zakochiwać i która nie dała nam szansy, abyśmy sprawdzili, czy to, co się między nami dzieje, jest prawdziwe. Muszę ją zatrzymać, poznać odpowiedzi na te wszystkie pytania, które nie opuszczały mnie przez długie tygodnie.

– Lena! – krzyczę. – Lena!

Jednak szum jadących aut i gwar ulicy nie pozwalają moim słowom dotrzeć do niej. Wyjmuję pośpiesznie telefon z kieszeni i robię zdjęcie. Nie złapałem ostrości, sylwetka dziewczyny uchwycona jest w ruchu, ale nie mam wątpliwości. To Lena. Nieświadoma tego, że ją obserwuję, schodzi do stacji metra Østerport, znikając mi z oczu.

– Szlag – klnę pod nosem.

Nie może mi teraz uciec, nie, gdy ją odnalazłem. Nerwowo podrygując nogą, wściekły, że czerwone światło wciąż świeci. Gdy wreszcie zmienia się na zielone, ruszam, przecinam ulicę i zeskakuję z roweru. W pierwszej chwili mam zamiar rzucić go i pobiec za Leną na stację metra, ale rozsądek zwycięża. Nie chciałbym, aby ktoś ukradł mi mój nowy nabytek. Choć mówią, że tutaj nikt rowerów nie kradnie, wolę nie ryzykować. Pośpiesznie przykuwam go do stojaka i puszczam się biegiem w dół. Rozglądam się na boki, ale nigdzie jej nie widzę. Nie mam karty do metra, nie mogę przekroczyć bramek, podbiegam do automatu z biletami i wtedy znów ją zauważam. Nie widzi mnie, wsiadła już do wagonika, stoi oparta o okno i szuka czegoś w torebce. Drzwi zamykają się i kolejka odjeżdża wraz z nią.

– Kurwa – klnę głośno.

Przechodnie zerkają na mnie, a wypychane przez kolejkę powietrze połyka kolejne słowa wściekłości wydobywające się z moich ust. Uciekła mi, nie udało mi się jej dogonić, ale jednego jestem pewien, to ona. I jakkolwiek brzmi to niewiarygodnie, Lena ukrywa się w Kopenhadze. A ja zrobię wszystko, by ją odnaleźć.

NIKODEM

11 września 2019
Jezioro Powidzkie

Biszkopt kopie kolejną dziurę w ziemi. Ostatnio takie niefrasobliwe zajęcie sobie znalazł mój przyjaciel labrador. Całe dnie spędza w ogrodzie, robiąc szkody, na które wcześniej mu nie pozwalałem, a teraz mu w tym nie przeszkadzam. Psiak cieszy się powrotem do dawnego życia, zupełnie tak jak ja. Od kilku miesięcy znów mieszkam w domu nad jeziorem, choć myślałem, że to już niemożliwe. Ale nie dla mojej matki. Dla niej nie ma rzeczy niemożliwych.

Gdy kilka miesięcy temu mój ojciec oznajmił, że sprzedał działkę z domkiem nad Jeziorem Powidzkim, myślałem, że to koniec. Wszystkie moje grzechy ukryłem w tym miejscu, moim skrawku ziemi i nie wyobrażałem sobie życia gdzie indziej. Nie mogłem do tego dopuścić, ale było już za późno, ojciec wymachiwał mi przed nosem umową sprzedaży i z dumną miną opowiadał, jaki niebywały interes zrobił, pozbywając się tej ziemi. Miliony scenariuszy przewijały się w mojej głowie, a każdy wskazywał na moją szybką i nieuniknioną śmierć. Nie miałem zamiaru gnić w więzieniu, a wiedziałem, że lada dzień to nastąpi. Odkryją, co zrobiłem, poznają moją tajemnicę i wsadzą mnie za kratki. To zabije matkę – prawda o mnie będzie ciosem, z którego się nie podźwignie, nie chciałem tego oglądać. Dlatego postanowiłem załatwić sprawę po swojemu. Jednak skończenie z samym sobą wymaga od człowieka nie tyle determinacji, ile fizycznej siły, a ja nie byłem w stanie wstać z łóżka, a co dopiero się zabić.

Ogarnęły mnie dziwny paraliż i niemoc. Wiedziałem, że pierwszy szok minie, zbiorę się w sobie i stanę na wysokości zadania. Potrzebuję kilku dni i zrobię to. Raz, a dobrze. Leżałem, wpatrując się w sufit i wyobrażając sobie, w jaki sposób nastąpi mój koniec. Biszkopt położył się obok łóżka, zerkając na mnie za każdym razem, gdy przewracałem się z boku na bok. Odnosiłem wrażenie, że wie, co zamierzam zrobić. Jakimś szóstym zmysłem, psim instynktem rozszyfrował mnie i dlatego nie opuszcza na krok.

Wieczorem przyszła do mnie matka.

– Nikoś, tak bywa, ta dziewczyna… – powiedziała, siadając obok mnie na łóżku. Wiedziała, że nie lubię, jak mówi o niej bezosobowo. – Lena – poprawiła się, odchrząkując. –

Nie była dla ciebie. Kiedy w końcu to zrozumiesz?

Patrzyłem niemo w sufit.

– Synku… – Zaczęła gładzić moją rękę przez kołdrę. – Czas leczy rany, zobaczysz, wszystko się ułoży.

– Ojciec – wydusiłem z siebie. – Ojciec sprzedał dom.

– Och! – Wypuściła głośno powietrze z płuc. – Miał ci tego nie mówić.

Wezbrała we mnie złość na matkę, ale nawet nie miałem siły, aby to okazać. Traktowała mnie jak chorego umysłowo, chciała decydować za mnie w każdej kwestii, zawsze lepiej wiedziała, czego potrzebuję i co jest dla mnie dobre. Zamknąłem oczy.

– Jeśli o to chodzi, uważam, że tak będzie lepiej, pozbycie się tego parszywego miejsca, które stale przypomina ci tamtą dziewczynę – zaczęła. – Tę oszustkę Lenę…

– Wyjdź! – krzyknąłem, przerywając jej. – Chcę pobyć sam!

Byłem na nią, na nich, wściekły.

– Nikoś! – Znów próbowała dotknąć mojej ręki.

– Mamo, wyjdź!

Powiedziałem to ostrym tonem, miałem ochotę użyć innych słów, dużo wulgarniejszych, i gdyby wtedy nie opuściła posłusznie pokoju, tak pewnie bym zrobił. To ona wszystko popsuła. Jeśliby nie wsadzała nosa w nie swoje sprawy, Lena nadal byłaby ze mną. A tak – uciekła, zostawiając pustkę w moim życiu. Nie chciałem i nie potrafiłem się z tym pogodzić. Nie tylko radość, lecz także grzech jest łatwiej dzielić z kimś na pół, jak mówi stara piosenka.

Następnego dnia czekałem, żeby matka wyszła z domu – ojciec już dawno wybył do pracy. Około południa usłyszałem, jak zamyka drzwi i wsiada do samochodu. Przypuszczałem, że jedzie odwiedzić ciotkę w domu spokojnej starości, zazwyczaj wpadała do niej w poniedziałki.

Wstałem z łóżka, odprowadziłem wzrokiem jej samochód i kucnąłem, by pożegnać się z Biszkoptem. Wtedy naprawdę uważałem, że widzę go ostatni raz w życiu. Był moim najlepszym przyjacielem i mocno ubolewałem, że nadszedł kres naszej relacji. Jednak nie miałem wyjścia, nie było Leny, nie było domku nad jeziorem, nie mogło być już także mnie.

Przed wyjściem celowo zamknąłem Biszkopta w domu, wiedziałem, że gdy ojciec wróci, wścieknie się. Nie znosił, gdy pies zostawał sam, czasem zdarzało się, że zrobił jakąś szkodę, ale w tamtej chwili chciałem, żeby właśnie tak się stało. Matka obroni Biszkopta, nic złego go nie spotka, natomiast ojcu popsuje to humor, a potem będzie tylko gorzej. Dotrze do nich wiadomość, że ich syn popełnił samobójstwo. Pierworodny wziętego prawnika, a skończył tak marnie. Jego nazwisko okryje się wstydem, ale zasłużył sobie na to. Gdyby nie był tak surowy w wychowaniu i szorstki w obyciu, nie byłbym tym, kim się stałem. To przez niego zawsze czułem się jak wybrakowany towar.

Chciałem zrobić to nad jeziorem, skończyć ze sobą w miejscu, które na zawsze naznaczyło moje życie. Wiedziałem, że domek jest pusty, ojciec potrzebował kilku dni, aby zabrać stamtąd nasze rzeczy, nowy właściciel jeszcze nie zdążył się wprowadzić. Gdy zaparkowałem przed bramą, trzęsły mi się ręce. Już kilka razy próbowałem targnąć się na życie, ale tamtego dnia uważałem, że tym razem nikt ani nic nie pokrzyżuje mi planów. Jednak stało się inaczej. Nie zdążyłem zacisnąć stryczka na szyi, gdy matka zjawiła się za moimi plecami.

– Nikodem, Matko Najświętsza! – Podbiegła i chwyciła mnie w pasie. Byłem od niej wyższy i silniejszy, ale jej obecność mnie zaskoczyła. – Wiedziałam, wiedziałam, że trzeba mieć na ciebie oko, jak dobrze, że posłuchałam intuicji. – Potok słów wylewał się z niej, mieszając ze szlochem. – Gdzie popełniłam błąd? Co zrobiłam nie tak?! – lamentowała.

Zrobiło mi się jej szkoda i o ile ojciec zasługiwał na bolesny cios, o tyle ona nie powinna go otrzymać. Mimo swojej nadopiekuńczości i wszystkich wad była jedyną osobą, której na mnie zależało. Temu, jaki się stałem, winien był ojciec, nie ona.

W kwestii Leny oczywiście to była matki sprawka; gdyby nie wtrącała się do naszych relacji, może udałoby się ocalić nasze „razem". Wiedziałem, że zrobiła to z troski o mnie. Wszystkie jej działania były podyktowane chęcią stworzenia mi idealnego życia, tylko zapomniała, że wizje dziecka i rodzica rzadko się pokrywają. Mimo wszystko nie poradziłaby sobie z poczuciem winy po mojej śmierci. Nie zasługiwała, żeby ją tak okrutnie zranić. Objąłem ją i mocno przytuliłem.

Matka musiała mnie śledzić albo wynajęła do tego kogoś, mogła też podrzucić nadajnik GPS do mojego auta, to wszystko byłoby bardzo w jej stylu. W każdym razie tamtego dnia uratowała mi życie, a potem niemal nie odstępowała mnie na krok. Wróciliśmy do Gniezna, postanawiając zachować w tajemnicy to, co chciałem zrobić. Przekonywała, że z czasem ból minie.

– Jeszcze będziesz szczęśliwy, zaufaj mi – mówiła. – Daj sobie czas, a wszystko się ułoży.

Drżałem na samą myśl o tym, co się stanie, gdy dom dostanie się w ręce nowego właściciela, a moja tajemnica ujrzy światło dzienne. To zabije matkę, nie miałem co do tego wątpliwości. Stało się inaczej.

Kilka dni po mojej nieudanej próbie samobójczej zjawiła się na progu mojej sypialni i powiedziała z uśmiechem na ustach:

– Wszystko załatwiłam.

Zamknęła za sobą drzwi i podeszła do mojego łóżka.

– Słucham? – Spojrzałem na nią, nie do końca rozumiejąc, o co jej chodzi.

– Możesz spać spokojnie. – Położyła rękę na moim ramieniu, a mnie przebiegły dreszcze.

Ona wie. Na moment zrobiło mi się ciemno przed oczami. Uderzenie gorąca i nagle przeszywający chłód. Trząsłem się w środku. Odkryła moją tajemnicę. Odgadła, co zrobiłem i kim naprawdę jestem.

– Dom nadal należy do ciebie. – Uśmiechnęła się.

Patrzyłem na nią z niedowierzaniem. Milczałem, nie potrafiłem wydusić z siebie słowa.

– Do nas właściwie – poprawiła się, siadając obok mnie na łóżku. – Do ojca, ściśle rzecz ujmując, ale generalnie do ciebie. – Znów uśmiech zagościł na jej twarzy.

– Nie rozumiem – wymamrotałem, próbując rozwikłać, o co jej chodzi.

Ojciec sprzedał dom, pokazywał mi umowę, niemożliwe, aby znów należał do nas.

– Wymagało to ode mnie trochę sprytu i zachodu – ciągnęła. – Ale czego się nie robi, żeby mój synek był szczęśliwy! – Nie przestawała się uśmiechać.

Opowiedziała, jak zadzwoniła do nowego właściciela i podzieliła się z nim historią, która skutecznie odwiodła go od pomysłu zakupu domu.

– „Jestem agentką nieruchomości", skłamałam – powiedziała. – „Zauważyłam pana ofertę. Nadal jest pan zainteresowany zakupem domu nad jeziorem?", zapytałam. „Nie", odpowiedział. „To nieaktualne, już kupiłem domek nad Jeziorem Powidzkim". „O nie", przerwałam mu. „Tylko nie to!". „Nie rozumiem?", zaniepokoił się i już wiedziałam, że mam go w garści. „Muszę pana przestrzec przed tym miejscem! Niech pan wycofa się z zakupu. Czy słyszał pan, co się tam stało?".

Gdy powiedziała te słowa, krople potu pojawiły się na moim czole. Ona wie. Dowiedziała się, co się tam wydarzyło. Poznała sekret, który skrywa dom nad jeziorem. Zamknąłem oczy i ściskałem kołdrę, aby nie zacząć wrzeszczeć. Wszystko stracone, Lena uciekła, a matka odkryła moją najmroczniejszą tajemnicę. Jakie to będzie miało dla mnie konsekwencje? Mój mózg produkował najgorsze scenariusze, jednak znów byłem w błędzie.

– Oczywiście facet nie wiedział, co mam na myśli, więc przedstawiłam mu katastroficzną wizję przyszłości jeziora – ciągnęła swoją opowieść. – Gość nie jest stąd, więc nie słyszał o cofaniu się linii brzegowej, o fatalnym wpływie kopalni odkrywkowych na poziom wód w Jeziorze Powidzkim, naopowiadałam mu samych strasznych rzeczy o tym miejscu. – Teatralnym gestem uniosła oczy ku górze. – Wmówiłam mu, że kupił domek nad jeziorem, które z czasem może przestać istnieć.

To prawda, Jezioro Powidzkie niknie w oczach, w ostatnim czasie linia brzegowa cofnęła się o sześć metrów, a poziom wody obniżył o ponad dwa.

– Kto chciałby popełnić taki błąd i za kilka lat obudzić się na pomoście pośród wyschniętej trawy? – W charakterystyczny dla siebie sposób przekrzywiła głowę. – Podałam mu dla zmyłki kilka ciekawych lokalizacji, które moje biuro ma w swojej ofercie i powiedziałam, że skontaktuję się za kilka dni, żeby sprawdzić, czy coś wybrał – cią-

gnęła matka. – I tak jak przypuszczałam, jeszcze tego samego dnia facet zadzwonił do ojca i zrezygnował z zakupu.

– Ale jak to? – przerwałem jej. – Przecież już podpisali umowę.

– Przedwstępną. – Posłała mi swój pokrzepiający uśmiech. – Mamusia nad wszystkim czuwa. – Ścisnęła moją rękę. – Namówiłam ojca na sprzedaż, to teraz naprawiłam swój błąd. – Dumnie uniosła głowę do góry. – W każdym razie znów możesz tam zamieszkać, ale pod warunkiem, że ja wprowadzę się na najbliższe tygodnie razem z tobą. Muszę mieć cię, synek, na oku. – Spojrzała na mnie, jakbym znów miał osiem lat, a ona nadal była osobą, wokół której kręci się mój świat.

Kolejny raz uratowała mi skórę i zwróciła coś, co nigdy nie powinno trafić w obce ręce.

LENA

11 września 2019
Kopenhaga

Nadmorski klimat Danii bardzo mi służy. Odkąd tu mieszkam, moja skóra jest nawilżona i nabrała zdrowego kolorytu. Zauważyłam, że niemal każda Dunka ma naturalnie błyszczącą i jędrną cerę. Nawet taka staruszka jak pani Sara nie może narzekać na zmarszczki. Chciałabym tak dobrze się czuć i wyglądać w jej wieku. Pani Sara mieszka w Kopenhadze od ponad siedemdziesięciu lat. Przyjechała z Polski po zakończeniu wojny, była wtedy małą dziewczynką. Poznałam ją w nietypowy sposób, spadła mi z nieba niczym anioł i sprawiła, że mogłam ukryć się u niej bezpiecznie.

Kiedy pół roku temu przyjechałam do Danii, nie sądziłam, że zostanę tutaj tak długo. Po tym, co odkryłam w domu nad jeziorem i po swojej ucieczce ze szponów Nikodema, wynajęłam pokój w centrum Kopenhagi. Potrzebowałam dużego, anonimowego miasta, gdzie nikt nie będzie zwracać na mnie uwagi i nikogo nie zainteresuje moja przeszłość. Była to meta na chwilę, zdawałam sobie z tego sprawę. Skromne oszczędności nie mogły wystarczyć mi na długo, a nie miałam pojęcia, co ze sobą zrobić, potrzebowałam pracy, pieniędzy i pomysłu na życie.

Pewnego wieczoru, gdy wracałam ze snucia się po mieście i bezowocnego szukania pracy, usłyszałam z głośników kościoła polski język. Zaciekawiona przeszłam na drugą stronę ulicy i weszłam do środka. Jak się okazało, wieczorne msze w kościele Świętej Anny odbywały się po polsku. Akurat nabożeństwo się skończyło, wychodzili ludzie, światła jedno po drugim gasły, a ja rozważałam, czy nie zaczepić którejś z kobiet i nie zapytać o pracę. Jak do tej pory jedynie odbijałam się od drzwi. Bez znajomości duńskiego nie chcieli mnie przyjąć w kawiarni ani sklepie. Oczywiście mogłam pracować na zmywaku albo w roli sprzątaczki, ale chciałam dać sobie jeszcze kilka dni na znalezienie czegoś lepiej płatnego.

Stojąc za ciężką, atłasową zasłoną, patrzyłam, jak kobiety wychodzą, szepcząc do siebie. Nie widziały mnie, może gdyby któraś zaczepiła mnie wzrokiem, byłoby mi łatwiej zrobić pierwszy krok. Za długo zwlekałam, aż po chwili zostałam sama w przedsionku. Wtedy zauważyłam korkową tablicę ogłoszeń, gdzie oprócz mnóstwa propozycji wyjaz-

dów pielgrzymkowych były też oferty prywatne. Powbijane szpilkami kartki różnej wielkości i koloru, w większości w języku duńskim, ale było też kilka po polsku. Zamiana mieszkania, wspólna podróż do Polski, poszukiwany współlokator i propozycja pracy. Jakaś pani Ewa drobnym, pochyłym pismem wyznawała, że z przyczyn osobistych jest zmuszona wrócić na stałe do Polski i szuka kogoś, kto chciałby pełnoetatowo zajmować się starszą panią. Jeszcze tego samego wieczoru zadzwoniłam pod podany numer. A następnego dnia poznałam panią Sarę.

Nie byłam pierwszą osobą, która chciała dostać tę pracę, ale jako jedyna przystałam na warunki. To, co przeszkadzało innym kandydatom, dla mnie było najlepszym rozwiązaniem. Otóż starsza pani wymagała opieki całodobowej, a nie każdy chciał porzucić swoje życie, partnera, rodzinę i wprowadzić się do mieszkania przy Esplanaden. Ja byłam zachwycona tą propozycją. Staruszka okazała się pogodną, entuzjastyczną osobą, bez oznak demencji starczej. Jej umysł był nadal sprawny, zupełnie odmiennie od ciała. Kobieta od kilku miesięcy poruszała się na wózku inwalidzkim, być może to także odstraszało inne osoby, które odpowiedziały na ogłoszenie. Dla mnie było to idealne rozwiązanie.

Dostałam własny pokój w jej przestronnym, pięknym dwupoziomowym mieszkaniu, świetne wynagrodzenie i choć wiedziałam, że nie jest to praca na stałe, tamtego dnia, gdy się do niej wprowadziłam, uznałam, że wygrałam los na loterii. I do dziś nie mogę na nic narzekać. Nie wiem, co przyniesie przyszłość, jak długo będę mieszkać i pracować u pani Sary, ale nauczyłam się żyć chwilą, ograniczać swoje plany i marzenia do dwudziestu czterech godzin, a obecność starszej pani obok tylko mi w tym pomaga. Najważniejsze, że uciekłam z Polski, wymknęłam się z rąk człowieka, który stanowił dla mnie największe zagrożenie.

Wciąż jednak tkwi w mojej podświadomości, nawiedza mnie w snach. Dzisiaj znów do mnie przyszedł. Nikodem stanął na progu mieszkania na Esplanaden, pani Sara zajechała mu wózkiem drogę, próbowałam uciec, ale nogi odmówiły mi posłuszeństwa i wtedy zbudziłam się zlana potem. Na samą myśl o tym, co by się stało, gdyby on mnie odnalazł, lub ktoś z mojej przeszłości, robi mi się słabo. Odrzucam od siebie te myśli i skupiam się na chwili obecnej.

Pcham wózek wzdłuż Bredgade, rześkie powietrze owiewa mi twarz. Idziemy na Nyhavn, napić się kawy i zjeść sernik w ulubionej kawiarni pani Sary. Słońce przebija się przez chmury, a wiatr niesie ze sobą zapach morza. Pani Sara, zanim zaczęła poruszać się na wózku, prowadziła bujne życie towarzyskie wśród duńskiej Polonii. Niejednokrotnie miałam ochotę zapytać ją, czy zna pana Stefana, sąsiada znad Jeziora Powidzkiego, ale stwierdziłam, że ze względów bezpieczeństwa lepiej o nim nie wspominać. Nikt z mojego dawnego świata nie może się dowiedzieć, że obecnie żyję w Kopenhadze. A znając ekstra-

wertyczną naturę pani Sary, łatwo zgadnąć, że zaraz wymyśliłaby, że koniecznie musimy odwiedzić jego pensjonat na Prinsessegade lub zaprosić go do nas.

Dochodzimy do Nyhavn; rząd kolorowych kamieniczek ma w sobie niezwykły urok. Mimo że od kilku miesięcy wpadamy tutaj mniej więcej raz w tygodniu, nie przestaje mnie zachwycać. Siadamy w cieniu, przy stoliku z lnianym obrusem i bukietem nagietków w złotym flakonie. Zamawiamy ulubiony sernik pani Sary i kawę. Oczekując na deser, siedzimy w ciszy i patrzymy na zacumowane w przystani statki. Cieszę się, że staruszka jest dyskretną osobą i nigdy nie pyta o moje życie osobiste. Kiedy zamieszkałam u niej, oględnie wspomniałam, że przyjechałam tutaj, aby oderwać się od przeszłości. To jej wystarczyło.

– Czasem podróż w nieznane jest najlepszą alternatywą – powiedziała wtedy. – Rzucić to, co było, i stać się kimś nowym; niby to ta sama osoba, ale jednak miejsce, gdzie żyje, zmienia ją zupełnie.

Musiałam przyznać jej rację.

– Tak było z moją rodziną – dodała. – Gdy przyjechaliśmy do Danii po wojnie, na zupełnie nowy, czysty grunt, to mimo że nikt nie zapomniał tego, co działo się przez sześć lat, łatwiej było zacząć w nowym środowisku.

Pani Sara jest jedyną znaną mi osobiście osobą, która przeżyła Holocaust. Wraz z rodzicami i bratem ukryli się u polskich przyjaciół, dzięki temu przeżyli.

– Ach, prawie bym zapomniała, dostałam zaproszenie na odczyt do Instytutu Polskiego – mówi, gdy kelner podaje nam zamówienie. – Podwójne. – Posyła mi uśmiech. – Ciekawy wykład samej pani dyrektor, niesamowicie mądra kobieta, robi bardzo dużo dla propagowania polskiej historii, wspiera duńską Polonię, zaangażowana jak nikt wcześniej. – Nabija na widelczyk kawałek ciastka. – Założyła fundację, która ma za zadanie krzewić polskość wśród społeczności Polaków mieszkających w Danii. Wspaniała inicjatywa, ogromny nacisk kładzie na historię, ale także na promocję młodych talentów. Co roku przyznaje stypendia najlepszym uczniom. Kobieta anioł, zresztą sama zobaczysz, gdy ją poznasz.

Nie podoba mi się ten pomysł. Nie chcę tam iść, bo wśród Polonii kopenhaskiej żyje pan Stefan, jedyna osoba, która łączy mnie z przeszłością. Nie mogę pozwolić, aby się dowiedział, że tu się ukryłam. Choć to on zainspirował mnie do przyjazdu do Kopenhagi i mimo że jest bardzo sympatycznym staruszkiem, przede wszystkim jest sąsiadem Nikodema i spotkanie z nim oznacza zbyt wielkie ryzyko.

– W piątek dwudziestego siódmego września o dziewiętnastej – oznajmia pani Sara.

Dobrze, że nie w piątek trzynastego, nie to, że jestem przesądna.

– Na spotkanie przybędzie przedstawiciel z ambasady – ciągnie nieświadoma tego, co dzieje się w mojej głowie. – I kilku wpływowych ludzi z duńskiej Polonii.

Tym bardziej nie chcę tam pójść.

– Czego będzie dotyczyć ten odczyt? – rzucam, aby podtrzymać konwersację i nie wyjść na osobę niekulturalną.

– Doktor Szmida będzie mówiła na temat zasłużonych osób wśród duńskiej Polonii.

– Będzie mówiła o pani? – pytam, zerkając na staruszkę.

– Nie. – Śmieje się. – Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Prelekcja wydaje się ciekawa i chciałabym jej posłuchać. Myślę, że i tobie takie wyjście do ludzi dobrze zrobi.

Mam w tej sprawie odmienne zdanie. Muszę szybko wymyślić jakąś wymówkę, to zbyt ryzykowne, by tam iść.

– Niezbyt interesuję się historią – mówię.

To nie do końca prawda, nie jestem wielką pasjonatką, ale też nie ignorantką. Po minie pani Sary widzę, że nie spodziewała się takiej odpowiedzi. Widocznie ma o mnie lepsze zdanie.

– Och, to niedobrze. – Kręci głową. – Historia to tożsamość człowieka, wy, młodzi, nie możecie o tym zapominać. – Spogląda mi w oczy i dodaje: – Odczyt będzie połączony z degustacją wina, obwiązuje strój wieczorowy.

Myśli, że tym mnie przekona? Alkohol, modne stroje… Może jednak nie ma o mnie tak dobrego zdania, jak sądziłam.

– I tak nie mam się w co ubrać – stwierdzam, spoglądając na nią.

– Żadna kobieta nie ma. – Nabija na widelczyk ostatnią porcję ciastka. – Ale to najmniejszy problem. – Kładzie dłoń na moim nadgarstku. – O to się nie martw, kupimy coś odpowiedniego na tę okazję. Chętnie odwiedzę z tobą kilka sklepów, przypomnę sobie, jak to miło jest się stroić. Jestem pewna, że wybierzemy coś szykownego.

Nie komentuję tej uwagi, pośpiesznie szukam jakichś argumentów, które pozwolą mi zostać w domu, ale żadne wytłumaczenie nie przychodzi mi do głowy.

– Jeśli chcesz, możemy nawet jutro pójść na zakupy – proponuje.

Chyba w ogóle nie bierze pod uwagę innej możliwości. Jak sama na wózku ma się tam dostać? A kto ma jej tej pomocy udzielić, jeśli nie opiekunka? W końcu za to mi płacą, nie mogę o tym zapominać.

– A na tym wieczorze w instytucie będzie dużo osób? – Spoglądam na nią.

– Wejście tylko z zaproszeniami – informuje. – Więc nie martw się, nikt niewłaściwy się tam nie dostanie.

W jej spojrzeniu widzę zrozumienie. Już kilka razy to dostrzegłam, niemą sugestię, znak, że domyśla się, że spotkało mnie coś złego. Nigdy nie pytała, dlaczego wybrałam pracę jej opiekunki i czy mam zamiar kiedyś pojechać na urlop i odwiedzić bliskich. Zapewne w życiu sama miała tajemnice, którymi nie chciała się dzielić z innymi. Dyskrecja pani Sary jest mi na rękę, a jej empatia daje mi poczucie bezpieczeństwa.

– To co z tym tournée po sklepach? Dasz się namówić? – Odsuwa od siebie pusty talerzyk i filiżankę.

– Tak – zgadzam się, posyłając jej uśmiech. – Może w następnym tygodniu?

Kopenhaga to nie Orchówek, mało prawdopodobne, żeby pan Stefan przyszedł na ten odczyt, a skoro obowiązują wejścia z zaproszeniami, to tym bardziej szanse, że się spotkamy, maleją. Zapewne zaproszone zostały tylko osoby najbardziej wpływowe w społeczności duńskiej Polonii, a pan Stefan jedynie prowadzi hostel. Jeśli nawet przyjdzie, nie wiadomo, czy mnie w ogóle pamięta i czy rozpozna po tak długim czasie. Byłam u niego pół roku temu, w nocy, rozczochrana, w domowych ciuchach, teraz będę elegancka i zupełnie inna niż tamta ja. W razie najgorszego wszystkiemu zaprzeczę, powiem, że musiał mnie z kimś pomylić. Tak czy inaczej, jeśli będzie na tym spotkaniu wielu ludzi, jak przewiduje pani Sara, łatwo wtopię się w tłum.

Mimo wszystko do końca dnia kilkukrotnie pojawia się we mnie poczucie lęku. Nawet gdy po południu jadę do sklepu medycznego odebrać nowy ciśnieniomierz dla pani Sary, odnoszę wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Do tego stopnia, że rezygnuję z powrotu do domu pieszo i wsiadam do metra. Nie mogę popadać w paranoję, przekonuję siebie w myślach, przyglądając się twarzom w wagoniku podziemnej kolejki. Jednak czy to dobra myśl, by wychodzić do ludzi? Przez tych kilka miesięcy trzymałam się z daleka od reszty świata i nic niepokojącego się nie zdarzyło. Może powinnam w tym nadal wytrwać, a może pora opuścić gardę?

EMIL

13 września 2019
Kopenhaga

Wczoraj spędziłem ponad czterdzieści minut na peronie stacji metra Østerport, ale Lena się nie pojawiła. Najwidoczniej błędnie założyłem, że to jej codzienna droga powrotu z pracy, że każdego dnia po siedemnastej przewija się wśród tłumu wracających do domu kopenhażan. Nie było jej. Pewnie coś jej wypadło, pracuje zmianowo albo była tam po prostu przypadkowo, a może pojawi się za chwilę?

Właśnie stoję na peronie metra i rozglądam się na boki. Nigdy nie warto zbyt szybko rezygnować. Czuję lekkie zdenerwowanie i do końca nie wiem, skąd bierze się mój niepokój. Z tego, że ją zobaczę, czy że się nie pojawi? Właściwie nie powinno mnie to interesować. Uciekła, wyparowała z mojego życia, jestem już w innym miejscu, mam dziewczynę, dzielimy wspólne pasje, po co wracać do przeszłości? Ale jakaś wewnętrzna siła ciągnie mnie w jej stronę. Ciekawość, chęć rozwiązania zagadki, potrzeba poznania prawdy albo ona sama. Miała w sobie magię, coś, co działało na mnie jak magnes, bardzo mi się podobała, ale z drugiej strony potraktowała mnie przedmiotowo, z dnia na dzień odeszła, bez pożegnania. Za każdym razem, gdy o niej myślę, przelewają się przeze mnie skrajne emocje i uczucia.

Czuję na twarzy wypychane powietrze, wagonik metra wjeżdża na peron, ludzie gromadzą się coraz bliżej linii bezpieczeństwa. Stoję przy ścianie, opierając się plecami o zimny beton. W chaosie i pośpiechu, który ogarnia tłum, wolę trzymać się na uboczu, zawsze tak robię. Nie chciałbym też skończyć pod kołami rozpędzonego pociągu. Kolejka się zatrzymuje, pasażerowie wylewają się z zapchanego wagonika.

W oddali zauważam drobną postać, beżowy, letni płaszcz i rozpuszczone włosy.

Lena.

Stoi do mnie tyłem, przepycha się razem z ludźmi w stronę drzwi. Przeciskam się w jej stronę, nawet na moment nie spuszczając jej z oczu. Jakaś otyła kobieta z wózkiem tarasuje wejście do wagonika, Lena jest już w środku, jasne włosy znikają, musiała usiąść. Omijam matkę z dzieckiem w momencie, kiedy drzwi zamykają się za mną. Pociąg rusza, a ja podążam w stronę swojego celu. Serce zaczyna bić szybciej, co powiem? Zapytam,

dlaczego tak nagle zniknęła? Co się z nią działo przez ten czas? Dlaczego ukryła się w Danii? Dotknę jej ramienia i szepnę do ucha: „Zostałaś odnaleziona. Trochę mi to zajęło, ale jestem". Zamknięta w ciasnej przestrzeni nie znajdzie ucieczki, będzie musiała udzielić odpowiedzi na wszystkie moje pytania.

Dotykam jej ramienia, odruchowo odwraca głowę w moją stronę, wszystko dzieje się jakby w zwolnionym tempie i nagle widzę jej twarz. To nie Lena.

– Przepraszam – mówię po angielsku i przesuwam rękę na uchwyt tuż za plecami kobiety.

Posyła mi uśmiech, zapewne myśląc, że niechcący złapałem ją za ramię, chcąc chwycić się poręczy. Odwzajemniam grymas, choć jestem wściekły na siebie. Zobaczyłem to, co chciałem zobaczyć. Wystarczyły mi długie blond włosy i szczupła sylwetka, bym uznał ją za Lenę. Teraz gdy jestem blisko, widzę całą masę różnic. Zerkam na zegarek, dochodzi siedemnasta trzydzieści, o tej porze widziałem Lenę przedwczoraj na Østerport, powinienem zostać na stacji, poczekać, kto wie, może właśnie wchodzi teraz na peron, a mnie tam nie ma.

Na najbliższym przystanku wysiadam, aby przesiąść się do kolejki jadącej w drugą stronę. Gdy jestem w wąskim przejściu łączącym oba perony, dostaję esemesa o nieodebranym połączeniu. Zerkam na wyświetlacz, dzwoniła Piguła.

Tak wpisałem do listy kontaktów moją obecną dziewczynę, gdy po raz pierwszy wymieniliśmy się telefonami, i do tej pory tego nie zmieniłem. Wiem, że wściekłaby się, gdyby zobaczyła, że w takiej bezosobowej, wręcz żargonowej wersji widnieje w mojej komórce. Jak to? Nie imię, czuła nazwa, Kotek czy Kochanie? Tylko Piguła?

Kilka tygodni po moim przyjeździe kolega z Sofii, który namówił mnie na wyjazd do Kopenhagi, zorganizował wyjście na miasto. Wieczorne piwo w celu zapoznania. Martin zaprosił także pielęgniarki z naszego oddziału, mówiąc, że powinienem się ucieszyć, bo jedna z nich jest Polką. Gdy dwie godziny później mi ją przedstawił, a ona jeszcze tego samego wieczoru podała mi swój numer, bez zastanowienia wpisałem ją jako Pigułę. Tamtego dnia poznałem mnóstwo ludzi, masa nowych imion pojawiła się w moich kontaktach, Piguła była tylko jedna i nie mogłem pomylić jej z żadną inną dziewczyną. Kilka dni później zadzwoniłem do niej, proponując wspólne wyjście na drinka, zgodziła się i tak zostaliśmy parą.

Miałem wiele okazji, aby zmienić jej bezosobową nazwę w moich kontaktach, ale celowo tego nie robię. Chcę mieć ją pod kontrolą, wiedzieć, kiedy nadejdzie dzień, gdy przestanie mi ufać i zacznie przeszukiwać mój telefon. Jestem pewien, że sformułowanie „Piguła" wywoła burzę, dziewczyna wścieknie się, ale to pozwoli mi się dowiedzieć, że sprawdza moją komórkę. I będzie to oznaczało nasz koniec, bo nie toleruję kobiecej inwigilacji. Naciskam „oddzwoń".

– Cześć, kochanie! – mówię, gdy odbiera telefon.

Zatrzymuję się przed wejściem na ruchome schody, żeby znów nie stracić zasięgu.

– Gdzie jesteś? – W jej głosie słyszę oskarżycielski ton.

– Właśnie wracam – kłamię, kierując się w przeciwną stronę niż mieszkanie, w którym na mnie czeka.

– Myślałam, że dziś będziesz wcześniej w domu, zrobiłam na obiad makaron z krewetkami.

– Niebawem będę – rzucam, wyobrażając sobie jej nadąsaną minę.

Zależy mi na niej. Jest naprawdę seksowną dziewczyną, gdyby nie ta zazdrość, mógłbym śmiało rzec, że jest najfajniejszą dziewczyną, z którą do tej pory byłem w związku. I szczerze wolałbym wyznać jej prawdę, niż ją okłamywać. Powiedzieć, że kilka dni temu na ulicy widziałem dziewczynę, która kiedyś ze mną mieszkała i nagle z dnia na dzień zniknęła. I gdyby Lena nie była współlokatorką, tylko współlokatorem, zapewne tak bym zrobił. Wyznał jej, że po prostu chciałbym dowiedzieć się prawdy, z czystej ciekawości. Moglibyśmy razem pobawić się w detektywów, przyjąć kilka hipotez i po kolei rozważać każdą z nich.

Jednak nie mogę tego zrobić, bo gdy dowie się o Lenie, wpadnie w obsesję na jej punkcie. Była cholernie zazdrosna o lekarkę z Hiszpanii, która czasami wieczorami dzwoniła do mnie w celu skonsultowania diagnozy. Mimo że tamta miała narzeczonego, nie obyło się bez scen zazdrości, całe szczęście, że Mónica kilka tygodni temu wróciła do Madrytu. Nie znoszę zazdrosnych kobiet, ale w zasadzie innej nigdy nie spotkałem. Każda moja dziewczyna była cholernie zazdrosna, oprócz Leny. Poprawka, Lena nigdy nie była moją dziewczyną.

– Musiałem zostać dłużej, wiesz, jak jest – tłumaczę, niecierpliwiąc się.

Chciałbym skończyć już tę rozmowę i udać się z powrotem na Østerport.

– Jakąś godzinę temu dzwoniła do mnie Kamila. – Ma na myśli swoją koleżankę, także pielęgniarkę, młodą Słowaczkę. – Powiedziała, że dzisiaj razem wyszliście ze szpitala, chwilę po szesnastej.

Przyłapała mnie na kłamstwie. „Wcale nie zostałeś dłużej w pracy, powiedz mi, gdzie jesteś", niemal słyszę te słowa i widzę te wszystkie rozpalone do czerwoności zwoje w jej głowie. „Zastanów się, co odpowiesz, bo zła odpowiedź może cię słono kosztować".

– A tak – potwierdzam. – Widziałem się z Kamilą, ale potem zagadałem się z Martinem – kłamię. – Nieważne – staram się bagatelizować ten wątek. – Już jadę, niebawem będę u ciebie, wpadnę jeszcze po wino – mówię, rozłączając się.

Zbiegam po schodach na peron, muszę wrócić na stację Østerport i zabrać stamtąd swój rower.

NIKODEM

17 września 2019
Jezioro Powidzkie

Po czym poznać psychopatę? Nie jest to łatwe, powodem jest niezwykła zdolność tych osób do maskowania się. Co więcej, psychopatami często są ludzie wyjątkowo czarujący, którzy swoim urokiem osobistym innych wręcz do siebie przyciągają. Spotykamy ich nie tylko w literaturze grozy czy mrocznym kinie, lecz żyją także w naszym otoczeniu, może nim być nasz współpracownik, sąsiad czy partner.

Przewijam do końca tekst, zastanawiając się, dlaczego Google stale podpowiada mi artykuły o podobnej treści. Wyobrażam sobie, że stoi za tym ktoś, kto zna moją przeszłość, zapoznał się z dokumentacją medyczną moich pobytów w szpitalu psychiatrycznym, wie o wszystkich próbach samobójczych i na tej podstawie zdiagnozował mnie jako psychopatę. Oczywiście to nieprawda, dzieje się tak, bo ja sam stale wpisuję podobne hasła do przeglądarki. Mimo wszystko nie lubię, jak wciąż jestem bombardowany takimi treściami w momencie, gdy nie mam na to ochoty albo po prostu chcę znaleźć nocleg w hotelu.

– Nikodem! – podnosi głos. – Znów mnie nie słuchasz!

Spoglądam na matkę, nie wiedząc, co mówiła, wyłączyłem się kilka minut wcześniej, bo stale wałkuje ten sam temat.

– Przepraszam – mówię. – Dostałem maila od podwykonawcy, ale już słucham. – Odkładam telefon na blat stołu i spoglądam na nią.

Teatralnie przewraca oczami i bierze nóż do ręki.

– Jesteś pewien, że nie chcesz z nami jechać? – pyta, chyba już po raz dziesiąty.

W sobotę jadą na wesele do Gdańska. Syn ich przyjaciół się żeni, zaprosił także mnie, choć od czasów dzieciństwa kontakt mieliśmy nikły. Oczywiście odmówiłem, tłumacząc się ważnym wyjazdem służbowym. Jednak matka nie daje za wygraną. Od kilku tygodni przekonuje mnie, że powinienem jechać z nimi. Sam nie wiem, czy boi się spuścić mnie z oczu, czy naprawdę liczy na to, że mogę poznać na weselu jakąś dziewczynę.

– Na przykład – mówi, zaczynając kroić koper na desce. – Ciotka Bożena poznała wujka Wojtka na weselu u koleżanki.

Zaczynam się śmiać, co oczywiście przyciąga jej uwagę, bo rzadko zdarza mi się to w jej towarzystwie. W zasadzie w ogóle rzadko mi się to zdarza.

– Wiem, co powiesz, to nie są te czasy, ale każde wyjście jest dobrą okazją, by kogoś poznać.

Dla niej ta okazja jest podwójnie dobra, bo ona będzie tam ze mną i pierwsza oceni, czy dziewczyna się dla mnie nadaje.

– Mamo – przerywam jej, chcąc zakończyć tę jałową dyskusję. – Mam wyjazd służbowy, świetna inwestycja w okolicy Lublina.

Zerka na mnie.

– To na drugim końcu Polski – zauważa.

– No właśnie, na Lubelszczyźnie ceny są jeszcze przyzwoite, czyste powietrze, dziewicze tereny, muszę to wykorzystać.

Okłamuję ją tylko w jednej kwestii. Nie mam spotkania biznesowego, ale wyjeżdżam w okolice Lublina. Dokładnie do Orchówka, tam, gdzie znajduje się dom rodzinny Leny. Znam jej adres i postanowiłem w końcu tam pojechać. Długo nie mogłem zebrać się w sobie, ale teraz czuję, że to dobry moment. Nie sądzę, aby po tym wszystkim, co się stało, odważyła się wrócić do rodzinnego domu, ale być może dowiem się tam czegoś, co zbliży mnie do niej. Muszę się dowiedzieć, gdzie się ukryła.

Matka trajkocze, że jak zacznie się budować na dziewiczych terenach, to one już takie nie będą, a ja znów sięgam po telefon i uruchamiam aplikację do rezerwacji hoteli. Przeglądam propozycje noclegów nad Jeziorem Białym, to kilka kilometrów od Orchówka, wsi, z której pochodzi Lena. Jeden z hoteli wydaje się ciekawy. Duże okna z widokiem na jezioro. Klikam „rezerwuj". Wyjadę rano, zamelduję się w hotelu i powęszę wokół domu Leny, a przy okazji zerknę na grunty, które oferują gmina i prywatni sprzedawcy, może to dobra myśl, by zainwestować w tej okolicy? Być blisko miejsc, w których dorastała Lena i do których prędzej czy później powróci. Są takie sytuacje, że choćby uciekło się z domu rodzinnego, wraca się tam przy wyjątkowych okazjach. I takie też w końcu zdarzą się w życiu Leny, a wtedy będę tam ja. Odnajdę ją, to już postanowione. Każdy musi mieć w życiu jakiś cel, a moim jest Lena.

LENA

21 września 2019
Kopenhaga

– Cześć, mamo. – Przyciskam telefon uchem do ramienia, podlewając kwiaty na balkonie.

– Córeczko, jak dobrze cię słyszeć.

Jej głos działa na mnie kojąco, uśmiech sam pojawia się na mojej twarzy. Nie widziałam matki od ponad roku, brakuje mi jej, ale wiem, że dla naszego wspólnego dobra rozłąka to najlepsze rozwiązanie. Ile to będzie trwało? Jak długo będzie wierzyć w historie, które za każdym razem wymyślam? A gdy stanie się coś z tatą i będę musiała powrócić do domu? Czy nie ściągnę na nas niebezpieczeństwa?

– Co u ciebie? – pyta.

W oddali słychać pianie koguta. Nigdy nie sądziłam, że choć przez chwilę zatęsknię za moją małą wsią na rubieżach Polski.

– Wszystko dobrze – mówię, odstawiając konewkę. Obrywam uschłe listki paprotki, wciąż przytrzymując telefon ramieniem. – Dużo pracy, wciąż nowe miejsca…

– A gdzie teraz dokładnie jesteś? – przerywa mi.

– Nadal w Madrycie, ale bardzo możliwe, że niebawem zmienimy z ekipą lokalizację. Gazeta, dla której pracuję, jest nastawiona na zaskakiwanie swoich czytelników, a redaktor naczelna to naprawdę wymagająca i kreatywna babka.

– Można gdzieś zobaczyć twoje zdjęcia w tych gazetach, dla których pracujesz? – pyta. – Kup i mi wyślij – sugeruje.

Wymyśliłam tę Hiszpanię na poczekaniu. Gdy po raz pierwszy zapytała, gdzie jestem, wpadłam w popłoch. Czy to rozsądne i bezpieczne zdradzać miejsce mojego pobytu? Przypomniała mi się Iza, moja przyjaciółka i jej wyjazd na stypendium, rzuciłam więc, że w Madrycie, i tak już zostało. Nigdy nie sądziłam, że okłamywanie mamy przyjdzie mi tak łatwo. Za każdym razem, gdy do niej dzwonię, ustawiam połączenie z telefonu zastrzeżonego, na początku budziło to jej zdziwienie, ale teraz już wie, że to ja, i nawet nie muszę silić się na żadne wymówki.

– Jasne, gdy tylko zdjęcia trafią do gazety, tak zrobię – kłamię. – A jak u was? – zmieniam temat. – Jak się czujesz? Jak tato? – Znów chwytam konewkę.

Kot pani Sary, czarny puszysty dachowiec, ociera się o nogi w czasie, gdy podlewam ogromny rododendron.

– Dobrze – mówi. – Nic się nie martw. Co prawda tato bez zmian, ale chyba najważniejsze, że nie jest gorzej, prawda?

– Oczywiście – przytakuję, ale robi mi się smutno.

Po udarze to nie ten sam człowiek, mama musi się z nim czuć naprawdę samotna.

– Kiedy wracasz do Polski?

Pyta o to za każdym razem, a ja nie potrafię powiedzieć jej prawdy.

– Nie wiem – mówię. – Mam nadzieję, że niebawem, stęskniłam się za wami, ale pieniądze i możliwości, które daje mi ten staż…

– Rozumiem, rozumiem – przerywa. – Najważniejsza twoja przyszłość, bardzo się cieszę, że się rozwijasz i robisz to, co lubisz, ale chciałabym, abyś przyjechała do nas choć na chwilę.

Mam ochotę zapytać, czy nie zauważyła czegoś niepokojącego, kogoś, kto kręci się pod domem lub pytał o mnie, ale zrobiłam to tylko raz, na początku, i wprowadziło ją to w ogromny niepokój. Musiałam potem zapewniać, że to nic takiego, kłamać, że rozstałam się z Hubertem i miałam nadzieję, że może on jeszcze o mnie myśli. Mama uwierzyła w tę bajkę, ale nie mogę po raz kolejny wprowadzać jej w konsternację. Myślę, że powiedziałaby mi, gdyby coś dziwnego się wydarzyło.

– A jesz coś tam w ogóle? Pewnie nie masz do tego głowy i znów schudłaś.

– Jem, jem! – Śmieję się. – Możesz być spokojna. Nawet utyłam.

To akurat jest prawdą. Pani Sara dba o moje wyżywienie niczym dobra babcia. Za każdym razem powtarza, że trzeba cenić jedzenie i podchodzić do niego z wielkim szacunkiem. W czasie wojny okruch chleba był na wagę złota.

– Gdyby tylko dzisiejsi ludzie to zrozumieli – powtarza. – Prawie sto milionów ton jedzenia rocznie idzie na śmietnik i to w samej Europie, serce pęka.

Nagle spostrzegam na ulicy jakąś kobietę. Stoi po drugiej stronie i wpatruje się we mnie. Mój puls przyśpiesza. Wychylam się przez balkon, aby lepiej ją dojrzeć, ale wtedy ona zauważa mnie, odwraca się na pięcie i pośpiesznym krokiem rusza przed siebie. Mrużę oczy, rażą mnie promienie słońca, kobieta skręca za róg i ginie mi z oczu. Kim była? Czy rzeczywiście mnie obserwowała, czy tylko mi się wydawało? Mama mówi coś o zbiorze ziemniaków, o tym, że pomaga jej sąsiad, ale nie potrafię skupić się na jej słowach, próbując odgadnąć, kim mogła być ta kobieta. Szczupła, energiczna, nie widziałam jej dokładnie. Nie wiem nawet, jaki miała kolor włosów, jaki wzrost, zapamiętałam jedynie jej falujący na wietrze płaszcz i przeciwsłoneczne okulary na nosie.

A może wpatrywała się w inne okno? Chce kupić lub wynająć mieszkanie w tej okolicy? Albo po prostu przechodziła ulicą i na moment wystawiła twarz w stronę słońca? Nie powinnam doszukiwać się w tym drugiego dna. To głupie od razu zakładać, że jej

uwaga była skupiona na mnie, bo niby czemu miałaby być? Nikt tu mnie nie zna i nie wie, co zrobiłam. Nie jestem pępkiem świata.

– Myślisz, że to dobry pomysł? – dopytuje matka.

Nie wiem nawet, o czym mówiła i czego dotyczy to pytanie.

– Przepraszam, mamo, muszę kończyć, właśnie mnie wołają – kłamię. – Zadzwonię niebawem – rzucam na pożegnanie i wyłączam telefon.

Tiszri kręci się obok moich nóg, biorę go na ręce i wracam do mieszkania. Na pewno mi się wydawało, pocieszam siebie w myślach, żadna kobieta nie stanowi dla mnie zagrożenia, mogę być spokojna. Minęło już prawie pół roku od czasu, gdy uciekłam z Polski, powinnam przestać wciąż wypatrywać zagrożenia i podejrzewać obcych ludzi o niecne zamiary.

Mimo wszystko do końca dnia nie potrafię pozbyć się wrażenia, że ta kobieta patrzyła na mnie, że byłam przez nią obserwowana.

ANNA

21 września 2019
Kopenhaga

Upinam włosy do góry i spryskuję mocno lakierem. Mimo że świeci słońce, jest też bardzo wietrznie, a ja nie chcę, aby fryzura się rozpadła, gdy tylko wyjdę z domu. Planuję spędzić dziś sporo czasu na mieście, a wilgoć nie działa dobrze na moje włosy. Przyglądam się swojemu odbiciu w lustrze, efekt jest zadowalający. Nocowałam dziś u niego. Moglibyśmy oczywiście zamieszkać wspólnie, po co mnożyć koszty, ale dopóki on nie wyjdzie z tą propozycją, nie będę się wychylać. A znając jego temperament i umiłowanie wolności, można się spodziewać, że jeszcze długo nic się nie zmieni w kwestii naszego wspólnego zamieszkania. Raz, tylko raz, napomknęłam o tym, że może ekonomiczniej byłoby, abyśmy zamieszkali razem.

– Przecież i ciebie, i mnie stać na własne mieszkanie, nie widzę sensu, aby to zmieniać.

Ja widzę, ale nie chcę na niego napierać. Uważa, że on mieszka bliżej centrum i to jest mu na rękę. Lubi stanowić część szybkiego, energicznego świata. Próbowałam dyplomatycznie przeforsować swoje stanowisko, ale uciął temat.

– Przyjmij po prostu, że mamy dwa domy – powiedział.

Tylko za każdym razem, gdy śpimy oddzielnie, dopada mnie przerażająca myśl, że mnie zdradza. Wyobrażam sobie, jak zaprasza na noc jakąś dziewczynę, która już knuje plan, jak wykopać mnie z jego życia i zająć moje miejsce.

Kończę jeść owsiankę i odstawiam miskę do zmywarki. Nie wiem, o której wrócę, mam wolną sobotę, całą dla siebie. Nie mam dzieci ani psa, nikogo, dla kogo musiałabym się dziś śpieszyć z powrotem do domu. Facet, z którym żyję na kocią łapę, dziś pracuje do osiemnastej i najpewniej jak w każdą sobotę kolację zjemy na mieście. A więc cały dzień mogę przeznaczyć na realizację swojego planu. Zarzucam na ramiona letni, popielaty płaszcz, na oczy zsuwam przeciwsłoneczne okulary, spryskuję się perfumami i wychodzę z domu.

Sprawdzam dwukrotnie, czy zamek jest przekręcony – takie natręctwo, które odziedziczyłam po swoim dziadku. On też nigdy nie potrafił wyjść z domu, zanim kilka razy nie sprawdził, czy na pewno zamknął drzwi, a i tak zdarzało mu się zawracać z połowy ulicy,

by jeszcze raz się upewnić. Kiedyś to mnie śmieszyło, czasem złościło, a dziś doskonale go rozumiem. Po prostu nie da się z tym nic zrobić. Trzeba sprawdzić dla świętego spokoju, który i tak na długo nie zostaje.

Od kilku lat mieszkam w Kopenhadze i podoba mi się tu niemal wszystko, oprócz pogody. Na rogu w kawiarni kupuję kawę na wynos i ruszam w stronę stacji metra. Muszę dostać się w inną część miasta, na ulicę Esplanaden, na której mieszkają staruszka z dziewczyną.

Zdobycie ich adresu nie było trudne, teraz tylko muszę się dowiedzieć, które dokładnie zajmują mieszkanie i jak wygląda ich rytm dnia. W tygodniu nie uda mi się ich śledzić, ale w wolny dzień, jak dzisiaj, mogę pokręcić się po okolicy. Mijam wystawę sklepu z butami, nowe kolekcje projektantów światowych marek, pełno jesiennych botków i kaloszy. Zajrzę tu potem, gdy będę wracać, teraz wolę się pośpieszyć, bo bardzo prawdopodobne, że dziewczyna ze staruszką mogą w sobotnie przedpołudnie opuścić dom. Niemal się nie rozstają, ciągle razem, wierne towarzyszki.

Czuję się trochę nieswojo w roli podglądaczki. Nigdy wcześniej nie byłam zmuszona do takiego zachowania. Samo brzmienie tego słowa mi ubliża, a co dopiero wcielenie się w tę rolę, ale stawka w grze jest wysoka, a czasu coraz mniej.

Schodzę do stacji metra i łapię kolejkę w stronę centrum, po kilku minutach wysiadam na Marmorkirken, stamtąd jest niecałe sześćset metrów do ich mieszkania. Narożna, trzypiętowa kamienica, czerwona cegła, małe balkoniki, duże okna z szerokimi parapetami, wszystko w typowo skandynawskim, schludnym stylu. Gdy po raz pierwszy przyjechałam do Danii, nie spodziewałam się, że w tak surowym klimacie jest tyle mieszkań z ogromnymi oknami. W Polsce ciągle słyszałam, że to nieekonomiczne, ile trzeba pieniędzy, aby ogrzać to zimą, tutaj najwyraźniej nikt sobie tym nie zawraca głowy. Ja też dołączyłam do fanów życia za szklanymi ścianami.

Nieopodal ich kamienicy znajduje się mała kawiarnia, skończyłam właśnie kawę, nie mam ochoty na następną, mimo wszystko siadam przy stoliku i czekam, aż kelnerka mnie zauważy i podejdzie z menu. Widok stąd nie jest idealny, można zobaczyć jedynie mieszkania z lewej strony budynku, jeśli one mieszkają z drugiej strony, nic mi po siedzeniu tu i gapieniu się w okna. Zanim zjawi się obsługa, wstaję i opuszczam ogródek.

Nigdy się nie zastanawiałam, jak zachowują się osoby, które mają za zadanie kogoś śledzić. Co robią, by nie zwrócić na siebie uwagi? Ja odnoszę wrażenie, że wszyscy przechodnie widzą, że kręcę się tu bez celu. Może powinnam wynająć kogoś, kto zająłby się tą sprawą, ale czy mogę komuś do tego stopnia zaufać?

Idę wzdłuż ulicy, udaję, że rozglądam się na boki, a tak naprawdę próbuję dostrzec jakiś ruch w oknach kamienicy naprzeciwko. Sylwetkę dziewczyny, bo starszej pani, poruszającej się na wózku, nie będzie widać z tej perspektywy. Chyba że opiekunka wywiezie ją na balkon, jeśli w ogóle go mają. Cała masa niewiadomych.

Niepokoi mnie ta sytuacja, przebiegam na drugą stronę ulicy i podchodzę do domofonu widniejącego przy drzwiach do ich budynku. W spisie nie ma nazwisk, jedynie numery mieszkań. Niedobrze. Mogłabym dzwonić po kolei i przedstawiać się za dostawcę z Uber eats lub coś w tym stylu, ale wiem, że to niczemu nie służy. W ten sposób się nie dowiem, gdzie dokładnie mieszkają. Ponownie przechodzę na drugą stronę ulicy, opieram się o nagrzaną od słońca fasadę błękitnego budynku i zadzieram głowę.

I nagle ją zauważam. Jest to tak zaskakujące i niespodziewane, że przez jedną krótką chwilę myślę, że sobie to tylko wyobraziłam. Jednak to prawda. Dziewczyna tam jest, podlewa kwiaty na balkonie i rozmawia z kimś przez telefon. Uchem przyciska komórkę do ramienia, czarny kot kręci się obok jej nóg. Jeszcze mnie nie widzi, mogę jej się spokojnie przyjrzeć. Z tej odległości nie potrafię oszacować, ile ma lat, ale jest młoda, a może tylko tak wygląda? Długie blond włosy, związane w kucyk, który wesoło podskakuje z każdym jej ruchem, szczupła i wysoka, zgrabna i kobieca.

Raptownie podnosi głowę znad kwiatów, jakby wyczuła, że ktoś na nią patrzy, i spogląda mi prosto w twarz. Wprowadza mnie to w konsternację, odwracam się na pięcie i ruszam przed siebie. Skręcam za najbliższy róg i przywieram plecami do ściany kamienicy. Serce bije mi szybko.

Czy mnie widziała? Czy zapamiętała?

Miałam na nosie przeciwsłoneczne okulary, włosy spięłam do góry, czego zazwyczaj nie robię, małe szanse, że – nawet gdy się spotkamy – odkryje we mnie kobietę, która ją obserwowała. Nie powinnam wpadać w panikę, to niczemu nie służy. Nawet jeśli mnie widziała, jeśli domyśliła się, że się jej przyglądam, nigdy nie odgadnie, po co tu przyszłam i co zamierzam zrobić. Mogę być spokojna. Oddycham głęboko kilka razy, wdech i wydech, a potem ruszam w stronę stacji metra. Na dziś tyle, najważniejsze, że się dowiedziałam, które to mieszkanie.

NIKODEM

21 września 2019
Orchówek

W hotelu melduję się kilka minut po godzinie dwunastej. Zapach wanilii panujący w pokoju jest duszący, otwieram drzwi balkonowe i spoglądam na jezioro. Mimo że już wrzesień, kilka żaglówek dryfuje na lekkim wietrze. Mógłbym wypożyczyć jedną z nich, spędzić dzień na wodzie, a wieczorem wyjść na miasto, poznać jakąś dziewczynę. Może powinienem dać sobie spokój z Leną? Zapomnieć, zacząć od nowa? Nie potrafię.

Łączyło nas tak wiele, jestem pewien, że gdybym tylko miał więcej czasu, przekonałaby się do mnie. A potem pewnego wieczoru zaufałaby mi do tego stopnia, że zdradziłaby mi swoją największą tajemnicę, a wtedy ja w przypływie szczerości podzieliłbym się z nią moim sekretem. Jednak nie udało się, uciekła, nie pozwalając nam otworzyć się przed sobą.

Zamykam drzwi balkonowe i wychodzę z pokoju. W aucie nastawiam nawigację, muszę mieć pewność, że trafię pod właściwy adres.

Po pięciu minutach jestem na ulicy Nadbużańskiej i parkuję wzdłuż chodnika. Stary, murowany dom, czasy świetności mający już dawno za sobą. Niewielki ogród kwiatowy wzdłuż płotu, jakieś zabudowania gospodarcze w głębi, wszystko w stanie dalekim od doskonałości. Firanki w oknach i kwiaty w kolorowych doniczkach, widać, że w domu toczy się życie, choć brakuje rąk do pracy w gospodarstwie. Nie ma żadnej informacji, aby posesji strzegł pies, nie przypominam też sobie, żeby Lena kiedykolwiek wspominała o psie w domu rodzinnym. Naciskam klamkę i wchodzę na podwórko.

Czy to normalne, że na wsi nie zamyka się furtki? Mój dom nad Jeziorem Powidzkim stale jest zamknięty na klucz, ale być może tak zachowują się tylko ludzie, którzy mają coś do ukrycia? Pokonuję wąski chodniczek i staję u podnóża trzech murowanych schodków prowadzących do domu. Przez okno zauważam sylwetkę kobiety. Nie widzi mnie, chodzi po kuchni i rozmawia z kimś przez komórkę. Chwilę stoję, nie chcąc jej przeszkadzać. To na pewno matka Leny, drobna postać, szczupłe ramiona, łagodne ruchy. Kiedy kończy rozmowę i odkłada telefon na stół, ruszam po schodkach, powtarzając w głowie historię, którą zamierzam jej sprzedać.

Naciskam dzwonek, po piskliwym alarmie zapada cisza, ze środka nie dochodzi żaden dźwięk, ale po chwili słyszę odgłos kroków. Klucz w drzwiach chrzęści, a jednak wejścia do domu bardziej pilnują niż posesji. W progu pojawia się kobieta. To bez wątpienia matka Leny. Ten sam owal twarzy, te same oczy, choć kolor włosów i wzrost odmienny.

– Dzień dobry – odzywam się.

– Dzień dobry – odpowiada, marszcząc czoło.

Nie spodziewała się mnie tu, nie zna mnie i nie ma pojęcia, po co przyszedłem.

– Ja w sprawie ogłoszenia – mówię.

– Ogłoszenia? – Wykrzywia usta. – Nie rozumiem.

– W sprawie kupna domu – precyzuję.

– Jakiego domu?

– Tego domu.

– To pomyłka – rzuca i robi krok do tyłu.

Wiem, że teraz wiele zależy od tego, jak to rozegram. Nie mogę pozwolić, aby kłapnęła mi drzwiami przed nosem.

– Powiedzieli, że ten dom jest do sprzedania – mówię, posyłając jej uśmiech. – Ktoś wprowadził mnie w błąd?

– Kto powiedział? – dopytuje.

– Ludzie, tutaj. – Obracam się, wskazując ręką w tył. – W tym małym sklepiku. W ogłoszeniu było napisane, że dom na sprzedaż, Orchówek…

– Ja nie sprzedaję domu – przerywa mi. – Ktoś coś musiał pomylić.

– A może wie pani, który dom może być na sprzedaż? – dopytuję. – Przyjechałem specjalnie z Lublina, żeby go obejrzeć.

– Nie wiem. – Kręci przecząco głową. – Nie słyszałam, żeby ktoś z sąsiadów wystawiał swój dom na sprzedaż. Tutaj ludzie mieszkają pokoleniami.

– Pani pewnie też chce przekazać dzieciom? – rzucam inicjujące pytanie, ale ona go nie podejmuje.

– Jedyne, co mi na myśl przychodzi, to domki nad jeziorem Glinki – mówi. – To też Orchówek, jakiś kilometr w stronę Sobiboru. – Wskazuje głową w lewo. – Tam jest osiedle domków letniskowych, pewnie oferta dotyczy którejś z tamtych posesji. U nas na Nadbużańskiej? – pyta. – Nie sądzę.

Kładzie rękę na klamce, dla niej rozmowa dobiegła końca.

– Dziękuję – rzucam, zatrzymując jej wzrok.

Nie mogę tak tego zostawić, muszę walczyć do końca, wkręcić ją w konwersację, uśpić jej czujność i wydobyć od niej, gdzie jest Lena.

– Czyli dokąd mam jechać? – pytam, żeby wydobyć ją z domu. – Mogłaby mnie pani pokierować?

– O tam. – Wskazuje ręką, przekraczając próg.

Schodzi po schodkach i rusza w stronę ulicy, kroczę za nią. Jestem jak cień, tuż za jej plecami. Matka Leny, niebywałe. Poznałem ją. Nagle kobieta odwraca się, robi to tak niespodziewanie, że omal na nią nie wpadam.

– Na zakręcie w lewo i cały czas prosto. – Macha w kierunku ulicy, robiąc jeszcze kilka kroków przed siebie. – A tam dalej już będą tabliczki, w którą stronę nad jezioro Glinki.

Kiwam głową i spoglądam jej ponownie w oczy. Są takie same jak Leny. Ściska mnie gdzieś w środku, tęsknię za nią. Cholernie mi jej brakuje, muszę ją odzyskać.

– A pani nie myślała, aby sprzedać dom? Teraz gdy ceny są na górce, warto to wziąć pod uwagę – uśmiecham się. – Siedzę w branży od lat, do niczego nie namawiam, ale jak tylko tu podjechałem, pomyślałem, że pierwsze, od czego zacznę, gdy kupię ten dom, to remont. Czas leci, mniemam, że dzieci z domu już wybyły, pani pewnie brak czasu i sił do pracy, wszystko niszczeje, trzeba pomyśleć, co dalej.

– Nie mam zamiaru sprzedawać domu – przerywa mi i kładzie rękę na klamce furtki.

Chce, żebym sobie poszedł. Nie życzy sobie mojej wizyty na jej podwórzu. Muszę pociągnąć rozmowę w stronę Leny, dowiedzieć się, gdzie jest, wydobyć od tej kobiety jakiekolwiek informacje.

– Rozumiem – mówię. – Moi rodzice też nie chcieli sprzedawać ojcowizny, ale zająłem się wszystkim. Uważali, że po studiach wrócę do domu i zamieszkam z nimi, ale ja miałem inne plany. Radzę przedyskutować z dziećmi przyszłość tego miejsca, może któreś zechce tu mieszkać ze swoją rodziną, to byłoby najlepsze rozwiązanie, jeśli pani jest związana z tym domem.

– Córka wyjechała, ale pewnego dnia wróci – mówi w końcu coś, co ma dla mnie znaczenie.

– Wróci, nie wróci – komentuję. – Pozna kogoś, wyjdzie za mąż – wymieniam.

– Na razie nie takie sprawy jej w głowie, karierę robi za granicą.

Moje serce zaczyna gonitwę.

– O, to wspaniale – mówię, uśmiechając się. – A gdzie studiuje?

Zrobiłem o krok za daleko. Na jej twarzy pojawia się grymas wyrażający podejrzliwość i niechęć do mnie.

– A co pana to tak interesuje? – pyta, mrużąc oczy.

Czyżbym nie był pierwszy, który pyta o Lenę? A może córka przestrzegła ją przed takimi rozmowami?

– Teraz wszyscy chcą się wyrwać z Polski, moja córka co prawda jest dopiero w średniej szkole, ale nie marzy o niczym innym jak o wyjeździe za granicę na studia – kłamię.

Mam nadzieję, że widząc we mnie ojca, przestanie być tak podejrzliwa.

– Do widzenia – rzuca, szeroko otwierając przede mną furtkę.

Nie dowiem się już niczego więcej. Jeśli zacznę drążyć temat Leny, tylko sobie zaszkodzę. Nie wiem do końca, co powiedziała matce, może kobieta wezwie policję, zerkam na

zaparkowany przy chodniku samochód. Powiedziałem, że przyjechałem z Lublina, tablice rejestracyjne jasno wskazują, że jestem z innej części Polski, a jeśli ona się na tym zna? Jednak lepiej, żebym sobie stąd poszedł. Dowiedziałem się, że Lena wyjechała z Polski, to już coś.

– Dziękuję – uśmiecham się, wychodząc na ulicę. – Przepraszam za najście, nie chciałem przeszkadzać. Do widzenia!

Kobieta kiwa głową, odwraca się i idzie w stronę domu. A ja odjeżdżam, zastanawiając się, gdzie za granicą mogła ukryć się Lena.

LENA

23 września 2019
Kopenhaga

Czy sam fakt popełnienia morderstwa oznacza, że jest się złym człowiekiem? Czy spoglądając na sytuację wielowymiarowo, można uzasadnić zbrodnię? Czy zabójstwo to po prostu zabójstwo i nie ma żadnej taryfy ulgowej?

Pytania niczym filozoficzne komentarze do *Zbrodni i kary* Dostojewskiego przewijają się w mojej głowie, gdy kroję marchewkę na sałatkę. Pani Sara siedzi w pokoju, w swoim ulubionym fotelu, z kotem na kolanach, i czyta. W mieszkaniu panuje cisza przerywana jedynie uderzeniami ostrza noża o deskę. Przesypuję marchewkę do miski i zabieram się do obierania selera. I wtedy słyszę, jak winda rusza z dołu i jedzie na górę. To stary model, jeszcze przedwojenny, wygląda zupełnie inaczej niż współczesne. Drewniana w środku i bardzo głośna. Po chwili zatrzymuje się na naszym piętrze. Czyżby pan Søren przyniósł kolejny bukiet słoneczników?

Nasłuchuję jego kroków w korytarzu i cichego stukania do drzwi, charakterystycznego puk, puk i po chwili znów puk. Jednak nic takiego się nie dzieje. Nikt nie wysiada z windy. Tylko my mieszkamy na tym piętrze, być może ktoś się pomylił, ale w takim razie dlaczego nie odjeżdża? Zamieram z nożem w ręku nad deską i nasłuchuję. Cisza.

Ruszam w stronę drzwi, serce zaczyna bić szybciej, choć staram się uspokoić siebie w myślach. Najciszej, jak potrafię, przykładam oko do wizjera. Światło z windy rzuca bladą poświatę na ciemny i pusty korytarz. Na samym środku jasnej plamy światła porusza się cień. Odskakuję od drzwi jak oparzona. Ktoś jest w windzie, ale z niej nie wysiada. Dlaczego? I kim jest? To oni? Znaleźli mnie? Nikodem albo tak kobieta, która przyglądała mi się, gdy stałam na balkonie? Zauważam, że nadal trzymam w ręku nóż, ale nie wracam do kuchni, aby go odłożyć.

– Leno! Leno! – Niespodziewane wołanie pani Sary sprawia, że drgam. – Pozwól na chwilę.

Kładę rękę na zasuwie drzwi. Nikt tu się nie dostanie, zawsze pamiętam, aby zamknąć się od środka.

– Leno! – ponagla.

Jak na staruszkę krzyczy tak głośno, że mam wrażenie, że ten, kto stoi w windzie, także nas słyszy. Odwracam się i ruszam w stronę salonu.

– Tak, pani Saro? – odpowiadam, stając w progu.

– Po co ci ten nóż? – pyta.

– Kroiłam warzywa na sałatkę – tłumaczę, słysząc, jak winda rusza.

Czy osoba, która w niej była, zjechała na dół, czy może stoi już pod naszymi drzwiami?

– Pozwól do mnie na chwilę – prosi pani Sara.

Miałabym ochotę wrócić do drzwi i znów wyjrzeć na korytarz albo podbiec do okna i zobaczyć, kto opuszcza kamienicę, ale pani Sara zaczyna mówić, że potrzebuje koniecznie jakiejś skrzynki, którą trzyma w łóżku, i chce, żebym ją wydobyła.

– I odłóż, proszę, ten nóż – mówi, wskazując ręką na ostrze. – O, tutaj chwyć. – Poklepuje siedzisko kanapy. – Mam tam dużo osobistych pamiątek, prywatne muzeum, na którym śpię. – Uśmiecha się.

Posłusznie otwieram tapczan i wyjmuję z niego kuferek, zamknięty na kłódkę z kodem. Wręczam go pani Sarze, a serce wali mi jak szalone. Kto był w windzie? Może powinnam uciekać, bo za chwilę wyważy drzwi i wtargnie do środka? Staruszka wpisuje kod, cztery zera i wyjmuje ze środka mnóstwo czarno-białych fotografii – plenery, ludzie, ulice miast. Różne perspektywy, różny poziom zachowania zdjęć, ale bez wątpienia trzyma w ręku coś unikatowego.

– Wyłączę jajka – rzucam, chcąc jak najszybciej sprawdzić, co dzieje się za drzwiami.

Wychodzę z salonu i podbiegam do wizjera. Opieram spocone dłonie na drewnianych drzwiach i przykładam oko do judasza. Ciemno. Nie ma nikogo. W przeciwnym razie fotokomórka wykryłaby czyjąś obecność i zaświeciłoby się światło. Ktoś był, ale już sobie poszedł.

– Leno! – znów woła pani Sara. – Przynieś mi nożyczki.

– Za chwilę – odpowiadam, wchodząc do kuchni.

Staję za firanką i spoglądam na ulicę. Ludzie poruszają się w jedną i drugą stronę, nie zauważam, żeby ktoś wpatrywał się w kamienicę. Przysuwam krzesło do parapetu i wchodzę na nie, chcąc sprawdzić, co dzieje się z naszej strony ulicy. Nie widzę samego wejścia do kamienicy, jedynie skrawek chodnika i rząd równo zaparkowanych wzdłuż niego aut. Matka z wózkiem, jakaś staruszka, dwie nastolatki z kolorowymi plecakami, nikt podejrzany. Kto to był? Listonosz zostawia korespondencję w skrzynce na dole, nigdy nie wjeżdża na górę. Kurier, dostawca jedzenia? Niczego nie zamawiałam. Może pomylił pięta, a nawet sam adres?

Gdyby to byli oni albo Nikodem, na pewno nie poszliby, jeśliby do mnie dotarli, nie odmówiliby sobie przyjemności wtargnięcia do domu. Ta kobieta? Nawet nie mam pewności, czy w ogóle istnieje jakaś kobieta, czy nie interpretuję błędnie rzeczywistości. Nie

powinnam popadać w paranoję. Na pewno ktoś pomylił piętra, przecież nikt z mojego dawnego świata nie wie, że mieszkam u pani Sary.

Sięgam do szuflady po nożyczki i wracam do salonu.

– Proszę, otwórz to – mówi, wręczając mi grubą, szarą kopertę. – Ręce się mi się dziś okropnie trzęsą.

Biorę od niej kopertę i przecinam papier. W środku są kolejne fotografie.

– Nie myślała pani, aby zrobić z tego jakąś wystawę? – pytam, siadając na kanapie.

Mój oddech się uspokaja. W mieszkaniu nadal panuje cisza przerywana przez szelest zdjęć, które przekłada staruszka. Muszę się uspokoić, nikt mnie nie odnalazł, to tylko podszepty wyobraźni.

– Myślałam, moje dziecko, i zrobię to – mówi, spoglądając na mnie. – Ale najpierw muszę skończyć pisać historię; spisać wszystko, co zostało mi przekazane, co znalazłam w pamiętniku mojej matki.

– Pani mama spisała wspomnienia?

– Tak, z czasów wojny i okupacji – tłumaczy, wracając do przeglądania fotografii, najwidoczniej czegoś szuka. – Przygotowuję coś niezwykłego. – Uśmiecha się, spoglądając na mnie, a potem dumnie dodaje: – Chcę wydać książkę o mojej rodzinie. Wiesz, że nie zmieniłam nazwiska, wychodząc za Larsa, czułam, gdzieś w środku – dotyka dłonią klatki piersiowej – że muszę je zachować, że wyraża moją tożsamość, pamięć przodków. Lars nie miał nic przeciwko – dodaje, znów pochylając się nad zdjęciami.

Nie zauważyłam, żeby pani Sara nad czymś pracowała, nie ma laptopa, staroświeckiej maszyny do pisania ani nawet brulionu. Często jednak w naszych rozmowach przewijają się tematy dotyczące drugiej wojny światowej i losów jej rodziny ocalałej z Holocaustu dzięki Polakowi, który ukrył ich w domu na mazowieckiej wsi. Nadal utrzymuje kontakt z jego potomkami. W czasie wojny pani Sara była małą dziewczynką, niedużo pamięta z tamtego okresu, ale dzięki historiom, którymi dzielili się z nią rodzice i rodzeństwo, wiele zostało w jej wspomnieniach.

– Pisze pani książkę? – pytam, spoglądając na nią.

– Ona jest już napisana – stwierdza. – Pamiętniki mojej matki, chcę je wydać.

– Naprawdę? – Jestem autentycznie zdziwiona. – Bardzo dobry pomysł – dodaję, szczerze popierając tę ideę. – Mogłabym je przeczytać?

– Och, moje dziecko, to niemożliwe, moja matka pisała dziennik w jidysz – mówi, sięgając na dno drewnianej skrzynki. – Zobacz sama – dodaje, wręczając mi bruliony związane grubym szarym sznurem. – Przetłumaczę na polski i wydam książkę. – Spogląda na mnie. – Już nawet rozmawiałam o tym z panią dyrektor, opowiedziałam jej o pamiętnikach mojej matki i swoim pomyśle przetłumaczenia i wydania książki. – Posyła mi uśmiech. – Pani dyrektor była pod wrażeniem, dosłownie mowę jej odebrało. To istna kopalnia faktów, jestem pewna, że informacje zawarte w pamiętniku mają ogromne znaczenie histo-

ryczne, podane są konkretne nazwiska, daty, opisane historie mogą zawierać informacje o wydarzeniach, o których nikt nie wie. – Poprawia się na wózku. – Żałuję tylko, że wcześniej się do tego nie zabrałam, martwię się, czy doczekam publikacji książki.

– Pani? O to jestem spokojna!

Staruszka czuje się świetnie, co prawda przyjmuje leki, całą masę, ale jestem przekonana, że ma przed sobą jeszcze wiele lat życia.

– Obyś miała, dziecko, rację. – Uśmiecha się. – Gdy książka się ukaże, zrobimy fetę, jakiej Kopenhaga nie widziała! – Zatacza ręką krąg wokół siebie. Po chwili smutnieje i spuszcza głowę. – Jestem im to winna – mówi, spoglądając na swoje dłonie złożone na podołku beżowej sukienki. – Tym wszystkim, który nie przeżyli, i tym, którzy pomogli przeżyć takim rodzinom jak moja. – Podnosi na mnie wzrok. – To moje największe pragnienie. Prawda jest najwyższym dobrem, ludzie muszą chcieć i móc poznać prawdę.

Znów ściska mnie gdzieś w środku, pochylam się nad stronami zapisanymi literami w nieznanym mi alfabecie. Włosy opadają mi na twarz, zakrywając łzy pojawiające się w moich oczach. Gdyby tylko pani Sara wiedziała, co zrobiłam, nie darzyłaby mnie taką sympatią i zaufaniem. Ani ona, ani życzliwy sąsiad Søren, ani panie ze sklepu spożywczego na naszej ulicy. A ja – choć źle się czuję z tym, że skrywam przed nimi wszystkimi swoje tajemnice – nie mogę pozwolić, aby ujrzały światło dzienne. Mimo że szczerość jest największą cnotą, jestem zmuszona kłamać. I wiem, że zrobię wszystko, by ukryć prawdę o sobie.

EMIL

23 września 2019
Kopenhaga

– Jak to nie pojedziesz? – Odwraca się i spogląda mi w oczy.

– Nie pojadę – mówię stanowczo.

Zdejmuje fartuch pielęgniarski i ze złością rzuca go na oparcie krzesła. Robię krok w jej stronę, próbując objąć ją ramieniem, ale odtrąca moją rękę. Od awantury dzielą nas sekundy.

– Możemy porozmawiać o tym w domu? – pytam.

Nie chcę robić scen w szpitalu. Właśnie przed chwilą moja dziewczyna oznajmiła, że po dyżurze pojedzie do mnie spakować nas na wspólny weekend w Szczecinie. Musiałem jej w końcu powiedzieć, że nie mam zamiaru poznawać jej bliskich.

– Chodzi o nią, tak? – Spogląda mi w oczy. – O tę twoją byłą dziewczynę – syczy.

– Przecież mówiłem ci, że Lena nie była moją dziewczyną. – Stopień irytacji rośnie w moich żyłach.

Ostatnio nie wykazałem się zbyt dużą ostrożnością, przeszukując internet i próbując znaleźć jakieś informacje na temat Leny, w obecności mojej dziewczyny. Wyszła spod prysznica, gdy nalewałem sobie wina, wskoczyła na kanapę i zerknęła na ekran komputera.

– Kim jest Lena Romanowska? – zapytała, wpatrując się w hasło w wyszukiwarce.

– A – westchnąłem, żałując, że nie zatrzasnąłem laptopa. – Dawna znajoma – powiedziałem, zdejmując z półki drugi kieliszek dla niej.

– To po co o niej czytasz?

– Miałem wrażenie, że widziałem ją w Kopenhadze i chciałem sprawdzić, czy rzeczywiście się tu przeprowadziła. – Niepotrzebnie zdobyłem się na szczerość.

Spojrzała na mnie z miną mówiącą: „Tylko dlatego? Taki błahy powód? Lepiej powiedz mi prawdę, nim sama ją odkryję". Zlekceważyłem jej prowokujące spojrzenie, odwróciłem się i zająłem opłukiwaniem winogron pod bieżącą wodą.

– Była twoją dziewczyną, prawda? – zapytała z wyraźną nutą zazdrości w głosie.

Jak można być zazdrosnym o czyjąś przeszłość?

– Nie – powiedziałem, siadając obok niej na kanapie. Podałem jej kieliszek wina i nie pragnąłem niczego innego jak zmiany tematu. – Zobacz, co dzisiaj dostałem.

Sięgnąłem do aktówki leżącej obok sofy. Wyjąłem z niej podwójne zaproszenie na wieczór historyczny w Instytucie Polskim w Kopenhadze.

– W następny piątek. – Wskazałem datę na zaproszeniu. – Odbędzie się prelekcja pani dyrektor Szmidy… – zacząłem czytać.

– Skąd je masz? – przerwała, wyrywając zaproszenie z mojej ręki.

– Dostałem od jednej z pacjentek, Polki, która odwiedziła swojego ojca w szpitalu, tego staruszka spod piątki – sprecyzowałem. – Pracuje w instytucie, zachwalała to spotkanie. Podobno ciekawa prelekcja dotycząca drugiej wojny światowej, połączona z degustacją wina i takie tam – dodałem, opierając głowę o poduszkę. – Pójdziemy?

– Jasne, czemu nie. – Wzruszyła ramionami, obracając w palcach zaproszenie. – Ale teraz nie zmieniaj tematu – dodała, odkładając karnecik na stolik. – Opowiedz mi o tej dawnej znajomej. – Popatrzyła mi w oczy. – Po twojej minie widzę, że jednak coś więcej dla ciebie znaczyła.

Nie miałem zamiaru zaprzeczać, im bardziej zacznę uciekać od tematu, tym mocniej ona będzie naciskać.

– Okej – rzuciłem. – Co chcesz wiedzieć?

– Gdzie się poznaliście?

Opowiedziałem, jak Lena wprowadziła się do mojego mieszkania w Krakowie, była moją współlokatorką przez kilka miesięcy, a potem nagle zniknęła. Na koniec dodałem historię znad Bugu z trupem w tle, która w jakiś sposób musi być z nią związana.

– Matko. – Otworzyła szerzej oczy. – Ona go zabiła?! Dzieliłeś mieszkanie z morderczynią!

– Nie. – Pokręciłem głową. – Ona tego nie zrobiła.

– Skąd wiesz? Byłeś tam z nią?

– Oczywiście, że nie – zaprotestowałem. – Co ci przyszło do głowy? Nie wiem, dlaczego zniknęła, nie wiem, kim był dla niej ten martwy facet…

– A więc skąd masz pewność, że ona go nie zabiła? – przerwała mi.

– Nie była do tego zdolna. Delikatna, wrażliwa, nie byłaby w stanie zabić człowieka, gdyby nawet chciała.

– Ale jesteś naiwny. – Pokręciła głową. – Nieźle tobą manipulowała…

– O co ci chodzi? – Popatrzyłem na nią surowo. Nie podobał mi się sposób, w jaki ze mną rozmawia.

– Mam nadzieję, że powiedziałeś o tym policji.

– O czym?

– O tym, że to ona zabiła tego faceta wyłowionego z Bugu.

– Ona tego nie zrobiła! – zaprotestowałem. – Rozmawiałem z nią.

– W Kopenhadze? Spotykacie się? – Spojrzała na mnie takim wzrokiem, że gdyby zabijał, już leżałbym martwy.

– Nie, co ty wymyślasz! – Niemal krzyknąłem. – Skończmy tę rozmowę.

– Jak mogłeś zataić przed policją jej udział w morderstwie? – powiedziała oburzona, podnosząc się z sofy. – Ona może być niebezpieczna i do tego ukrywa się w naszym mieście. Trzeba coś z tym zrobić! – Chodziła nerwowo po pokoju, nie pozwalając mi dojść do głosu. – Wiesz, że za ukrywanie mordercy grozi więzienie?

– Ona nie jest mordercą. – Też podniosłem się z kanapy. – A ja jej nie ukrywam!

– Fakty mówią co innego. – Zatrzymała się, podpierając rękami pod boki. – Musisz iść na policję i powiedzieć, że widziałeś ją w Kopenhadze. Powinni ją odnaleźć i wymierzyć sprawiedliwość.

– Nawet nie mam pewności, czy to była ona – skłamałem, tego akurat byłem pewien w stu procentach. – Przemknęła ulicą, równie dobrze mogła to być inna dziewczyna.

– A więc stale o niej myślisz – powiedziała, krzyżując ręce na piersi.

– Nie myślę – skłamałem ponownie.

– Jeśli widzisz ją w innych kobietach, to myślisz. – Obstawała przy swoim, a ja tak bardzo żałowałem, że dałem się wkręcić w tę rozmowę.

Mogłem powiedzieć, że to jakaś moja krewna, daleka rodzina, cokolwiek, co nie wzbudziłoby jej zazdrości i oszczędziło nam tej żenującej rozmowy. Do końca wieczoru udało mi się odwieść ją od przekonywania mnie do złożenia wizyty na policji, ale niepokój i napięcie tamtego dnia wkradło się między nas i stale tkwi jak szklana, nieprzepuszczalna bariera. Także teraz, w dyżurce lekarskiej stoimy naprzeciwko siebie, a atmosfera jest duszna jak przed burzą.

– Mam dużo pracy – mówię. – Wiesz, że przygotowuję się do sympozjum…

– Jest dopiero za dwa miesiące – przerywa mi. – Dlaczego nie chcesz ze mną jechać? Powiedz mi prawdę!

Znów jej stały gest, podparcie się pod boki i wbicie we mnie oskarżycielskiego spojrzenia. W takich chwilach myślę, że lepiej być wolnym strzelcem, po co to całe mieszanie się w stały układ, z tego są tylko problemy. Jednak z drugiej strony jest naprawdę seksowną, energiczną dziewczyną, od dawna o żadnej nie myślałem do tego stopnia poważnie. Co nie znaczy, że przyszła już pora poznawać jej rodzinę.

– Mówię prawdę – tłumaczę fałszywie.

Tak naprawdę chciałem poszwendać się trochę po mieście, liczyłem na to, że dopisze mi szczęście i spotkam Lenę. Kobietę, która prawie rok temu wyparowała z mojego życia, a której obecność wciąż unosi się nade mną. Nie wiem, czy to za sprawą tych wszystkich pytań bez odpowiedzi, niewypowiedzianych myśli i uczuć, czy raczej ukrytej gdzieś we mnie głęboko złości na nią. Urażonej dumy, że potraktowała mnie w ten sposób. Jak nikt nigdy wcześniej. Chciałbym poznać prawdę o niej, zrozumieć, co takiego się wydarzyło,

dlaczego w moim laptopie pojawiły się te wszystkie hasła, jasno wskazujące na to, że na sumieniu ma czyjąś śmierć.

– W takim razie ja zostaję – deklaruje.

– Słucham?

– Jeśli nie jedziesz ze mną do Szczecina, ja zostaję w Kopenhadze.

– Świetnie – daję za wygraną. Nie mam już sił na kolejną kłótnię i demonstrację niedorzecznych podejrzeń. – Wprowadź się do mnie na cały weekend i nie opuszczajmy łóżka – szepczę jej do ucha, bo wiem, jak ją udobruchać.

Daje się przytulić, przywiera do mnie, zaplata ręce na mojej szyi. Wiedziałem, że to wystarczy. Sucha deklaracja, że się nią zajmę, że nie liczy się nic poza nią. Wtulam twarz w jej włosy, czuję delikatny zapach słodkich perfum mieszający się z płynem do dezynfekcji. Odchyla głowę i spogląda na mnie.

– A nie miałeś być zajęty?

Mimo żartobliwego tonu w jej oczach dostrzegam podejrzliwość. Co tak naprawdę chodzi jej po głowie? O czym myśli? Co planuje? Jest pełna zagadek i sprzeczności. Podejrzewam, że jej nieodgadniona natura stanowi główny wabik. Zawsze to, co nieoczywiste, jest ciekawe.

– Miałem i będę – stwierdzam, wyswobadzając się z jej uścisku. – Ale ty możesz mi w tym potowarzyszyć. – Uśmiecham się do niej. – A poza tym w piątek zabieram cię na odczyt do instytutu – mówię, przypominając sobie o zaproszeniach. – Masz już kreację?

– A powiedz, kiedy pojedziemy do Szczecina? – Chwyta obiema rękami za kołnierzyk mojej koszuli, nie pozwalając mi odejść.

Nim jednak zdążę odpowiedzieć na niewygodne pytanie, drzwi dyżurki otwierają się i wchodzi Kamila, pielęgniarka ze Słowacji.

– Przepraszam – mówi, chcąc się wycofać.

– Chodź – zachęcam ją. – Ja właśnie wychodzę, mam obchód.

Dziewczyna wchodzi do środka, a ja uwalniam się z niewygodnego położenia, ciesząc się, że Kamila wybawiła mnie od odpowiedzi na niezręczne pytanie. Obsesja na punkcie Leny robi z mojej dziewczyny tyrana, energetycznego wampira, od którego najchętniej uciekłbym jak najdalej. I to czynię, wychodząc na korytarz i zamykając za sobą drzwi.

LENA

25 września 2019
Kopenhaga

– Ta będzie odpowiednia – mówi pani Sara, gdy staję przed nią w obcisłej sukience. – Zielony butelkowy jest niezwykle elegancki, czarny zbyt oficjalny jak na taki bankietowy wieczór, poza tym nie znoszę czerni, jest taka smutna.

Podjeżdża do mnie na wózku i dotyka materiału sukienki. Nigdy nie sądziłam, że wybiorę się na zakupy modowe z kobietą w wieku mojej prababci. Jesteśmy w jednym z butików na Strøget. Lubię tu przychodzić, ulica ma swój klimat – znane marki, eleganckie butiki i popularne sieciówki, każdy znajdzie coś dla siebie.

– Dobrze ci w niej – dodaje, patrząc na moje odbicie w lustrze.

Ma rację, jestem zadowolona z efektu. Dodatkowo cena jest przyzwoita.

– Biorę – rzucam, chowając się w przebieralni.

Cały czas czuję się obserwowana. Właśnie w tej chwili znów dopadło mnie to ulotne wrażenie. Ktoś czyha na moje życie, muszę uważać! Wyglądam zza zasłony przebieralni, ale oprócz pani Sary i ekspedientki nie ma tu nikogo. Dwie młode dziewczyny wyszły przed chwilą z torbami pełnymi ubrań z jesiennej kolekcji i zostałyśmy same. Ktoś na ulicy obserwował mnie przez wielkie, wystawowe okno? A może wpadam w paranoję? Kobieta na ulicy, która wpatrywała się we mnie, gdy podlewałam kwiaty na balkonie? Wciąż nie mogę o niej zapomnieć. Czy to był przypadek, czy tylko mi się wydawało, a może jest coś, o czym nie wiem? Znów stałam się czyimś celem?

Siadam na małym okrągłym krzesełku, które stoi w rogu przebieralni, i chowam twarz w dłoniach. Odczyt ma się odbyć w najbliższy piątek, a ja już od kilku dni mam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. To chore. Muszę przestać wkręcać się w spiralę niedorzecznych myśli. Dobrze się ukryłam, zatarłam za sobą wszystkie ślady, przez pół roku nikt mnie nie szukał i tym bardziej teraz są małe szanse, że mnie odnajdzie. Ta kobieta na ulicy to czysty przypadek, powinnam koniecznie o niej zapomnieć. A gdyby to był Nikodem albo ludzie, którym uciekłam, nie traciliby czasu na obserwację, tylko od razu przystąpili do działania.

Zdejmuję sukienkę i wkładam szary golf. Jednym szybkim ruchem odsłaniam zasłonę, jakbym chciała przyłapać kogoś na gorącym uczynku, i wychodzę z przebieralni.

Pani Sara gawędzi z ekspedientką, a na ulicy nie widzę nikogo, kto wpatrywałby się we mnie. Ludzie pędzą każdy w swoją stronę, nikt nie skupia na mnie uwagi.

– I jaka decyzja? – pyta ekspedientka, podchodząc do mnie.

– Biorę – mówię, posyłając jej uśmiech.

– Bardzo dobry wybór – stwierdza staruszka, gdy opuszczamy sklep.

Wcześniej namówiła mnie do zakupu niebotycznie wysokich szpilek i eleganckiego kompletu bielizny.

– Każda kobieta zawsze musi mieć piękny biustonosz, w którym idealnie leżą jej piersi i w którym czuje się atrakcyjną kobietą. I nie dla mężczyzn, kochana – dodała. – Choć bez wątpienia to nigdy nie ujdzie ich uwadze. Ale dla siebie. Dla samej siebie.

Tak więc stałam się szczęśliwą posiadaczką dwóch takich kompletów, za które zapłaciła pani Sara, mówiąc, że chce sprawić mi prezent i abym nie pozbawiała jej tej możliwości i radości czerpanej z dawania. Niezwykła z niej kobieta. Najlepsza przyjaciółka, niezazdrosna, nierywalizująca i szczera.

Pcham wózek, wciąż dyskretnie zerkając na boki. Nie widzę niczego niepokojącego. Od rana silnie wieje, przyjemnie szczypiąc w policzki.

– Niech pani poczeka – rzucam, blokując jej wózek.

Sięgam do kieszeni po telefon i robię zdjęcie pochłoniętej w popołudniowym zgiełku ulicy. Wiatr targa włosami ludzi, flagi na budynkach administracji państwowej trzepoczą, a szale kobiet fruwają na wietrze. Jest w tym niezwykły klimat, ulotność chwili, gra barw.

– Zajmujesz się fotografią? – pyta pani Sara, gdy wracam do wózka.

– Bardzo bym chciała związać z tym swoją przyszłość.

– Wspaniale. – Kiwa głową. – Masz w planach jakieś studia?

Nie chcę, abyśmy mówiły o moich planach na przyszłość. Odblokowuję wózek i ruszamy, wiatr połyka jej słowa, dociera do mnie coś o spełnianiu życiowych pasji. Gdybym o tym nie wiedziała. Znalazłam w Danii kilka ciekawych ofert dotyczących fotografii, ale wciąż nie podjęłam decyzji, czy powinnam wychodzić do ludzi. Nie tak łatwo pozbyć się swoich lęków i fobii.

ANNA

25 września 2019
Kopenhaga

Gdy człowiek odczuwa zagrożenie, chwyta się każdego sposobu, by wyjść z opresji cało. Piekło nosisz w sobie, nie musisz się go bać, powtarzał mój dziadek. I ja się z tym zgadzam. Moje piekło to ciągły strach przed utratą tego, co mam, co zdobyłam i czego nie chcę oddać. Ona nie może zabrać mi mojego życia, zniszczyć wypracowanej pozycji, zdemaskować mnie. Napięcie, w którym żyję, przekłada się na mój związek, wiecznie się kłócimy, nie czerpię przyjemności z seksu, od środka zżera mnie niepokój. Łatwo jest zdjąć ubranie, o wiele trudniej pozbyć się wszystkich swoich trosk i obaw. Ujawniając prawdę o sobie, poczułabym się prawdziwie naga. A gdyby wiedział, co wypełnia moje myśli, co planuję zrobić, utraciłabym go na zawsze.

Przyjeżdżając kilka lat temu do Kopenhagi, wiedziałam, po co tu jadę i co chcę osiągnąć. To było z góry zaplanowane, marzyła mi się kariera, przystojny partner, piękne mieszkanie i wystawne życie. Odfajkowałam wszystkie z wymienionych zadań, a w niektórych punktach życie nawet przerosło moje oczekiwania. I gdy w końcu umościłam sobie wygodne gniazdko i zaczęłam się w nim urządzać, pojawiła się ona. O nie! Tego nie było w planach. Nie mam innej perspektywy, życie, które wiodę, jest wygodne i przewidywalne, ciężko na to pracowałam, nie pozwolę, aby ktoś mi to zabrał.

Wychodzę z domu, głośno trzaskając drzwiami. To nie było zamierzone, to za sprawą przeciągu, dobrze, że dzisiaj spałam sama, bo znów wypominałby mi moje nerwowe zachowanie. Czuję, że coraz mniej dla niego znaczę, wymyka się z moich rąk, powoli go tracę i ta myśl przeraża mnie najbardziej.

Na ulicy siąpi deszcz. Mimo że tego roku wrzesień jest ciepły, jest też mokry. Od tej wilgoci kręcą mi się włosy, a ja nie znoszę siebie w frywolnych loczkach wokół twarzy. I to akurat dzisiaj, gdy idę wybrać odpowiedni strój na piątkowy wykład w Instytucie Polskim. Muszę wyglądać jak milion dolarów, a przymierzając sukienki i patrząc na swoje odbicie w lustrze w aureoli skręconych włosów, nie spodobam się sobie. Rano, gdy świeciło słońce, zastanawiałam się, czy nie pojechać rowerem. Ostatnio nie mam w życiu zbyt

wiele czasu na regularny ruch. Jednak gdy koło południa zaczęło padać, zdecydowałam się na jazdę samochodem. Wsiadam do auta i włączam się do ruchu.

Po zakupach pojadę na Esplanaden, wiem, że to tylko popsuje mi humor – jeśli w ogóle dziś ma zamiar zagościć w mojej duszy – ale obserwowanie staruszki i dziewczyny staje się powoli moim nałogiem. Mogłabym sobie odpuścić, skupić się na stroju, perfumach, przygotować się na piątkowy wieczór, ale nie potrafię wyrzucić jej z głowy. Jest moim największym zagrożeniem, wisi nade mną niczym miecz Damoklesa, a ja patrzę, jak gładki koński włos z każdym dniem staje się cieńszy i dzielą mnie jedynie godziny od chwili, gdy miecz spadnie na mnie i zada śmiertelny cios. Muszę temu zapobiec, a jak wiadomo, w miłości i na wojnie wszystkie chwyty dozwolone. Nie mam zamiaru czekać, aż ona mnie zniszczy. Muszę działać i usunąć zagrożenie ze swojego życia, nim będzie za późno.

LENA

27 września 2019
Kopenhaga

Taksówkę zamawiamy kilka minut po osiemnastej, pani Sara chce być wcześniej w Instytucie Polskim, aby zająć miejsce w pierwszym rzędzie. Gdybym była nietaktowna, mogłabym powiedzieć, że nawet jeśli przyjdzie ostatnia, będzie miała swoje siedzące miejsce i jestem pewna, że jeśli tylko tego zechce, nikt nie odmówi jej siedzenia w pierwszym rzędzie. Oczywiście nie mówię tego, choć znając jej pogodne podejście do życia, wiem, że zaczęłaby się głośno śmiać, winszując mi dobrego żartu. Posłusznie wkładam buty i patrzę, jak pani Sara rozmawia po duńsku z dyspozytorką korporacji taksówkarskiej. Gdyby to ode mnie zależało, przyszłabym w ostatniej chwili, a najchętniej nie opuszczałabym domu.

– Dziękuję – mówi po duńsku i rozłącza się. – Taksówka będzie za pięć minut – oznajmia, chowając swoją komórkę do czarnej skórzanej torebki i spoglądając w moją stronę.

Jestem już gotowa, mam na sobie zieloną sukienkę i upięte do góry włosy. Podobam się sobie. Już dawno nie wyglądałam tak dobrze, po prostu kobieco. Mimo wszystko nie potrafię się tym cieszyć i uspokoić galopujących myśli. Od rana boli mnie brzuch, denerwuję się, że to wyjście może zaważyć na moim bezpieczeństwie. Kilka razy byłam bliska oszukania pani Sary, nawet nie musiałabym udawać zatrucia pokarmowego, bo co chwilę chodzę do łazienki. Jednak widząc jej entuzjazm, radość z szykowania się od kilku dni na ten wieczór, zrezygnowałam z tego pomysłu. Moja przeszłość nie może burzyć jej teraźniejszości. Boję się, czy nie spotkam pana Stefana, czy nie wynikną z tego problemy, ale pocieszam się, że to mało prawdopodobne, a nawet gdyby tak się stało, wyprę się wszystkiego. Chciałabym mieć już ten wieczór za sobą.

– Uchyl Tiszri okno – mówi pani Sara, gdy wychodzimy na korytarz.

Kot kręci się koło moich nóg, próbując razem z nami opuścić mieszkanie, nigdy nie lubi zostawać sam w domu. Jego imię oznacza jeden z miesięcy żydowskiego kalendarza. Staruszka znalazła zwierzaka pod kamienicą dwa lata temu, właśnie w październiku, gdy trwał miesiąc tiszri. Wypycham kota delikatnie nogą do środka i przekręcam klucz

w zamku, pani Sara zdążyła już przywołać windę. Wsiadamy, zjeżdżamy na dół, poprawiając w lustrze swoje fryzury. Gdy wychodzimy na zewnątrz, siąpi deszcz.

– Dobrze, że wzięłam parasol – zauważa pani Sara, otwierając swoją skórzaną torebkę, ale nie ma potrzeby, aby go rozkładać, bo przed nami parkuje taksówka.

Młody mężczyzna o śniadej skórze i słabej znajomości duńskiego pomaga wsiąść pani Sarze na siedzenie, a potem chowa wózek do bagażnika. Podaję mu adres, pod który ma nas zawieźć, patrząc, jak wpisuje nazwę ulicy w nawigację. To dosłownie kilka przecznic od nas, ale pani Sara nalegała na taksówkę.

Drogę pokonujemy w ciszy, krople deszczu ściekają po szybie, a ja zazdroszczę taksówkarzowi możliwości prowadzenia auta, to już ponad pół roku, odkąd sama siedziałam za kółkiem i ta ostatnia przejażdżka nie kojarzy mi się dobrze. Przed oczami stają mi te straszne sceny, krew, moje przerażenie i to wszystko, z czym przyszło mi się potem zmierzyć. Emil, Nikodem, Hubert. Nie mam szczęścia do mężczyzn.

Taksówkarz nagle hamuje, uderzam czołem w zagłówek jego fotela. W swoim języku puszcza wiązankę emocjonalnych słów w stronę kierowcy, który wymusił pierwszeństwo, wyjeżdżając nagle z bocznej ulicy. Po chwili parkujemy pod instytutem i pani Sara reguluje rachunek, dając chłopakowi solidny napiwek.

Przed budynkiem jest już sporo gości, gustownie ubrane kobiety i eleganccy mężczyźni. Czuję niepokój w dole brzucha. Nie pamiętam, kiedy byłam gdzieś, gdzie znajdowało się tak wielu ludzi. Od miesięcy unikałam tłumów, zgromadzeń, miejsc, w których mogłabym zostać rozpoznana lub ktoś zadawałby niewygodne pytania, ale dzisiaj będę musiała temu podołać.

Pcham wózek z panią Sarą, deszcz już nie pada, ale czuć obecną w powietrzu wilgoć. Kilka metrów przed końcem kolejki staruszka zaczyna szukać w torebce zaproszeń. Po chwili jesteśmy w środku, oddajemy płaszcze do szatni, nerwowo rozglądam się dookoła, czy gdzieś w tłumie może być pan Stefan. Nigdzie go nie widzę i nie zauważam, aby ktoś szczególnie obserwował moją osobę, to mnie trochę uspokaja. Zmierzamy w stronę sali, w której ma się odbyć prelekcja, gdy z tyłu rozlega się czyjś głos. Zastygam.

– Pani Saro, pani Saro, proszę poczekać.

Oglądam się i widzę naprzeciw nas elegancką kobietę.

Czerwona suknia, wysokie szpilki, kasztanowe włosy do ramion, proste i błyszczące, musiała przed chwilą wyjść od fryzjera, i do tego piękna kolia na szyi.

– Dzień dobry – odzywa się pani Sara. – Wspaniale pani wygląda – komplementuje strój kobiety.

– Dziękuję – rzuca tamta, wygładzając sukienkę na płaskim brzuchu. – Bardzo się cieszę, że znalazła pani czas, aby zaszczycić nas swoją obecnością – dodaje i pochyla się nad wózkiem, aby uściskać dłoń pani Sary.

– To Lena Romanowska – odzywa się pani Sara, wskazując na mnie. Serce podskakuje mi do góry, już tak dawno nikt nikomu mnie nie przedstawiał. – A to pani dyrektor tego zacnego instytutu. – Uśmiecha się. – Doktor Szmida we własnej osobie.

– Miło mi panią poznać. – Kobieta ściska moją dłoń, ale nie poświęca mi szczególnej uwagi, znów jej spojrzenie ląduje na twarzy pani Sary. – Mam nadzieję, że zostanie pani na degustacji – mówi.

– Oczywiście.

– Wykład potrwa około godziny, potem mogą pojawić się pytania…

– Proszę się nie martwić – przerywa jej pani Sara. – Z przyjemnością zostaniemy.

Rzeczywiście kobieta jest bardzo zdenerwowana, stara się to ukryć, uśmiecha się, ale na jej twarzy dostrzegam niepokój. Wcale jej się nie dziwię, też trzęsłabym się ze strachu, gdybym musiała wygłosić wykład przed tak liczną publicznością. Na dowód moich przypuszczeń pani dyrektor dodaje:

– Nie spodziewałam się tak dużej frekwencji. Rozdaliśmy dwieście zaproszeń i wygląda na to, że wszyscy zdecydowali się przyjść.

– To dobrze, to bardzo dobrze. – Pani Sara chwyta kobietę za rękę. – I niech pani spojrzy, same młode twarze, wspaniale…

– Pani dyrektor! – Naszą rozmowę przerywa wysoki mężczyzna, krzyczy z głębi korytarza, idąc w naszą stronę. – Możemy już panią prosić?

– Muszę uciekać, ale mam nadzieję, że potem uda nam się porozmawiać. Do zobaczenia na degustacji. – Potrząsa dłonią pani Sary i oddala się w stronę chłopaka z identyfikatorem na szyi.

Pani Sara macha do niej ręką, ale kobieta już tego nie zauważa. Nie tak wyobrażałam sobie panią dyrektor, myślałam, że będzie to dużo starsza osoba, o siwych włosach ułożonych w fale i w okularach. Rozbawia mnie moje stereotypowe myślenie.

– Myślałam, że to będzie starsza pani. – Dzielę się swoimi spostrzeżeniami z panią Sarą.

– Doktor Szmida? – pyta, zerkając na mnie. – Ja też początkowo się na to nabrałam. – Uśmiecha się. – Została dyrektorką instytutu trzy lata temu, zastąpiła profesora Oleksińskiego, który przeszedł na zasłużoną emeryturę. Na tę posadę miało chrapkę wiele osób, ale ona okazała się najlepsza. Bardzo zdolna i pracowita osoba, do tego kocha to, co robi.

Zazdroszczę jej. Też chciałabym być taka spełniona zawodowo. Przez myśl przemyka mi wizja mnie pracującej dla niej. Czy w takiej instytucji nie potrzebowaliby fotografa? Kogoś, kto uwieczniałby takie imprezy, biegał po mieście z aparatem, gdy dzieje się coś ważnego? Może Instytut Polski wydaje gazetę polonijną? Muszę zapytać o to panią Sarę, jestem pewna, że gdybym zdradziła jej swoje plany, poparłaby mnie u pani dyrektor.

– Chodźmy już na salę. – Pani Sara chwyta mnie za rękę.

Gdy wchodzimy do auli, większość miejsc jest już zajęta, czuję się nieswojo, mam wrażenie, że oczy wszystkich ludzi skupione są na nas. Mijamy kolejne rzędy, aż dochodzimy

pod samą scenę. Siadam na skrajnym fotelu, a wózek z panią Sarą parkuję obok siebie. Powstrzymuję się przed rozglądaniem dookoła, ale nie opuszcza mnie wrażenie, że ktoś mi się przygląda. Ktoś, kto siedzi za mną, wbił właśnie spojrzenie w moje plecy. A więc jednak pan Stefan przyszedł na dzisiejszą prelekcję? A może przygląda się mi ktoś inny? Po plecach przebiega mi zimny dreszcz.

EMIL

27 września 2019
Kopenhaga

Trzymam ją za rękę, gdy idziemy do Instytutu Polskiego na prelekcję połączoną z degustacją wina. Ostatni raz w miejscu związanym z kulturą byłem w Krakowie, kilka miesięcy temu. Mam na sobie garnitur, ona nawet kupiła na tę okazję nową sukienkę, czuję wyraźną ekscytację dookoła. Musimy częściej wychodzić do filharmonii, teatru czy na wernisaże, korzystać z dobrodziejstw, jakie niesie ze sobą duże miasto. Nieraz już to sobie obiecywałem, ale zawsze brakuje czasu na tego typu atrakcje. To się musi zmienić, nie samą pracą człowiek żyje.

– W przyszłym tygodniu zabieram cię do opery – deklaruję, gdy stajemy na zielonym świetle.

– Opery? – Śmieje się, zerkając w moją stronę. – Znów dostałeś zaproszenie od pacjentki?

– Nie. – Kręcę głową. – Po prostu chcę, żebyśmy częściej bywali w takich miejscach.

– Życie jest zbyt krótkie, bla, bla, bla… – Uśmiecha się. – Szczerze, wolę nasze weekendowe wyprawy na rowerach niż męczenie się w tych niewygodnych ciuchach. – Porusza ramionami w górę i w dół, a jej podskakujące piersi przyciągają mój wzrok.

Przytulam ją do siebie i całuję w usta.

– Taką cię lubię – szepczę. – Uśmiechniętą, żartującą, szczęśliwą.

Nie dodaję, że nie cierpię tej podejrzliwości, zazdrości i ukradkowych spojrzeń, pod których nawałem czuję się jak jakiś przestępca.

– To nie dawaj mi powodów, abym była inna – kwituje.

– Ach, czyli to moja wina – mówię, zdejmując ręce z jej talii.

Chce się kłócić? Teraz? Nie ulegnę temu, zamierzam się dziś dobrze bawić, choć czuję, że ona już ma mnie na muszce. Jeśli na odczycie będzie jakaś ładna, młoda dziewczyna i zatrzymam na niej wzrok dłużej, niż powinienem, będę miał problemy. Zawsze ten sam scenariusz. Zazdrość odmieniana przez wszystkie możliwe przypadki.

W oddali widać już budynek Instytutu Polskiego, z powiewającą flagą i taksówkami zatrzymującymi się przed głównym wejściem.

– Dajmy już temu spokój – mówi, dotykając dłonią mojej twarzy. – Chodźmy, bo się spóźnimy.

Gdy jej ręka ląduje w moim uścisku, słyszę dźwięk telefonu w kieszeni swojego płaszcza.

– Nie! Nie odbieraj! – mówi.

– Muszę – oświadczam, zerkając na wyświetlacz. – To ze szpitala.

Po chwili następuje totalna zmiana planów. Jestem wezwany do pilnej operacji, ofiara wypadku, potrzebują konsultacji okulisty. Chwytam jedną z taksówek zawracających spod Instytutu Polskiego i z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjmuję zaproszenia.

– Ale ty idź – nalegam. – Obiecuję, że dołączę do ciebie najszybciej, jak to będzie możliwe.

Wręczam jej zaproszenia i wskakuję do auta, zostawiając ją na skraju chodnika. Podaję taksówkarzowi adres i rozpinam guzik koszuli pod szyją. W taksówce roznosi się zapach kobiecych perfum, delikatnych, zmysłowych jestem pewien, że już je kiedyś wcześniej czułem. Tylko nie pamiętam, kiedy i na jakiej kobiecie.

LENA

27 września 2019
Kopenhaga

Ciekawość bierze górę, oglądam się i natrafiam na spojrzenie młodej kobiety. Momentalnie odwraca głowę, jest speszona, że przyłapałam ją na tym, jak mi się przygląda. Siedzi sama, ma sympatyczną twarz, włosy upięte w kok, pochyla się i zaczyna szukać czegoś w swojej torebce. Czy to może być ona? Ta, która stała pod naszą kamienicą? Chyba nie, raczej nie, a może jednak? Muszę przestać kierować myśli w tamtą stronę. Nic mi nie grozi, jestem na ciekawej prelekcji z dala od ludzi, którzy mi źle życzą.

Wracam spojrzeniem na scenę, na którą wchodzi właśnie pani dyrektor. Czerwona sukienka podkreśla jej wydatny biust i wcięcie w talii. Rozlegają się gromkie brawa. Pani Sara wspominała, że dwa lata temu odbyła się uroczystość jej czterdziestych urodzin, kobieta jednak wygląda dużo młodziej. Wita wszystkich przybyłych, prosi asystenta o uruchomienie prezentacji, na ekranie za jej plecami pojawia się widok Warszawy z 1945 roku, ruiny, zgliszcza, niczym końcowy kadr z filmu *Pianista*. Pani Sara wzdycha głęboko, widocznie ten obraz przywołuje smutne wspomnienia. Chłopak, który przerwał naszą rozmowę na korytarzu, pstryka zdjęcie sceny, a potem odwraca się i robi kilka ujęć pełnej sali. A więc oni mają już swojego fotografa. Jak mogłam myśleć, że taka instytucja zechce mnie zatrudnić? Osobę bez wykształcenia, bogatego portfolio, nianię staruszki ukrywającą się przed swoją przeszłością.

Kolejne slajdy, daty i wydarzenia, tym razem zdjęcia osób zasłużonych w krzewieniu polskości w Danii. Nie mogę się skupić na treści przekazywanej przez doktor Szmidę, bo moje myśli uciekają do minionych miesięcy. Tęsknię za domem, choć udaje mi się pogodzić z sytuacją, w której się znalazłam, zatracić w codzienności, rutynie, brakuje mi rodziców i życia, które kiedyś wiodłam. Czy zawsze będę musiała się ukrywać, uciekać? A może nie powinnam się bać, tylko iść na policję, do ambasady i wyznać prawdę? Tylko jakie miałoby to dla mnie konsekwencje? Czy za zabicie człowieka zawsze grozi więzienie? Czy gdyby poznali mój motyw działania, byłabym uniewinniona? Ale zabójstwo to zabójstwo. Odgłos oklasków wyrywa mnie z rozmyślań.

– Wspaniałe zdjęcia – mówi pani Sara, zerkając na mnie. – Świetna prelekcja – dodaje, klaszcząc pomarszczonymi dłońmi.

Ludzie podnoszą się z miejsc, idą w stronę sali bankietowej, pani dyrektor przyjmuje gratulacje od poszczególnych gości.

– To reprezentacja z ambasady. – Pani Sara wskazuje ręką na dwóch eleganckich mężczyzn, którzy ściskają dłoń doktor Szmidy. – Zabierz mnie, proszę, moje dziecko, na winko. Czerwone wytrawne jeszcze nigdy nikomu nie zaszkodziło. – Posyła mi uśmiech.

Popycham wózek w stronę drzwi i zauważam, że dziewczyna, która się na mnie gapiła, stoi kilka metrów przede mną. Może tak jak ja jest tu sama, kto wie, przyszła tutaj, bo szuka znajomości w nowym miejscu? Przyjechała niedawno do Kopenhagi, nie ma znajomych? Przez jedną krótką chwilę myślę, że fajnie byłoby mieć koleżankę w moim wieku. Kogoś, z kim mogłabym wyjść czasem na kawę czy wspólnie pobiegać, ale wiem, że lepiej nie wchodzić z nikim w bliskie kontakty, to może mnie tylko zgubić.

Kelner wręcza nam po lampce wina. Podjeżdżam z panią Sarą do foteli ustawionych pod oknami ciągnącymi się przez całą długość sali.

– Pani Saro! – rozlega się za naszymi plecami.

To znów pani dyrektor podchodzi do nas i przedstawia panią Sarę dwóm panom z ambasady. Czuję się trochę nieswojo, bo mnie nie obdarza nawet przelotnym spojrzeniem. Robię krok w tył, odstawiam kieliszek na parapet i zmierzam w stronę toalet, zostawiając panią Sarę w dobrych rękach. Przeciskam się między grupkami ludzi, gdy nagle za moimi plecami rozbrzmiewa pytanie:

– Jak podobała się prelekcja?

W pierwszej chwili mam wrażenie, że to pytanie nie było skierowane do mnie, ale gdy się oglądam, widzę dziewczynę, która mi się przyglądała. Trzyma w ręku talerzyk z malutkimi owocowymi tartami.

– Świetne zdjęcia – cytuję panią Sarę, nie bardzo wiedząc, co mogłabym więcej powiedzieć.

– Zgadzam się – mówi, robiąc krok w moją stronę. – Pierwszy raz jestem na tego typu wieczorze.

– Przeprowadziłaś się niedawno do Danii? – pytam, ale momentalnie tego żałuję.

Nie potrzebuję, żeby zwierzała mi się ze swojego życia i w zamian chciała tego ode mnie.

– Nie. – Kręci przecząco głową. – Mieszkam tu od kilku lat, ale jakoś nigdy nie zdarzyło się, abym zajrzała tutaj – mówi, wolną ręką zataczając koło. – A ty? – pyta. – Ta staruszka na wózku to twoja babcia?

Nie chcę odpowiadać na to pytanie, mimo że dziewczyna stara się być miła, węszę jakiś podstęp. A może tylko mi się wydaje? Może mój przestraszony umysł dyktuje podejrzliwe

scenariusze? Zanim zdążę coś powiedzieć, ktoś trąca mnie w plecy. Bezwiednie wyciągam ręce przed siebie i niemal upadam na dziewczynę, w ostatniej chwili łapiąc równowagę.

– Przepraszam – rozlega się z tyłu.

Oglądam się i widzę otyłego mężczyznę, który przepychając się w stronę wyjścia, potrącił mnie ramieniem.

– Nie szkodzi – mówię.

Facet posyła mi uśmiech, pot perli się nad jego górną wargą, a potem tak jak nagle się pojawił, tak znika w tłumie.

– Przepraszam – rzucam w stronę dziewczyny. – Dobrze, że nie miałam w ręku wina, miałabyś je teraz na swojej sukience.

– Białe to pół biedy, ale czerwone. – Mruży oczy. – Kazałabym ci ją odkupić albo raczej temu tam. – Wskazuje ręką w stronę drzwi. – Na szczęście nic się nie stało. – Strzepuje okruchy tarty ze swojego dekoltu. – Przesuńmy się – proponuje. – Bardzo dużo ludzi przyszło – zauważa, gdy stajemy w rogu sali. – Nie znoszę tłumów – dodaje.

– Ja też – zgadzam się z nią.

– I jak z tą starszą panią? – powraca do porzuconego wątku. – To twoja babcia?

– Właściwie można tak powiedzieć – odpowiadam wymijająco.

Dziewczyna marszczy czoło, sama wiem, że to dziwna odpowiedź.

– Opiekuję się panią Sarą – tłumaczę, siląc się na uśmiech. Lepiej, żeby nie stała się podejrzliwa, jeśli chodzi o moją osobę. – I traktuję ją niemal jak babcię.

– Od kiedy mieszkasz w Kopenhadze? – pyta.

– Od kilku miesięcy – mówię spokojnie. – Dobre te tarty? – pytam, wskazując głową na jej talerzyk, usilnie pragnę zmienić temat, mam dość jej przepytywania.

– Wyśmienite – mówi, kiwając głową.

W jej torebce zaczyna dzwonić telefon, cieszę się, że w końcu będę mogła wyrwać się z ognia niewygodnych pytań.

– To mój chłopak, przepraszam – rzuca, przykładając telefon do ucha i kierując się w kierunku holu.

Idę do toalety, a gdy po chwili wracam, pani Sara nadal siedzi w towarzystwie pani dyrektor, mężczyźni z ambasady zniknęli. Podchodzę do nich, nieśmiało siadam na wolnym fotelu.

– O, jesteś – uśmiecha się pani Sara. – Właśnie rozmawiamy o mojej publikacji – mówi. – Skosztuj tych maleńkich muffinek, pomarańczowe są obłędne – dodaje, przewracając oczami.

Zauważam grymas niezadowolenia na twarzy doktor Szmidy, najwidoczniej przerwałam im ważną dyskusję. Posłusznie sięgam po talerzyk i nakładam dwie babeczki z ogromnego półmiska stojącego na niskim stole między nami.

– A więc na jakim dokładnie jest pani etapie? – pyta pani dyrektor.

– Tak jak mówiłam, został mi ostatni brulion wspomnień mojej matki. – Odstawia talerzyk na stół. – Najtrudniejszy, z czerwca i lipca czterdziestego pierwszego roku, kiedy to zaczęła się wojna sowiecko-niemiecka i tereny, skąd pochodzę, przeszły w ręce niemieckie. To wtedy udało nam się uciec i znaleźć schronienie u przyjaciela rodziny. – Zamyka na moment oczy. – Potrzebuję dosłownie kilku tygodni, aby wszystko było już gotowe – wyjaśnia.

Pani dyrektor kiwa potakująco głową.

– Mogłabym je zobaczyć? Zrobić kserokopie? Jestem ogromnie ciekawa – dodaje.

– Jeszcze nie teraz – odpowiada spokojnie pani Sara. – Jak wszystko już będzie gotowe, wtedy pozwolę opuścić im mój dom. Będzie pani mogła zrobić kserokopie i co tam jeszcze będzie potrzebne do promocji. Oczywiście potem chcę, żeby wróciły do mnie. – Posyła jej uśmiech. – To mój największy skarb! A gdy publikacja ujrzy światło dzienne – ciągnie pani Sara – zrobimy tutaj jej prezentację. – Wskazuje ręką na drzwi do sali wykładowej. – Zaprosimy znamienitych gości, co pani dyrektor na to powie?

– Oczywiście – rzuca kobieta, podnosząc się z fotela. – Obowiązki wzywają, pani Saro – dodaje, ściskając dłoń staruszki. – Muszę lecieć, ale bardzo się cieszę, że pani zaszczyciła dziś nas swoją obecnością. – Po raz kolejny na mnie nie patrzy. – Proszę pamiętać, że zawsze może pani liczyć na moją pomoc.

Puszcza rękę pani Sary i oddala się w stronę sali wykładowej. Nim zdąży zrobić kilka kroków, znów ktoś ją zaczepia, gratulując świetnego wykładu. Przenoszę wzrok na panią Sarę; kończy jeść pomarańczowe muffinki. Cieszę się, że wśród ludzi, którzy zjawili się dzisiejszego wieczoru w Instytucie Polskim, nie ma pana Stefana, ale mimo wszystko chciałabym już wrócić do mieszkania.

– Wracamy? – pytam, zerkając na panią Sarę.

– Oczywiście, jestem już zmęczona.

Unoszę się z fotela i popycham wózek z panią Sarą w stronę wyjścia. W holu zauważam dziewczynę, która cały czas rozmawia przez komórkę, przesadnie gestykulując.

– Proszę tutaj poczekać. – Nachylam się nad wózkiem, parkując go nieopodal drzwi wyjściowych. – Pójdę po nasze płaszcze.

Kolejka do szatni jest dość długa, co tylko uwidocznia, jak dużą popularnością wśród duńskiej Polonii cieszył się ten wykład. Kiedy po kilku minutach wracam z naszymi ubraniami do pani Sary, widzę, że ona rozmawia z tamtą dziewczyną.

– Szkoda, że już wychodzicie – słyszę. – Bo jesteśmy w trakcie ciekawej pogawędki z panią na temat życia w Kopenhadze. – Przenosi na mnie wzrok. – Właśnie czekam na mojego chłopaka, za chwilę dojedzie.

Posyłam jej uśmiech i pomagam pani Sarze włożyć płaszcz na ramiona.

– Miło było poznać – rzuca dziewczyna i ona akurat obdarza spojrzeniem w równym stopniu mnie i panią Sarę. – I mam nadzieję, że do zobaczenia – dodaje.

Żegnamy się i wychodzimy na ulicę.

– Złapiemy jakąś taksówkę? – pytam.

Widzę w oddali samochód, że znaczkiem „taxi" na dachu, jadący w naszą stronę.

– Jeśli nie zrobi ci to różnicy, chętnie przeszłabym się, wieczór taki przyjemny, a tam w środku – wskazuje głową na budynek, z którego wyszłyśmy – było okropnie duszno.

– Bardzo chętnie – mówię, bo też mam ochotę na spacer, choć obawiam się, że niebotycznie wysokie szpilki zamienią go w koszmar.

Mimo wszystko ból fizyczny jest niczym w porównaniu z tym, gdy dręczą cię lęki i gryzie sumienie. Najważniejsze to pozwolić myślom bezpiecznie wylądować na pasie wewnętrznego spokoju i mam nadzieję, że choć dzisiejszego wieczoru mi się to uda. Skręcamy za róg, kierując się powolnym krokiem w stronę domu.

NIKODEM

6 października 2019
Jezioro Powidzkie

Mimo że dopiero początek października, już sporo liści zalega na trawniku przed domem. Od godziny grabię, dokładnie wymiatając zalegające i gnijące liście spod każdego krzewu i drzewa. Czytałem ostatnio artykuł o tym, że praca w ogrodzie ma pozytywny wpływ na samopoczucie. I nie chodzi o sam ruch na świeżym powietrzu, ale o bakterie zawarte w glebie, które – wdychane przez człowieka – uruchamiają wydzielanie serotoniny w mózgu. Musi coś w tym być, bo odkąd zająłem się porządkowaniem ogrodu, mam dość dobry humor. Być może to nie zasługa samych mykobakterii, ale także rezultat mojej wizyty w domu Leny. Co prawda nie dowiedziałem się, gdzie jest, ale samo bycie w miejscu, w którym wszystko się zaczęło, podziałało na mnie motywująco. Odnajdę ją, muszę w to wierzyć.

Po powrocie przejrzałem internet, łudząc się, że odnajdę coś na jej temat, ale to dopiero początek moich poszukiwań, a wiadomo, dobre nastawienie jest najważniejsze. Moje samopoczucie ma też pozytywny wpływ na matkę, bo od kilku dni wstąpiła w nią nowa energia. Być może to też zasługa ich wspólnego wyjazdu z ojcem na wesele do Trójmiasta, mieli w końcu czas dla siebie, spotkali dawnych znajomych, poza tym ja nie sprawiam problemów, a więc kobieta cieszy się chwilą. Poszła właśnie z Biszkoptem na spacer do lasu. Nie ma w zwyczaju zapuszczać się z nim daleko, ale dzisiaj sama się zaoferowała, mówiąc, że ma ochotę pobyć częścią przyrody. Dość długo już nie wracają, mam nadzieję, że nie zgubiła się na leśnych dróżkach. Już niemal wybaczyłem matce, że przez nią straciłem Lenę. Próbuję ją zrozumieć, starała się mnie chronić, nie chciała, aby ktoś mnie zranił, nie znała całej prawdy.

Nakładam liście na taczkę i wywożę do lasu. Cały dzień jest otwarta brama wjazdowa na moją posesję, nie zdarza się to często i nie mogę przyzwyczaić się do tego widoku. Wracam, ładuję kolejną porcję liści i ponownie ruszam w stronę lasu. Nie oddalam się w głąb, ale mimo wszystko niepokoi mnie, że nigdzie nie widzę matki ani psa. Nie ma ich już prawie dwie godziny, to zupełnie nie w jej stylu. Chowam taczkę i grabie do drewutni, myję ręce nad zewnętrznym kranem i gdy mam zamiar pójść ich poszukać, dobiega mnie

z oddali ujadanie Biszkopta. Uśmiecham się, widząc, jak wpadają przez otwartą bramę, najpierw pies, a za nim moja mama.

– Nicpoń jeden – mówi. – W ogóle się nie słucha.

Nie mówię jej, że nie słucha się tylko jej, wobec mnie i Leny zawsze był posłuszny.

– Uciekł ci? – pytam, kucając koło Biszkopta.

– Tak – mówi rozgorączkowana. – Wpadł na posesję do jednego z sąsiadów. Wystraszyłam się okropnie, wiesz, jacy są ludzie… – O tym nie musi mi przypominać. – Biszkopt był bez kagańca, gdyby ugryzł kogoś…

– On nie gryzie – przerywam, ruszając za nią w stronę domu.

– Mimo wszystko nie powinien biegać jak bezpański pies.

Tu akurat ma rację.

– Spuściłam go dosłownie na chwilę – dodaje, obstukując buty na schodach domu. – Chciałam, żeby pohasał swobodnie, a on jak dał dyla, to tyle go widziałam. – Macha ręką.

W przedpokoju zdejmuje obłocone buty i odwiesza płaszcz.

– Wpadł za ogrodzenie do tego sąsiada. – Zerka na mnie. – Swoją drogą facet powinien zamykać furtkę.

Nie mówię jej, że ja przez cały dzień mam otwartą bramę, robiąc co chwila z taczką pełną liści kursy do lasu. Być może sąsiad też porządkuje ogród.

– Ale na szczęście to bardzo sympatyczny mężczyzna – dodaje matka, wchodząc do kuchni. Nalewa z filtra wody do czajnika.

– Mieszka na co dzień w Danii, przyjechał nad jezioro na kilka dni, grabił liście, gdy Biszkopt wpadł na jego posesję – wyjaśnia. – Zaczęłam go przepraszać, ale śmiał się, mówiąc, że uwielbia zwierzęta. Sam nie ma, bo w mieście to dla psów tylko męka. – Siada na krześle. – Zaproponował mi kawę i ciastko.

Czyżby sąsiad ją podrywał?

– I co? Przyjęłaś zaproszenie na randkę? – Uśmiecham się, zerkając w jej stronę. – Spokojnie, mnie możesz powiedzieć, nie powtórzę tacie.

– Nikoś – mówi oburzonym tonem, lecz w jej oczach dostrzegam uśmiech. – Za kawę podziękowałam, ale poczęstowałam się duńskim ciasteczkiem. A, czekaj! – Podrywa się z krzesła i biegnie w stronę przedpokoju. Widzę, jak szuka czegoś w kieszeni płaszcza. Wzięła dla mnie porcję duńskich ciasteczek? – Zobacz, co mi podarował! – krzyczy, idąc z powrotem. – Pan Stefan prowadzi hostel w Kopenhadze – mówi.

– I nawet jesteście już po imieniu – żartuję.

– Nikoś! – ripostuje matka. – Co w ciebie wstąpiło?

Na jej twarzy znów dostrzegam uśmiech. Cieszy się, że dopisuje mi humor czy też za jej nastrojem stoi rozmowa z tym sąsiadem?

– No więc prowadzi hostel w Kopenhadze. – Kładzie na blacie małą książeczkę. – Tutaj jest reklama. – Stuka palcem w zdjęcie na okładce folderu przedstawiające widok koloro-

wej kamienicy. – To ich lokalna gazetka na temat życia Polonii w Kopenhadze, podarował mi jeden z egzemplarzy, gdybym kiedyś była z wizytą w Danii i szukała noclegu – mówi, zalewając herbatę. – Tobie też zrobić? – pyta.

– Nie, dziękuję – odpowiadam, siadając przy blacie i biorąc broszurkę do ręki.

– Wprawdzie donikąd się nie wybieram. – Odwraca się z filiżanką w dłoni. – Ale nie wypadało odmówić, więc wzięłam. – Wzrusza ramionami. – Pójdę się położyć na górę. – Rusza w stronę schodów. – Ta jego ucieczka kompletnie pozbawiła mnie sił. No, zejdź z drogi! – rzuca oschle w stronę Biszkopta, który kręci się pod jej nogami.

Klepię się w udo, przywołując psa do siebie. Potulnie kładzie łeb na moim kolanie i zamyka oczy, gdy drapię go za uchem. Po chwili podchodzi do miski z wodą, a potem układa się na dywanie, opierając pysk na przednich łapach. Widocznie on też się zmęczył wizytą w domu sąsiada. Znów zerkam na folder, który leży na blacie. Sąsiad prowadzi Bed and Breakfast, podany jest numer telefonu i adres strony internetowej oraz wysoka liczba gwiazdek, które przyznają turyści odwiedzający to miejsce. Obok reklama jakiejś restauracji organizującej imprezy okolicznościowe, zakład samochodowy, a tuż nad nim pogrzebowy. Samo życie. Odwracam na tytułową stronę informującą, że to kwartalnik duńskiej Polonii, kartkuję, przebiegając wzrokiem po artykule mówiącym o zmianach w warunkach ubezpieczenia społecznego dla Polaków zatrudnionych legalnie na umowie o pracę. Dalej jest obszerny artykuł o poecie, który żyje i tworzy na północy Danii, a którego matka była Polką, i fotoreportaż z jakiejś uroczystości w Instytucie Polskim. Rzucam okiem na zdjęcia i omal nie tracę tchu. Przez moment autentycznie mam biało przed oczami. To niemożliwe. A jednak!

Na jednym ze zdjęć dostrzegam Lenę. Nie mylę się, to ona. Stoi obok staruszki na wózku inwalidzkim. Zerkam na pozostałe fotografie, zdjęcie jakiejś kobiety w czerwonej sukni przy mikrofonie, potem ta sama wytworna dama w towarzystwie dwóch eleganckich mężczyzn, podpis pod zdjęciem wskazuje, że wieczór zaszczycili swoim udziałem przedstawiciele ambasady polskiej w Kopenhadze. Odwracam na kolejną stronę i na zdjęciu przedstawiającym salę pełną ludzi znów widzę Lenę. Siedzi na krześle, a obok zaparkowany jest wózek ze starszą panią. Serce wali mi jak szalone, odnalazłem ją. Jej matka mówiła, że przebywa za granicą, nie kłamała. Cóż za szczęśliwy traf!

Zrywam się z miejsca i zarzucam kurtkę na ramiona. Biszkopt obudzony moim ożywieniem biegnie za mną do przedpokoju. W pierwszej chwili mam zamiar pędzić do tego sąsiada, zapytać, gdzie mogę ją znaleźć, ale nim zdążę włożyć buty, rezygnuję z tego pomysłu. Nie wiem, czy on w ogóle wie coś o Lenie, a jeśli nawet, moje pytania mogą sprawić, że skontaktuje się z nią i przekaże, że o nią wypytywałem. Przypominam sobie, że gdy Lena mieszkała nad jeziorem, odwiedziła kiedyś tego sąsiada, być może to on namówił ją na wyjazd do Danii? Jednak czy nie pochwaliłby się tym matce? Nieważne. Nie mogę mieszać w to tego pana Stefana, bo to tylko może spłoszyć Lenę. Znów ucieknie

w nieznane, a następnym razem mogę nie mieć tyle szczęścia. Już ponad pół roku, odkąd wyfrunęła z naszego gniazdka, czekałem na ten dzień, wręcz nie mogę uwierzyć w swoje szczęście. Muszę sam tam pojechać i ją odnaleźć. Rozegrać to strategicznie, przygotować się na każdą ewentualność, ale w tym akurat jestem dobry.

ANNA

6 października 2019
Kopenhaga

Są niemal nierozdzielne, dziewczyna i starsza pani, starsza pani i dziewczyna. Zgrany tandem, papużki nierozłączki, Kastor i Polluks. Wymieniłam ze staruszką kilka zdań na temat dziewczyny. Nie potrafiła dosłownie nic o niej powiedzieć. Skąd pochodzi, czym się wcześniej zajmowała? Nic, zupełnie. Zna jedynie jej imię i nazwisko, aż dziw bierze, że tak łatwo wpuściła do swojego domu obcą osobę. Ludzie w jej wieku powinni uważać, z kim się zadają. Jak można być tak nierozważnym i zapraszać przypadkowego człowieka pod swój dach? Nie powinna ufać byle komu, to może ją zbyt dużo kosztować.

Parkuję przecznicę od ich kamienicy i wysiadam z samochodu. Od rana mocno wieje, okręcam się kaszmirowym szalem, kupuję kawę w Coffee to go i idę na spacer do parku Churchilla. Kolorowe liście szeleszczą pod moimi nogami, jakaś para bawi się z psem, rzucając mu patyk, siadam na ławce i przyglądam się ich wyczynom.

Wpadłam na pomysł, aby zaprzyjaźnić się z dziewczyną. Myślę, że to jest najlepsza strategia, wkupić się w jej łaski. Jeszcze nie wiem, jak to zrobię, ale postaram się zaskarbić sobie jej życzliwość. A gdy ona będzie po mojej stronie, z łatwością zapanuję nad sytuacją. Mam zdolności menadżerskie, niezwykły talent manipulatorski, potrafię wywierać wpływ na ludzi i Lena się niebawem o tym przekona. Żałuję, że nie wymyśliłam tego wcześniej. Podczas wieczoru z degustacją wina mogłam poprosić ją o numer telefonu, zaproponować spotkanie. Chciałam to nadrobić, napisać do niej niezobowiązująco przez Facebooka lub Instagram, ale ona nie istnieje w mediach społecznościowych. Doprawdy rzadko się to spotyka w obecnych czasach. Jej rówieśniczki stale wstawiają swoje wyuzdane selfie do sieci, nagość bije po oczach, aż bierze mnie obrzydzenie za każdym razem, gdy skroluję Instagram. Myślą, że tym zawojują świat, ale nie zdają sobie sprawy, że to krótkoterminowe, za chwilę pojawią się młodsze, seksowniejsze i będą kusić zarówno dojrzałych mężczyzn, jak i nowe pokolenia chłopaków.

Żeby ją spotkać, pokręcę się niby od niechcenia po okolicy. Chcę, aby wyszło to naturalnie, po prostu wpadniemy na siebie, ot, przypadkiem, zapytam, co robi, jak miewa się sta-

ruszka i rzucę inne tego typu, niby bez znaczenia słowa. Abym tylko ją spotkała, reszta pójdzie jak z płatka.

Kończę swoją kawę i wstaję, aby wyrzucić kubek. Muszę się przespacerować, bo zmarzłam. Pocieram o siebie dłońmi, zarzucam kaptur na głowę, wychodzę z parku i wtedy je zauważam. Wiedziałam, że wystarczy chwila cierpliwości i na nie wpadnę. Idą wzdłuż Esplanaden, wiatr targa włosami dziewczyny, a starsza pani pobożnie złożyła ręce na podołku, jakby właśnie się modliła. Przez mgnienie oka wyobrażam sobie, że dziewczyna nie pcha wózka inwalidzkiego z wiekową staruszką, tylko dziecięcą gondolkę ze słodkim maleństwem w środku. Wiem, że kiedyś ten dzień nadejdzie, zostanie matką, będzie czerpać wszystkie niepowtarzalne i niezastąpione przyjemności z bycia najważniejszą osobą w czyimś życiu.

Ja nigdy tego zaszczytu nie dostąpię.

Mój partner o tym nie wie, wolę nie ryzykować, nie chcę go stracić.

Czasem dopadają mnie wyrzuty sumienia, że nie mówię mu całej prawdy. Może kiedyś przyjdzie dzień, że podzielę się z nim swoją smutną tajemnicą, ale tylko po ślubie, gdy ta sprawa nie będzie już miała dla niego znaczenia, tylko to, aby być ze mną. Teraz jest zdecydowanie za wcześnie, muszę milczeć do czasu, aż uzyskam pewność, że jego serce w stu procentach należy do mnie. Na razie i tak przez swoją bezpłodność stale czuję się wybrakowana. Może gdyby było inaczej, praca nie odgrywałaby centralnej roli w moim życiu. Wszystko się wokół niej kręci, wszystko się do niej sprowadza. To prawda, lubię to, co robię, ale jeślibym mogła mieć dziecko, na pewno już byłabym matką. Miałabym swoją małą istotkę, dla której mogłabym żyć. I nic oprócz niej by się nie liczyło. Zamiast tego każdego dnia muszę walczyć o utrzymanie swojej pozycji, o utrzymanie swojego związku, o utrzymanie się na powierzchni życia.

Staruszka coś mówi, gestykuluje, dziewczyna uśmiecha się, potakując głową. Szkoda, że są razem. Nie chcę, aby przy tej rozmowie była staruszka, musimy być same, tylko ja i ona. Podchodzą do drzwi kamienicy, dziewczyna wpisuje kod, który dawno zdążyłam podejrzeć, i który też dobrze znam. Lena jest bardzo ładna, śmiało mogłaby robić karierę na światowych wybiegach, a nie pchać wózek z inwalidką po błotnistych ulicach Kopenhagi. Od razu widać, że ma wiele do ukrycia, mimo że stara się zachowywać swobodnie. No cóż, przyprę ją do muru, niech mi wyzna całą prawdę o sobie. A milczenie ma swoją cenę.

NIKODEM

7 października 2019
Jezioro Powidzkie

Wkładam walizkę do bagażnika. Spakowałem się już wczoraj. Gdy matka zbudziła się z popołudniowej drzemki, miałem już gotowy plan. Powiedziałem, że jutro rano wyjeżdżam do Niemiec na kilka dni. Często robię interesy za zachodnią granicą, więc nie zdziwiło jej to.

– Dlaczego wcześniej mi nie powiedziałeś? – zapytała, schodząc po schodach z pustą filiżanką w ręku.

– Bo właśnie przed chwilą odezwał się kontrahent – skłamałem. – Chce się spotkać, przedyskutować osobiście szczegóły oferty. Gdyby nie zależało mi na tym projekcie, starałbym się przekonać go do rozmowy telefonicznie czy podczas wideokonferencji, ale to ważne dla mnie, dlatego zgodziłem się odwiedzić go w siedzibie firmy.

– Chyba wrócę do Gniezna – powiedziała, wkładając filiżankę do zlewu. – Nie zostanę sama na tym pustkowiu.

Chciałem zażartować coś odnośnie do sąsiada z Danii, ale w porę ugryzłem się w język.

– Zaopiekujesz się Biszkoptem? – zapytałem.

Nie miała innego wyjścia, jak się zgodzić. Czego się nie robi dla ukochanego syna? Pojechała dosłownie kilka minut temu, zabierając psa i obiad, który dzisiaj mieliśmy zjeść.

Wyjeżdżam przed bramę i zamykam ją automatycznym pilotem. Włączam alarm, mam nadzieję, że nikt niepowołany nie będzie się tu kręcił podczas mojej nieobecności.

Nastawiam nawigację, która pokazuje, że dojadę do stolicy Danii w mniej więcej dziewięć godzin. Zerkam na zegarek, jest kilka minut po siódmej, a więc po szesnastej powinienem być na miejscu.

Nie mam pojęcia, jak ją tam odnajdę, ale najważniejsze, że wiem, gdzie się ukryła. Mam w głowie kilka pomysłów. Najpierw będę musiał poszukać jakiegoś mieszkania, wczoraj już nie miałem czasu się tym zająć. Zerkam kątem oka na fotel pasażera, w skórzanej saszetce mam jej zdjęcia. Tak szybko zniknęła z mojego życia, że nie zdążyła wszystkiego zabrać. Nikon pełen fotek i laptop, na który także zgrała kilka tysięcy zdjęć. I o ile zdjęcia na dysku wnikliwie poddała analizie, zostawiając jedynie fotografie Biszkopta i jeziora,

o tyle te na karcie w aparacie nie zdążyły przejść jej weryfikacji. Dwa selfie z psem. Jej piękna, zjawiskowa twarz skąpana w promieniach słońca. Zdjęcie zrobione nad jeziorem, w tle łódka i chmury odbijające się w tafli wody. Wydrukowałem je i stale noszę przy sobie.

Wiem, że gdy się spotkamy, nasza rozmowa nie będzie należała do łatwych. Muszę jej wszystko wyznać, powiedzieć całą prawdę. Dość sekretów i tajemnic, to przez nie mnie opuściła. Nie tylko odsłonię przed nią swoją przeszłość, lecz także wyznam, że znam doskonale jej historię. Jestem osobą, która potrafi zapełnić wszystkie luki w jej pamięci. Przywołać obrazy, których nie pamięta i których być może nie chciałaby nigdy poznać, ale są jej potrzebne, by mogła poczuć się wolna. Wiem, że znienawidziła mnie, ale też wiem, że wcześniej darzyła uczuciem. Seks z nią był najwspanialszym doznaniem w moim życiu, muszę ją odzyskać. Jesteśmy pod wieloma względami różni, ale też pod wieloma podobni, choć teraz tego nie czuje, ja pozwolę jej zrozumieć tę zależność. Potrzebujemy siebie wzajemnie, by zapomnieć o tym, co się stało, co zrobiliśmy, co z nami zrobiono. Powiem jej o swoim pobycie w szpitalu psychiatrycznym, o nieudanych próbach samobójstwa, o czarnej stronie mojej duszy. Szczerość za szczerość, tylko ona może nas wyzwolić. Lena musi zrozumieć, że ona obok mnie, a ja obok niej – to jedyne i słuszne rozwiązanie.

Wjeżdżam na autostradę i jadę w stronę Świecka. Nie wiem, ile czasu zajmie mi odnalezienie jej, ale nie zamierzam się poddać. Powiedziałem matce, że spotkanie mam za kilka dni, ale jadę wcześniej, aby dobrze rozejrzeć się w terenie, w którym zamierzam postawić osiedle domków jednorodzinnych. Będę meldować się codziennie, aby nie wzbudzać jej podejrzeń. Gdy zaniepokoi ją mój przedłużający się pobyt lub opieka nad Biszkoptem zacznie ją przerastać, powiem, że podpisałem kontrakt i od razu umówiłem kolejne spotkanie z podwykonawcą, zmyślę coś albo ewentualnie poproszę swoją siostrę o zabranie do siebie mojego psa na kilka dni. Zrobię wszystko, aby odnaleźć Lenę, nie mogę po raz kolejny pozwolić jej uciec.

Mimo nieznacznego ruchu na drodze jestem zmęczony, chyba udziela mi się nerwowe napięcie, które nie opuszcza mnie od chwili, gdy ujrzałem Lenę na zdjęciach w biuletynie przyniesionym przez matkę. W drodze robię dwa przystanki. Jeden jeszcze przed przekroczeniem granicy niemieckiej, kupuję na stacji kawę i tankuję do pełna, a drugi, kiedy oczekuję na wejście na prom. Kilka minut po siedemnastej wjeżdżam w końcu do Kopenhagi. W mieście panują popołudniowe korki, a mnie ogarnia ogromne podniecenie na samą myśl, że jestem tak blisko niej. Oczyma wyobraźni widzę jej zdziwioną minę, niedowierzanie, może nawet przerażenie, gdy znów stanę z nią twarzą w twarz.

Zatrzymuję się pod Instytutem Polskim, kupuję w parkomacie bilet i ruszam w stronę drzwi okazałego budynku. Wchodzę do przestronnego holu, gdzie moją uwagę przykuwa piękny, mosiężny żyrandol na środku strzelistego sufitu. Na pamiątkowej tablicy widnieje

informacja na temat fundatorów tego miejsca, niejakiego generała Grabowskiego, o którym nigdy nie słyszałem, obok w gablocie za szkłem umieszczone są informacje dotyczące najbliższych imprez odbywających się w październiku w Instytucie Polskim. Korytarz jest pusty, w oddali widzę szatnię, która także świeci pustkami.

Postanowiłem zacząć od tego miejsca, bo tutaj wydawany jest ten biuletyn. Lena była uchwycona na kilku fotografiach, na każdej w towarzystwie starszej pani na wózku. Mniemam, że jest z nią w jakiś sposób spokrewniona albo się nią opiekuje, a na zdjęciach nie było innej babci inwalidki, więc mam nadzieję, że wszyscy ją tu znają i pomogą mi do niej dotrzeć. A wtedy już w łatwy sposób namierzę Lenę.

Ruszam przestronnym korytarzem w stronę szatni, bo zauważam krzątającą się tam kobietę.

– Jeszcze nie jest otwarte – odzywa się, gdy mnie zauważa. – Spektakl zaczyna się o osiemnastej, szatnię otwieramy za dziesięć minut.

– Dzień dobry – witam się. Cieszę się, że kobieta mówi po polsku. – Nie przyszedłem na przedstawienie – wyjaśniam. – Przyjechałem z Polski i szukam pewnej kobiety.

Szatniarka marszczy czoło i opiera dłonie na błyszczącym kontuarze. W ręku trzymam kwartalnik, otwieram na zdjęciu z Leną i podsuwam kobiecie pod nos.

– Ta starsza pani na wózku. – Stukam palcem w zdjęcie. – Czy wie pani, jak się nazywa i gdzie ją znajdę?

Za moimi plecami rozlega się odgłos obcasów, oglądam się i widzę elegancką kobietę w obcisłej, szarej garsonce, zmierzającą długim korytarzem w naszą stronę.

– Do widzenia, pani Basiu. – Unosi rękę do góry i macha w stronę szatniarki.

– Do widzenia, pani dyrektor – mówi kobieta. – A, chwileczkę! – Także podnosi rękę. – Tutaj jest pan, który szuka pani Sary, jak jej tam… – Zaciska mocno powieki. – Stein, tej staruszki na wózku.

Kobieta rusza w naszą stronę, ma srogą minę. Odnoszę wrażenie, że za chwilę zruga szatniarkę za ujawnianie nazwisk członków Polonii przypadkowym przechodniom. To kompletny brak profesjonalizmu, ale pani dyrektor potrafi trzymać fason. Spokojnym, acz nieznoszącym sprzeciwu głosem zwraca się do kobiety:

– Pani Basiu, ja porozmawiam z panem. – Zerka na rozłożony przed nami biuletyn i mój palec na zdjęciu kobiety na wózku. – Prosiłabym na przyszłość nie zdradzać personaliów naszych gości, obowiązuje RODO, uczulam ogromnie panią. Mam nadzieję, że dwa razy nie będę musiała tego pani powtarzać – dodaje surowym tonem.

Nie chciałbym być jej podwładnym.

– Przepraszam. – Kobieta przykłada rękę do piersi i zerka na mnie wrogo.

Przeze mnie może mieć kłopoty, posyłam jej przepraszający uśmiech.

– Pan pozwoli – odzywa się pani dyrektor. – Czego pan konkretnie potrzebuje? – pyta.

– Chodzi mi o tę kobietę – mówię. – Panią Sarę – dodaję, ciesząc się, że szatniarka zdradziła mi je imię. – Przyjechałem dzisiaj z Polski, muszę się z nią szybko spotkać, czy wie pani, gdzie ją znajdę?

Kobieta przekłada teczkę do drugiej ręki.

– Zapraszam pana do mnie – odzywa się, obdarzając mnie nieodgadnionym spojrzeniem. Czyżbym wpadł jej w oko? – Nie będziemy rozmawiać na korytarzu – dodaje i odwraca się w stronę, z której właśnie przyszła.

Posłusznie ruszam za nią, próbując dotrzymać jej kroku. Patrzę na opięte szarym materiałem pośladki, tylko mi się wydaje czy celowo tak kręci pupą? Jest w tym widoku coś podniecającego.

– Zapraszam – rzuca, otwierając przede mną drzwi do swojego gabinetu.

Obdarza mnie tajemniczym uśmiechem. Zbyt obiecującym, by tego nie wykorzystać.

EMIL

7 października 2019
Kopenhaga

– Możesz usiąść? – rzucam. – Udziela mi się twoje podenerwowanie, jak tak ciągle chodzisz po pokoju, nie mogę się skupić na pracy.

– Dziwię ci się, naprawdę się dziwię – mówi, zatrzymując się w miejscu i spoglądając na mnie. – Że chcesz tak po prostu zostawić tę sprawę morderstwa. Jesteś jedyną osobą, która zna sprawcę, a milczysz. Ty, lekarz, który…

– Przestań – mówię ostro. – Od kilku dni nawet nie pomyślałem o Lenie, a ty stale o niej gadasz.

Może do końca nie jest to prawda, ale na pewno nie zachowuję się tak obsesyjnie jak ona. Kilka razy przyłapałem ją, gdy szperała w internecie w poszukiwaniu informacji o morderstwie znad Bugu. Chciałaby wsadzić Lenę za kratki. Tłumaczyłem jej, że to tylko poszlaki, że jestem przekonany, że ona nie zabiła tego mężczyzny, ale zawsze wymiana zdań kończyła się w żałosnym tonie. Bronię Leny, bo wciąż coś do niej czuję, a moja dziewczyna nie może pozwolić, aby morderca chodził na wolności. Musimy wyjaśnić tę sprawę, kara powinna być należyta do winy. Jeśli nawet odnajdę Lenę, to na pewno nie po to, żeby jej zaszkodzić. Prosiła mnie, żebym jej nie szukał, z jakiegoś nieznanego mi powodu chciała, aby nasze drogi na zawsze się rozeszły, ale nigdy nie uwierzę, że mogła zabić człowieka.

– O, czyli jednak wcześniej o niej myślałeś, miło słyszeć.

Opiera ręce na biodrach i rzuca mi wrogie spojrzenie.

– Masz obsesję na jej punkcie – mówię.

– Ja?

– Tak. Daj już temu spokój. Zamknięta sprawa. – Trzaskam klapą laptopa. – Idę się przejść.

Zarzucam na ramiona kurtkę i wychodzę z domu. Z mojego domu. Żałuję, że zgodziłem się, aby się u mnie zatrzymała na kilka dni. Gdyby sytuacja była odwrotna, powiedziałbym, że wracam do siebie, a tak głupio ją wyprosić. Chciałbym popracować nad prelekcją, którą będę wygłaszał na sympozjum, ale w takiej atmosferze nie jestem w stanie się sku-

pić, muszę stale odpierać jej ataki. To doprowadzi do eskalacji konfliktu, a od kilku dni sytuacja między nami jest bardzo napięta, mimo że ja naprawdę się staram.

Kropi deszcz, a nie wziąłem parasolki, zakładam na głowę kaptur i chowam ręce do kieszeni. Nagle słyszę za sobą kroki. Najpierw ciche, a potem coraz szybsze i głośniejsze. Dogania mnie na końcu ulicy.

– Idę z tobą. – Wsuwa rękę do kieszeni mojej bluzy i chwyta mnie za dłoń. – Nie chcę, żebyśmy się kłócili.

Odwracam się w jej stronę.

– A robisz wszystko, żeby właśnie tak było.

– Ja robię?

Znowu brniemy w niewłaściwą stronę.

– To daj temu spokój.

– Powiedz mi, proszę, powiedz mi, Emil, tutaj, teraz – chwyta w ręce moją twarz – że jej nie kochasz.

Deszcz ścieka jej po twarzy, jej oczy są ogromne i ładne.

– Nie kocham jej – mówię, a w myślach dodaję: to nie znaczy, że kocham ciebie.

Uśmiech pojawia się na jej twarzy, przywiera do mnie, otacza rękami w pasie.

– Przytul mnie mocno – szepcze. – Mocno. Tak bardzo nie chcę cię stracić.

Obejmuję ją w talii, czuję, jak cała drży. Z zimna czy z emocji?

– Wracajmy do domu – dodaje.

Głaskam ją po plecach, zastanawiając się, jak to w ogóle możliwe, że dałem się wkręcić w tę sytuację. Nie chcę, żebyśmy wracali teraz do mnie, nie mam ochoty spędzać kolejnego wieczoru w jej towarzystwie. Jednak również nie mam zamiaru znów się kłócić, a jeśli ją teraz wyproszę z mojego domu, zgotuję sobie piekło. Chwytam ją za rękę i daję się prowadzić w stronę swojego mieszkania jak potulny dzieciak.

NIKODEM

7 października 2019
Kopenhaga

– Proszę. – Wskazuje miejsce naprzeciwko jej biurka. – Niech pan usiądzie.

– Dziękuję – mówię, odsuwając pięknie zdobione drewniane krzesło, ze skórzanym obiciem siedziska.

Wnętrze urządzone jest w klasycznym, angielskim stylu, przywodzi na myśl gabinet mojego ojca w domu w Gnieźnie. Solidne, potężne, drewniane biurko z nogami przypominającymi zwierzęce kopyta. Za plecami okno wychodzące na dziedziniec, na którym rośnie rozłożysty kasztan, a po bokach ciągnące się od podłogi do sufitu regały z książkami. Lśniąca podłoga i ciężkie zasłony. Źle się tu czuję i zastanawiam się, jak taka atrakcyjna, młoda kobieta może pracować w tym staromodnym wnętrzu.

– W czym mogę panu pomóc? – pyta, opierając łokcie na błyszczącej politurze biurka.

Głębokie wcięcie w jej dekolcie pokazuje obfity biust, pośpiesznie przenoszę spojrzenie na jej twarz, ale widzę, że nie uszło jej uwadze, gdzie przed chwilą patrzyłem.

– Chodzi mi o tę kobietę – mówię, otwierając biuletyn na zdjęciu Leny i starszej pani.

Postanowiłem nikogo nie pytać o Lenę – to może być zbyt niebezpieczne, lepiej nawet o niej nie wspominać. Założyłem, że słuszniej jest zagadnąć o staruszkę, po pierwsze jest bardzo charakterystyczna, nie sądzę, aby w społeczności kopenhaskiej Polonii wiele kobiet poruszało się na wózku, a po drugie na pewno babcia jest tu dłużej niż Lena i szanse, że ktoś będzie wiedział, gdzie mogę ją znaleźć, rosną. A gdy tego się dowiem, odnajdę Lenę.

Kobieta przysuwa do siebie rozłożony przed nami kwartalnik i przygląda się zdjęciu.

– A mogę wiedzieć, dlaczego szuka pan tej kobiety? – Spogląda na mnie.

Pytanie jest wścibskie i dziwię się, że pada z ust zacnej pani dyrektor. Chyba zauważa moje zniesmaczenie, bo pośpiesznie dodaje:

– Z reguły nie udzielamy przypadkowym osobom informacji na temat osób działających w naszej społeczności – tłumaczy.

A więc teraz wyszło, że to ja zadaję niewłaściwe pytania. Pod jej przeszywającym spojrzeniem czuję się nieswojo, jak ktoś, kto chciałby zaszkodzić staruszce.

– Ta kobieta jest moją rodziną – kłamię.

– Rodziną? – Marszczy czoło. Czyżby znała jakieś fakty z jej życia, które to wykluczają? – I nawet nie wie pan, jak się nazywa? – dodaje z powątpiewaniem w głosie.

– To trochę skomplikowana sytuacja – wykręcam się.

Żałuję, że nie przygotowałem się lepiej do tej rozmowy, nie obmyśliłem scenariusza, do którego będę starał się ją przekonać. Teraz muszę improwizować.

– To może zacznę od początku. – Odchrząkuję. – Moja rodzina straciła kontakt z cioteczną prababcią, która po wojnie wyjechała z Polski. Po latach poszukiwań udało nam się ustalić, że Sara wyjechała do Danii.

Pamiętam, że takim imieniem staruszkę nazwała szatniarka, wymieniła też nazwisko, ale nie potrafię go sobie teraz przypomnieć.

– Bardzo prawdopodobne, że zmieniła nazwisko, wychodząc za mąż. Kilka dni temu natknęliśmy się na to zdjęcie. – Stukam palcem w fotografię. – Naszej rodzinie bardzo zależy na odnalezieniu Sary, zwłaszcza mojej prababci, jest już wiekowa i boi się, że nie doczeka ich ponownego spotkania, dlatego tu jestem. Czy wie pani, gdzie ona mieszka?

Kobieta zerka na mnie z niedowierzaniem w oczach.

– I uważa pan, że tak po prostu podam panu adres staruszki? Najpierw skontaktuję się z panią Sarą i zapytam, czy życzy sobie tego spotkania. Być może z jakichś specjalnych względów zerwała kontakt z pana rodziną. – Zawiesza spojrzenie na mojej twarzy. – Bardzo dbamy o intymność i anonimowość członków naszej wspólnoty. Nasz instytut zajmuje się szerzeniem polskiej kultury, sztuki…

Wyłączam się, nie przyjechałem słuchać wywodów o cudowności tego miejsca i zasługach pani dyrektor dla szerzenia polskości w Danii. Widać, że wykonywaną pracę traktuje jak misję i rozpiera ją duma, że jest kimś ważnym i wpływowym w tej społeczności. Muszę wyciągnąć od niej adres staruszki, myślę gorączkowo, jakiego tym razem użyć fortelu, gdy ona niespodziewanie pyta:

– A jak nazywa się pana prababcia?

Tego pytania nie przewidziałem.

– Aldona Rydzka – rzucam imię i nazwisko naszej gnieźnieńskiej sąsiadki. Staruszki z domu obok, której zwykłem nosić ciężkie torby z zakupami z pobliskiego sklepu.

– Zamieszkała? – pyta.

– Czy to przesłuchanie? – rzucam kąśliwie, od razu tego żałując. Muszę zyskać jej przychylność, a takie uwagi na pewno mi w tym nie pomogą.

– Chce pan, żebym panu pomogła czy nie?

Kładzie głowę na miękkim oparciu fotela, krzyżując ręce na piesiach.

LENA

7 października 2019
Kopenhaga

Zauważam ją, zanim ona zdąży mnie ujrzeć. Odwracam się na pięcie i wchodzę do najbliższego sklepu ze sportową odzieżą. Zerkam przez witrynę pomiędzy manekinami ubranymi w kombinezony narciarskie i nie mam wątpliwości – to ta dziewczyna z wieczoru w Instytucie Polskim. Siedzi przy okrągłym stoliku i przegląda coś w komórce. Czy ona mnie śledzi? Nie widzę przed nią żadnej filiżanki z kawą ani talerza z ciastkiem. Zauważyła mnie wcześniej i teraz tylko udaje, że mnie nie widzi? Moje serce przyśpiesza. Dlaczego tu jest? Czego ode mnie chce?

Nagle do jej stolika podchodzi kelnerka z tacą, na której stoi wysoka szklanka z kolorowym napojem. A więc jednak była tu wcześniej, czeka na swoje zamówienie.

Oddycham z ulgą. Znów dałam się wkręcić mojej obsesji. Muszę przestać podejrzewać ludzi o niecne zamiary. Dziewczyna była życzliwa i wesoła. Gdybym była w innej sytuacji, mogłabym się z nią nawet zaprzyjaźnić. Nie myślę o jakiejś głębokiej relacji, ale wspólnym wyjściu na kawę czy zakupy do galerii. A może to jest znak, że ją tu spotykam? Może powinnam przysiąść się do niej? Przecież nie muszę jej mówić prawdy o sobie. Mogę podać inne imię, nazwisko, wiek, zawód, wszystko, po prostu napisać siebie na nowo. Nim zdążę jednak cokolwiek zdecydować w tej kwestii, do jej stolika podchodzi niska szatynka. Ma sweter w kolorowe paski i wysokie botki. Wymieniają uściski, a przy ich stoliku pojawia się kelnerka. A więc umówiła się z koleżanką, kto wie, może nawet nie rozpoznałaby mnie, gdybym do niej podeszła?

Wychodzę ze sklepu, przechodzę blisko ich stolika, ale są tak pochłonięte rozmową, że nawet mnie nie zauważają. To kolejny dowód, że nikt mnie nie śledzi, to tylko wyobraźnia podpowiada mi te niestworzone scenariusze.

Wyskoczyłam do galerii kupić cieplejszy płaszcz. Zaczyna robić się chłodno, a ja nie mam ubrań na tę porę roku. Przed południem byłyśmy z panią Sarą na długim spacerze, a po obiedzie postanowiła popracować nad książką. Sama zaproponowała, abym się gdzieś przeszła, póki jeszcze dzień nie jest tak przerażająco krótki. Wychodzę z galerii i postanawiam wrócić do domu pieszo, ale robię dosłownie kilkanaście kroków, gdy

zaczyna siąpić deszcz. Będę musiała się przyzwyczaić do kapryśności duńskiej pogody. Pośpiesznie ruszam do stacji metra i za pół godziny jestem w domu.

Na dole w kamienicy mijam się z dostawcą pizzy, trochę mnie to dziwi, mieszkają tutaj sami staruszkowie i nigdy wcześniej nie widziałam, aby ktoś kupował jedzenie na wynos. Być może przyjechali do kogoś goście, zaskoczyli znienacka i to było jedyne słuszne wyjście z sytuacji? Wchodzę na górę po schodach, zazwyczaj, gdy jestem bez pani Sary, nie używam windy. Mam bardzo mało sportu w swoim życiu, może powinnam zacząć biegać albo poruszać się na rowerze jak większość kopenhażan? Miasto jest doskonale przystosowane do tej formy komunikacji, co prawda nie wiem, jak długo tu zostanę, ale rower zawsze można sprzedać. Muszę o tym pomyśleć. Dochodzę do drzwi mieszkania, przekręcam klucz w zamku, na spotkanie biegnie Tiszri.

– No co, kotku? – Nachylam się i głaszczę go po grzbiecie.

W mieszkaniu gra cicha, nastrojowa muzyka. Pani Sara lubi stare, przedwojenne kawałki. Zdejmuję buty i ruszam w stronę salonu.

– O, już jesteś – mówi, podnosząc głowę.

W ręku trzyma brulion zapisany od góry do dołu alfabetem hebrajskim. Drobne, pochyłe literki.

– Zaczynam właśnie czytać ostatni zeszyt – mówi.

– Niesamowite, że udało się ocalić te pamiętniki.

– Ona pisała je po wojnie, zobacz. – Wskazuje na logo z tyłu zeszytu z napisem po duńsku. – Kupione tutaj, w Kopenhadze. Byłam wtedy mała, ale jak przez mgłę pamiętam ją pochyloną nad kuchennym stołem z piórem w dłoni. Chyba bała się, że z czasem z jej pamięci ulotnią się szczegóły, nazwiska, daty… Chciała ocalić te fakty od zapomnienia.

Może działa to też w drugą stronę? Z każdym dniem, miesiącem i rokiem coraz mniej będę pamiętać z tych przerażających chwil, które miały miejsce w moim życiu. Ale czy w ogóle jest możliwe, żeby zapomnieć, że zabiło się człowieka? Pani Sara zamyka zeszyt i spogląda na mnie.

– Kupiłaś płaszcz? – pyta.

– Tak. – Sięgam do papierowej torby. – Taki!

– Znowu czarny – mówi, kręcąc głową.

– Lubię czarny kolor, jest praktyczny i dobrze się w nim czuję.

Poza tym nie rzucam się w oczy na ulicy i o to mi chodzi, dodaję w myślach.

– Jeszcze przyjdzie na niego pora, jesteś młoda, powinnaś nosić żywe, radosne kolory. Zaparzysz ciepłej herbaty?

– Oczywiście – mówię, chowając płaszcz do torby.

Ruszam w stronę kuchni, Tiszri mnie wyprzedza i pędzi do swoich misek. Otwieram lodówkę i nakładam mu mokrej karmy.

– Chwilę po tym, jak wyszłaś – z salonu dobiega głos pani Sary – odwiedził mnie Søren. Powiedział, że mamy nowego sąsiada. Jakiś mężczyzna wprowadził się do mieszkania pod nami, od dwóch lat stało puste i w końcu udało się je wynająć.

Podjeżdża wózkiem i zatrzymuje się w progu kuchni. To zapewne on zamówił pizzę, zgaduję.

– Poznał go?

– Przelotnie – stwierdza staruszka, biorąc do ręki jabłko, leżące w koszyku na kredensie. – Jakiś obcokrajowiec, tyle powiedział – dodaje, sięgając do szuflady po obieraczkę.

Nagle rozlewa się we mnie niepokój. Obcokrajowiec? Kim jest mężczyzna, który zamieszkał piętro niżej?

NIKODEM

7 października 2019
Kopenhaga

Przywieram ustami do jej ciepłej skóry. Błądzę palcami po jej biodrach, talii, pośladkach. Jest aksamitna w dotyku. Tak dawno nie spałem z kobietą. Wypełnia mnie mieszanka podniecenia i obawy, czy podołam jej oczekiwaniom. Oswobadza się z mojego uścisku i przejmuje inicjatywę. Siada na mnie, odchyla do tyłu głowę, wie, czego chce i nie zamierza sobie tego odmawiać. Jest władcza, pewna siebie, to ona dyktuje tutaj warunki, pani dyrektor we własnej osobie.

Wizyta w jej gabinecie nie wskazywała na to, że wylądujemy w łóżku. Powiedziała, że postara się mi pomóc, ale najpierw musi skontaktować się ze staruszką i gdy ta wyrazi zgodę, umówi spotkanie. Dobre i to. Co prawda liczyłem, że poda mi jej adres, ale rzeczywiście to byłoby nierozsądne z jej strony. Gdy dojdzie do spotkania, mam nadzieję, że będzie ono z udziałem Leny, która nieświadoma zagrożenia przyjedzie z podopieczną na wskazane przez panią dyrektor miejsce. I będzie po sprawie.

Kiedy wyszedłem z instytutu, okazało się, że zaparkowałem obok auta pani dyrektor. Powiedziała, że idzie na spóźniony obiad do restauracji naprzeciwko.

– Może ma pan ochotę do mnie dołączyć? – rzuciła. – Serwują tam porządne porcje, a ja nie znoszę jadać w samotności.

Grzechem byłoby odrzucić taką propozycję, a poza tym rzeczywiście byłem głodny. Cały dzień spędziłem w aucie i nie jadłem nic oprócz dwóch bananów i jabłka. Zajęliśmy stolik w głębi sali i od słowa do słowa zaczęliśmy o sobie opowiadać. Pytała, czym się zajmuję, gdzie mieszkam, sama z entuzjazmem opowiedziała o swoich początkach w Kopenhadze i działalności instytutu. Zamówiła do obiadu wino, mówiąc, że wróci do domu taksówką.

– Miałam ciężki dzień, muszę się zresetować.

Nie miałem zamiaru wracać do Polski, nieopodal instytutu znajdował się hotel, pomyślałem, że pierwszą noc tam spędzę, a potem znajdę coś na dłużej. Zamówiłem kolejną butelkę wina, rozluźniliśmy się do tego stopnia, że powiedziała, iż całkiem niedaleko jest mieszkanie, którego używa do celów służbowych. Nie każdy z dygnitarzy chce nocować

w hotelu, instytut wynajmuje przestronne studio w centrum Kopenhagi dla tych, którzy cenią sobie intymność. Jeśli nie mam gdzie się zatrzymać, mogę tam zamieszkać do czasu, aż ona ustali spotkanie z panią Sarą. Mieszkanie stoi puste, a pani dyrektor w najbliższym czasie nie przewiduje żadnych gości, którzy chcieliby z niego skorzystać.

Zaskoczyła mnie tą propozycją, ale kilkanaście minut później, gdy weszliśmy do apartamentu, wiedziałem, o co jej chodzi. Chciała się ze mną przespać. Widocznie takie ma metody relaksacji po ciężkim dniu w pracy. Spodobałem się jej od początku. Coś zaiskrzyło, to dlatego zaprosiła mnie do gabinetu, a potem na obiad. Zapomniałem, że tak mogę działać na kobiety, kiedyś właśnie tak było. Podobałem się, przeżywałem przygodny, ekscytujący seks, do czasu, aż mój świat legł w gruzach. Zdziczałem, odsunąłem się na odludzie, wróciłem emocjonalnie do najtrudniejszego okresu w swoim życiu, zamknąłem się w sobie, a potem zatraciłem w Lenie.

Ale teraz, gdy ona dryfuje nade mną, gdy doprowadza mnie do rozkoszy, czuję, że jeszcze może być inaczej, że może dawno powinienem to zrobić, spróbować żyć normalnie, zapomnieć o tym, co się stało.

Opada na mnie, przestrzeń dookoła wiruje, jest mi dobrze, bardzo dobrze, kto by się spodziewał takiego zakończenia wieczoru? Obejmuję ją ramieniem, czuję, że zasypiam.

– Napiłabym się – szepcze.

– Jasne – mówię.

Nie mam ochoty się ruszać, ale wiem, że ona tego właśnie ode mnie oczekuje. Wstaję i idę nago do kuchni, otwieram lodówkę, jest pusta, na blacie także nie widzę butelek z wodą. Sięgam do szafki po szklankę i nalewam wody z kranu. Kiedy do niej wracam, czuję się trochę skrępowany swoją nagością, gdy ona nagle wybucha śmiechem.

– Myślałam o czymś mocniejszym. – Bierze ode mnie szklankę i upija kilka łyków. – Też dobra, ale to nie to!

– Myślisz, że znajdę tu wino? – pytam, rozglądając się po mieszkaniu.

– To ty jesteś mężczyzną, po prostu je załatw. – Odstawia szklankę na nocną szafkę i opada na łóżko. No tak, to ona tu rządzi. Wkładam jeansy i koszulę. – Najlepiej czerwone wytrawne – rzuca, wciąż leżąc i patrząc w sufit.

W blasku świateł ulicznej latarni wygląda zmysłowo. Atłasowa kołdra zakrywa ją od pasa w dół, ma piękne piersi, gładką skórę, jest bardzo atrakcyjna i właśnie się z nią przespałem. Aż trudno uwierzyć, że kilka godzin temu myślałem, że nie chciałbym być jej podwładnym, a to takie przyjemne spełniać jej fantazje i zachcianki. Wypełnia mnie uczucie satysfakcji, próżnej, ale przyjemnej satysfakcji, już dawno tak dobrze nie czułem się psychicznie.

Zarzucam na ramiona kurtkę, wsuwam na nogi buty, zastanawiając się, jakie jeszcze będzie miała zachcianki dzisiejszego wieczoru.

– Kod na dole to kluczyk i cztery jedynki – mówi, siadając na łóżku.

Jej nie krępuje własna nagość, piękne piersi, opadające na ramiona włosy, zdaje sobie sprawę ze swojej atrakcyjności.

– Pośpiesz się – dodaje.

Posyłam jej uśmiech i wychodzę z mieszkania. Jednak czasem w życiu takiego pechowca jak ja zdarzają się też szczęśliwe chwile. Piękna pani dyrektor pozbyła się najpierw swoich ubrań, potem rozebrała mnie i doprowadziła do rozkoszy, jakiej już dawno nie zaznałem. I co najważniejsze, najwidoczniej nie ma ochoty na tym zakończyć wieczoru. Ma zamiar zostać ze mną na noc, a ja zrobię wszystko, by ten wieczór zapamiętała na długo. Wykorzystam dar od losu, dam upust swoim emocjom i skrywanym pragnieniom. Przywrócę choć na moment dawnego siebie. Bez zahamowania i wyrzutów sumienia.

Zbiegam po schodach, na dole mijam się z innym mieszkańcem kamienicy, któremu przytrzymuję drzwi wejściowe. Mówi coś do mnie po duńsku, zapewne dziękuje za życzliwy gest, posyłam mu uśmiech i wybiegam na ulicę. Nawet gdybym rozumiał, co do mnie mówi, nie mam czasu na pogawędki, na górze czeka rozgrzana kobieta i gdyby tylko o tym ten gość wiedział, zrozumiałby mój pośpiech.

CZĘŚĆ DRUGA

ZABÓJSTWO

LENA

10 października 2019
Kopenhaga

Od trzech dni nieprzerwanie pada deszcz. Zaciskam dłonie na poręczy wózka i pcham przed sobą panią Sarę. Kółka ślizgają się po nierównej powierzchni chodnika, drżą mi ręce, mam dość tego dnia. Właściwie mam już dość wszystkiego. Zaciągnęłam na głowę kaptur z peleryny, którą podarowała mi pani Sara, ale deszcz jest tak siarczysty, że woda spływa mi po twarzy. To dobrze, bo nie widać cieknących po policzkach łez. Parasol, który trzyma nad sobą pani Sara, zakrywa mi widok, jeszcze pięćdziesiąt metrów i powinnyśmy być w domu. Wracamy od fryzjera. Pani Sara chodzi tam od lat, umawia się z miesięcznym wyprzedzeniem na kolejną wizytę, to dosłownie sto metrów od naszego mieszkania, ale przejście ich w taką pogodę to dramat. Jadący ulicą samochód dostawczy szybko wchodzi w zakręt i spada na nas kaskada brudnych pomyj.

– Cholera – przeklinam.

Docieramy do drzwi kamienicy, wpisuję pośpiesznie kod, myląc się dwukrotnie, ale po chwili jesteśmy już w środku.

– Ma pani mokre całe nogi.

Ja włożyłam kalosze, a pani Sara ma na sobie czółenka. Szare rajstopy są mokre do wysokości kolan.

– Za chwilę zdejmę rajstopy, nic mi nie będzie – mówi, naciskając przycisk przywołania windy.

Stara winda głośno się telepie, zjeżdżając powoli na dół. Zatrzymuje się przed nami, wchodzimy do środka i gdy rusza, czuję, jak serce podchodzi mi do gardła, gdy szarpie nas gwałtownie do góry. Jedziemy w ciszy, krople deszczu ściekają po mojej pelerynie i z parasola pani Sary, tworząc kałużę pod naszymi stopami. Winda zatrzymuje się na trzecim piętrze, kółka wózka zapadają się w przerwie między podłogą korytarza a źle wypoziomowanym dźwigiem, napieram z całej siły i po chwili jesteśmy na klatce.

– O Boże! – wydobywa się przeraźliwy pisk z ust pani Sary. – Nie, tylko nie to! Włamanie, miałyśmy włamanie…

Drzwi do mieszkania są otwarte.

– Spokojnie – mówię, choć serce wali mi jak szalone. – Spokojnie, pani Saro, wejdę tam pierwsza.

– Nie – protestuje. – Ktoś może być w środku. Trzeba wezwać policję!

Nerwowo otwieram torebkę, szamoczę się z zamkiem. Dookoła nas zalega cisza, słychać jedynie odgłos uderzających o parapet kropel deszczu.

– Rozładowała mi się bateria – mówię, zerkając na wyświetlacz komórki.

– Ja mojej nie wzięłam z domu, zostawiłam podpiętą do ładowarki w kuchni. Musimy tam wejść!

Nigdy wcześniej nie widziałam jej tak przerażonej. Oczy ma szeroko otwarte i ciężko oddycha.

– Pójdę sama – mówię. – Niech pani poczeka.

– Wykluczone – protestuje. – Pójdziemy tam razem.

Pcham drzwi i przejeżdżam wózkiem przez próg mieszkania. Wszystkie szuflady w komodzie stojącej w przedpokoju są wysunięte. Salon wygląda jeszcze gorzej. Jakby przez mieszkanie przeszedł tajfun. Pani Sara wjeżdża do salonu.

– O nie – z jej ust wydobywa się szloch. – Zabrali mój kuferek, pamiętniki matki, ukradli je, wszystko stracone.

Po jej twarzy zaczynają płynąć łzy, a plecy drżą. Cała się trzęsie.

– Spokojnie pani Saro. – Podchodzę do niej i kładę rękę na jej ramionach. – Proszę się uspokoić. Może kuferek gdzieś tu jest w tym bałaganie? – mówię, obejmując wzrokiem pokój.

– Wszystko stracone – powtarza, przykładając dłoń do klatki piersiowej.

Nie mogę pozwolić, żeby coś jej się stało. Muszę ją uspokoić.

– Idź po mój telefon, jest w kuchni – mówi tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Nigdy wcześniej nie widziałam jej tak wzburzonej. Rzucam się pędem, komórka leży na oknie, przypięta do ładowarki. Wyszarpuję ją i wracam do pani Sary.

– Już – mówię. – Już dzwonię na policję.

– Nie. – Kręci przecząco głową. – Wezwij karetkę, nie mogę oddychać.

Patrzę na nią przerażona, tylko nie to, nie może umrzeć, nie mogę na to pozwolić.

EMIL

9 października 2019
Kopenhaga

Dzisiaj mam nocny dyżur na oddziale ratunkowym, kilka minut po dziewiętnastej przywieziono dwóch młodych chłopaków, którzy zabawili się w pirotechników. Gdy byłem młodszy, ciągnęło mnie do petard, a nawet eksperymentowałem z saletrą, ale gdy sam będę miał dziecko, nie pozwolę mu tknąć materiałów wybuchowych. Bywają dyżury, kiedy jest względny spokój oraz takie jak dzisiejszy, pełne napięcia i trudnych decyzji.

Jestem potwornie wykończony, wchodzę do toalety i przemywam twarz zimną wodą, spoglądam na swoje odbicie w lustrze. Ziemista twarz, zmęczone spojrzenie, jeszcze kilka godzin i wracam do domu, w którym jest ona. Na szczęście dzisiaj tylko się mijamy, ja wracam, ona wychodzi do pracy. Jestem coraz bliższy decyzji zakończenia tego związku, bez względu na konsekwencje. Jej zaborczość i zazdrość przerastają mnie. Było wszystko dobrze, przyjemne chwile, coś nowego, ekscytującego – do czasu, gdy dostała bzika na punkcie Leny. A może tylko mi się wydawało, że to coś znaczącego, była interesująca do momentu, gdy w moich myślach znów nie pojawiła się Lena? Sądziłem, że już o niej zapomniałem, chciałem zastąpić jej brak nową dziewczyną. Sam nie wiem, jaka jest prawda. Jeszcze raz przemywam twarz zimną wodą i wychodzę na korytarz.

– Panie doktorze! – krzyczy pielęgniarka dyżurna z końca korytarza. – Dobrze, że pana znalazłam, ofiara pobicia, szybko.

Ruszam za nią pośpiesznym krokiem. Pielęgniarka relacjonuje, że ofiarą napadu jest mężczyzna, w średnim wieku, znaleziony na ulicy, brak dokumentów, jedynie telefon komórkowy w wewnętrznej kieszeni kurtki.

– Jest nieprzytomny, zapewne napad na tle rabunkowym. Saturacja i ciśnienie w normie.

– Skontaktuj się z neurologią – zlecam, biorąc kartę pacjenta od młodego lekarza, który pełni dziś ze mną dyżur. Chłopak też jest kompletnie wycieńczony, to jego pierwszy dyżur w życiu i od razu jak na diabelskim młynie. – I trzeba ustalić jego tożsamość – rzucam.

– Już powiadomiłam policję – odpowiada.

– Dobrze.

Przebiegam wzrokiem po tekście, a potem wkładam rękawiczki i maseczkę.

– Na jego telefon komórkowy ciągle ktoś dzwoni – odzywa się kobieta, wyciągając komórkę w moją stronę. – I ciągle ta sama osoba.

Zerkam na wyświetlacz, który przystawia mi pod nos, napisane wielkimi literami słowo: MAMUSIA. To Polak?

– Odbierz – mówię.

Pielęgniarka naciska zieloną słuchawkę i przykłada telefon do ucha, witając się po duńsku.

– Nic nie rozumiem.

– Daj mi telefon – polecam. – Dzień dobry – odzywam się.

– No, w końcu – rozbrzmiewa po drugiej stronie. – Boże, co się stało, kim pan jest?

– Jestem lekarzem w szpitalu w Kopenhadze…

– Gdzie jest Nikodem? – przerywa mi. – Czy coś się stało z moim synem?

– Właśnie przywieziono do nas ofiarę pobicia, nie ma przy nim dokumentów tożsamości, ale mężczyzna miał przy sobie ten telefon. Czy pani syn przebywa w Kopenhadze?

– Jak on się czuje? Czy żyje? – słyszę rozhisteryzowany głos.

– Żyje, jest nieprzytomny, ale w stanie stabilnym.

– Boże, Boże… – Kobieta lamentuje. – Co się stało? Już tam jadę…

– Jak nazywa się pani syn? – przerywam jej.

– Nikodem Nowicki.

– Ile ma lat, czy przyjmuje jakieś leki, czy na coś choruje? – dopytuję.

– Panie doktorze, on ma za sobą nieudaną próbę samobójczą, czy znów to zrobił?

– Leczy się psychiatrycznie?

– Kiedyś tak, przebywał nawet w szpitalu, ostatnią nieudaną próbę samobójczą miał pół roku temu…

– Przyjmuje leki? – przerywam jej.

– Tak, psychotropowe, ale nie pamiętam nazwy, mogę poszukać w mieszkaniu pudełek, ale nie jestem teraz u niego w domu.

– Poradzimy sobie.

– Muszę się z nim zobaczyć, niech pan mu powie, że już jadę.

Prosi o podanie adresu szpitala i nalega, aby poinformować ją, gdy syn odzyska przytomność. Zadaje jeszcze kilka pytań, oczekując, abym potwierdził lub wykluczył, czy mężczyzna znów targnął się na swoje życie, czy tym razem stoi za tym ktoś inny? Nie znam odpowiedzi, więc pośpiesznie się z nią żegnam i wracam do pacjenta.

LENA

10 października 2019
Kopenhaga

Nie, tylko nie to, nie może jej się nic stać. Jeśli ona umrze, nie wybaczę sobie tego. Wybieram numer alarmowy i po angielsku proszę o przysłanie karetki na Esplanaden. Podbiegam do okna i otwieram je na oścież, wpuszczając do domu świeże powietrze.

– Już jadą, pani Saro – mówię, kucając koło niej.

Kobieta trzyma ręce na klatce piersiowej i głośno sapie.

– Obiecuję pani, obiecuję, nic się pani nie stanie, proszę oddychać.

Nalewam do szklanki wody i podaję jej, ale kręci przecząco głową. Może powinnam przynieść jej jakieś leki na serce? Lekarz przychodzi do niej co dwa miesiące, mówi wyłącznie po duńsku, nigdy nie zamieniłam z nim więcej niż dwa słowa. Pani Sara intelektualnie czuje się doskonale, ja jedynie pomagam zadbać, aby przyjmowała na czas wszystkie tabletki, ale jej nawet nie trzeba pilnować, sama pamięta o lekach. Porcja po śniadaniu i kolacji. Może dzisiaj zapomniała ich przyjąć? Już mam zadać jej to pytanie, ale boję się, że tylko bardziej ją tym zdenerwuję. To niepodobne do niej, aby wypadło jej coś tak istotnego z głowy, jestem przekonana, że jej złe samopoczucie jest wynikiem szoku, którego doznała na widok włamania.

Łzy napływają mi do oczu. Patrzę na staruszkę. Dyszy, otwiera usta i zaczerpuje kolejny haust powietrza. Jak zareagować w przypadku zawału? Czy to jest zawał? Nagle przypomina mi się Emil, on by wiedział, co w takiej sytuacji trzeba zrobić. Może powinnam do niego zadzwonić. Nie przejmować się, czym to może grozić, zdrowie pani Sary jest najważniejsze. Jeśli chłopak w ogóle odbierze i ma nadal ten sam numer. Wyjmuję telefon z torebki i podłączam do ładowarki. Nim zdąży się uruchomić, słyszę z daleka odgłos karetki.

– Są, pani Saro, są! – krzyczę, otwieram drzwi na klatkę i zbiegam na dół.

Wypadam przed kamienicę i prowadzę sanitariuszy na górę. Lekarz zaczyna badać panią Sarę, zadają pytania po duńsku, nie rozumiem i nie potrafię na nie odpowiedzieć. Decydują się zabrać ją do szpitala. Mówię im, że jestem jej opiekunką i muszę jechać

z nimi. Zgadzają się. Na dole mijamy się z Sørenem. Jest przerażony widokiem pani Sary na noszach.

– Co się stało? – pyta. On na szczęście zna angielski.

– Pani Sara zasłabła – mówię. – Jedziemy do szpitala.

Zaczyna zadawać pytania sanitariuszom, ale nie mają czasu na rozmowę, odpowiadają coś zdawkowo i zamykają mu drzwi przed nosem. Wsiadamy do karetki, obok pani Sary cały czas jest sanitariusz. Mimo że nadal jestem przerażona, cieszę się, że staruszka jest już pod opieką specjalistów.

– Będzie dobrze, pani Saro, będzie dobrze – powtarzam w kółko. Kobieta ma założoną maskę tlenową i patrzy na mnie przerażonymi oczami. – Jeszcze pójdziemy na kawę i sernik. Jeszcze wyda pani pamiętniki – dodaję, choć nie wiem, czy ona mnie słyszy.

Sanitariusz zerka na mnie, żałując, że pozwolił mi z nimi jechać, bo moje nerwowe zachowanie nie jest mu do niczego potrzebne. Nie mają czasu zajmować się rozhisteryzowaną dziewczyną, gdy walczą o czyjeś życie. Ambulans dojeżdża pod szpital, a ja nie zostaję wpuszczona na oddział. Po kilkunastu minutach wychodzi do mnie pielęgniarka dyżurna, z pochodzenia Azjatka, pięknym angielskim informuje mnie, że kobieta została przyjęta na oddział, jej stan jest stabilny, zostaną przeprowadzone najważniejsze badania i mogę ją odwiedzić jeszcze dziś wieczorem.

Wychodzę ze szpitala, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Z jednej strony trochę się uspokajam, że nic się jej nie stało i teraz, gdy jest pod opieką, zapewne nikt nie pozwoli jej umrzeć, ale z drugiej chce mi się płakać. Jak mam wrócić sama do mieszkania? Miałam się nią opiekować, a nie doprowadzić do stanu, w którym potrzebuje pomocy lekarzy.

Idę przed siebie, nie zważając na strugi deszczu cieknące mi po twarzy. Powinnam wziąć taksówkę, wrócić jak najszybciej na Esplanaden i zająć się wszystkim. Podejrzewam, że z pośpiechu nie zamknęłam mieszkania, gdy wychodziłam z sanitariuszami. Po prostu zbiegłam za nimi po schodach; na pewno nie przekręcałam klucza w zamku, co więcej, prawdopodobnie zostawiłam drzwi otwarte na oścież. Tiszri mógł uciec. Powinnam jak najszybciej zebrać się w sobie i biec do domu. Jednak nie potrafię. Jakaś wewnętrzna siła mnie blokuje. I wiem, co jest jej przyczyną. Strach i poczucie winy. Parszywe emocje, które chciałabym raz na zawsze wyrzucić z mojego życia, by móc poczuć się wolna i szczęśliwa. To jest warte, by zaryzykować wszystko.

NIKODEM

10 października 2019
Kopenhaga

– Synku, jak się czujesz? Mój kochany!

Zapach jej perfum dociera do moich nozdrzy.

– Mama – szepczę, otwierając powoli oczy.

Nachyla się nade mną, całuje w policzek.

– Pacjent jest jeszcze słaby – odzywa się pielęgniarka.

Zerkam w jej stronę, przypina kroplówkę. To ona znajdowała się przy moim łóżku, kiedy odzyskałem przytomność. Młoda, sympatyczna i mówiąca po polsku dziewczyna.

– Musi odpoczywać – dodaje.

Matka na te słowa odsuwa się ode mnie.

– Oczywiście – mówi poważnym tonem, prostując się. – Najważniejsze, że nic złego mu się nie stało i że odzyskał przytomność. – Spogląda na dziewczynę. – Proszę iść, już ja o niego zadbam.

– Za chwilę wrócę – mówi pielęgniarka, posyłając mi uśmiech.

Jest Polką, tak samo jak jeden z lekarzy. Miałem szczęście w nieszczęściu, że tu ich spotkałem. Gdy otworzyłem oczy, nie wiedziałem, co się stało, gdzie jestem i dlaczego, ale teraz wszystko już do mnie wróciło. Byłem nieprzytomny przez kilka godzin po tym, jak dostałem tępym narzędziem w tył głowy. Od tej pory mam problemy z widzeniem, ale lekarz mówi, że to minie. Napadnięto mnie na klatce kamienicy, w której znajduje się mieszkanie należące do Instytutu Polskiego. Po wspólnej nocy z panią dyrektor cały następny dzień spędziłem na mieście, ona rano wzięła prysznic i udała się do pracy, obiecując, że skontaktuje się ze staruszką i powiadomi mnie, czy pani Sara wyraziła zgodę na spotkanie. Do wieczora snułem się po galeriach sztuki, skupiając się na autorach zdjęć prezentowanych na wystawach. Lena zajmowała się fotografią, liczyłem na to, że może udało jej się nawiązać współpracę z jakimś domem aukcyjnym i znajdę jej dzieła, a dzięki temu pozyskam do niej kontakt, ale nie dopisało mi szczęście. Następnego dnia zadzwoniła do mnie doktor Szmida, mówiąc, że ma mi do przekazania kilka ważnych informacji.

– Mogę wpaść teraz do ciebie? – zapytałem.

Podczas naszej wspólnej nocy przeszliśmy na ty.

– Jestem cały dzień poza biurem – powiedziała. W oddali słyszałem szum aut, gwar ulicy. – Za chwilę mam spotkanie w ambasadzie – dodała. – Omawiamy sprawy budżetowe, trudno powiedzieć, ile to potrwa, może znów spotkamy się na kolacji? – zaproponowała. – Tam, gdzie ostatnio?

W jej głosie wyczułem oczekiwanie. Naprawdę wpadłem jej w oko. Po wspólnej kolacji znów spędzimy razem noc? Takie ma plany? Nie należała do kobiet pierwszej młodości, oczywiście nadal była atrakcyjna, ale może każdy nowy mężczyzna w jej życiu to okazja do wykorzystania, sprawdzenia, czy to nie ten właściwy? W sumie rozumiałem ją, ja też wychodziłem z przekonania, że nade wszystko trzeba dać sobie szansę. W przeciwnym razie nie byłoby mnie w Kopenhadze i nie próbowałbym tak usilnie odnaleźć Leny.

– Jasne. To o której? – zapytałem.

– Może o dziewiętnastej albo nie, bezpieczniej będzie o dwudziestej, chciałabym jeszcze wcześniej wpaść do domu i się przebrać – wyjaśniła.

Zależy jej, uśmiechnąłem się do siebie.

– Ale co powiedziała staruszka?

– Przepraszam, ale właśnie weszłam do budynku, naprawdę muszę kończyć, do zobaczenia – rzuciła.

Jednak nie dotarłem na miejsce, bo wieczorem na dole kamienicy ktoś zaatakował mnie od tyłu, uderzając w głowę. Nie widziałem napastnika, ostatnie wspomnienie to ogromny ból, który przeszył moje ciało. Potem film się urwał. Gdy odzyskałem przytomność, właśnie ta miła pielęgniarka poinformowała mnie o napadzie. Znalazł mnie jeden z mieszkańców kamienicy i zawiadomił pogotowie. Wszystko wskazuje na to, że był to napad na tle rabunkowym, nie znaleziono przy mnie dokumentów, bo skradziono mi saszetkę, w której się znajdowały. Straciłem wszystko, pieniądze, dokumenty, w tym także zdjęcia Leny. Na szczęście telefon miałem w wewnętrznej kieszeni kurtki, a także kluczyki do samochodu.

– Nikoś. – Matka kładzie rękę na moim czole. – Pójdę kupić wodę, zaschło mi w gardle, ale za chwilę wrócę.

– Oczywiście – szepczę.

Nawet się cieszę, że pobędę sam. Odzyskałem przytomność rano i od razu chciała rozmawiać ze mną policja. Nie wiem, co mógłbym im powiedzieć. Nie widziałem napastnika, zaatakował mnie od tyłu. Poza tym nie potrzebuję, żeby policjanci grzebali w moim życiu. Wykręciłem się bólem głowy, co rzeczywiście jest prawdą. Mam nadzieję, że to minie, ale teraz nawet przy najdrobniejszym ruchu odczuwam pulsowanie w karku.

Drzwi do pokoju otwierają się i zgodnie z obietnicą pojawia się ta miła, polska pielęgniarka.

– Teraz zmierzę temperaturę i już dam na dzisiaj spokój. Niech się mama panem nacieszy – dodaje, podchodząc do mnie. Zbliża plastikowe urządzenie do mojej skroni i zapisuje coś w karcie. – Dobrze, jakby czegoś pan potrzebował, proszę wołać.

Zaciskam powieki, sygnalizując, że zrozumiałem, a ona odwraca się na pięcie i rusza do wyjścia. W progu zderza się z moją matką.

– Dobrze, że panią spotykam – mówi matka rozgorączkowanym głosem.

Próbuję obrócić głowę w ich stronę, ale odczuwam ogromny dyskomfort, więc wracam do poprzedniej pozycji.

– Musi mi pani pomóc!

– Co się stało? – słyszę ciepły i troskliwy głos pielęgniarki.

– Widziałam właśnie przed chwilą dziewczynę – zaczyna matka. – Aż trudno uwierzyć, ale to na pewno była ona. Kobieta, która zniszczyła życie mojemu synowi. Lena Romanowska – mówi, a po plecach przechodzą mi dreszcze. – Proszę, aby pani dopilnowała, żeby nie zbliżała się do mojego syna.

Pielęgniarka coś odpowiada, ale nie dociera do mnie już żadne słowo, bo drzwi za nimi się zamykają. Jest tutaj Lena? Jak to możliwe? Dowiedziała się, że coś mi się stało? Skąd wiedziała, że jestem w szpitalu? Czy może to ona mnie zraniła? Nie. To niemożliwe. A może jednak? Przyjechałem do Kopenhagi, aby ją odnaleźć, a to ona pierwsza wpadła na mój trop? Zauważyła mnie gdzieś na ulicy, śledziła, dowiedziała się, gdzie mieszkam i zaczaiła na mnie? A może pani dyrektor złożyła wizytę w domu starszej pani i powiedziała, że niejaki Nikodem Nowicki jej szuka? Lena nie potrzebowała więcej, by przystąpić do działania. Obawiała się, że ją odnajdę, bała się mnie i chciała zrobić mi krzywdę, zanim do niej dotrę? Galop myśli i dręczące pytanie. Dlaczego Lena jest w szpitalu? Przyszła sprawdzić, jak się czuję, czy przeżyłem, czy nadal jej zagrażam? To niedorzeczne, a może jednak prawdziwe? Muszę ją odnaleźć, teraz, w tej chwili, lepszej okazji nie będzie.

Siadam na łóżku, spuszczam nogi, podpieram się na dłoniach, dźwigam ciało i nim zdążę zrobić choć jeden krok, upadam na podłogę.

LENA

10 października 2019
Kopenhaga

Otwieram drzwi kamienicy i ruszam biegiem po schodach. Jestem cała przemoczona, a świadomość, że przez pośpiech mogłam nie zamknąć mieszkania, nie dodaje mi otuchy. Ku mojemu zaskoczeniu drzwi są zamknięte. Pewnie zrobiłam to odruchowo. Szukam klucza w torebce i wkładam go do zamka. Jednak drzwi są zamknięte jedynie na klamkę. A więc miałam rację, nie zamknęłam drzwi, gdy sanitariusze zabierali panią Sarę, musiał zrobić to przeciąg. Wpadam do mieszkania, idę po schodach do swojego pokoju, dopadam do szafy. Wszystko jest na miejscu – torba, dokumenty. Oddech się uspokaja. Siadam na brzegu łóżka i wsłuchuję się w ciszę. Słyszę bicie własnego serca. Miliony myśli przelewają się przez moją głowę. Tiszri. Gdzie jest Tiszri?

– Tiszri! – wołam zaniepokojona.

Zawsze wita mnie w progu i łasi się do nóg. Nawet gdy w domu jest pani Sara, wybiega mi na powitanie, a gdy zostaje sam, to miauczy, gdy tylko wyczuje nas na klatce schodowej. Jednak nie tym razem. Zaglądam do salonu, pokoju pani Sary, kuchni, ale nigdzie go nie ma.

– Tiszri! – krzyczę, zaglądając do łazienki.

Cisza, uciekł, nim przeciąg zdążył zamknąć drzwi. Gdy wróciłyśmy od fryzjera z panią Sarą, drzwi też były otwarte, ale Tiszri był w moim pokoju, sama go tam zamknęłam przed wyjściem. Spał zwinięty w kulkę w szafie, tam jest jego ulubiony schowek. Gdy czekałam na karetkę, wypuściłam go, bo wyczuł naszą obecność i miauczał głośno, ale teraz go nie ma.

– Tiszri! – wołam po raz kolejny, ponownie wbiegając po schodach do swojego pokoju.

Otwieram przesuwną szafę, ale nie ma go w środku. Kokon, który umościł sobie w moich czapkach, jest pusty. Pani Sara załamie się, gdy on się zgubi. Muszę go znaleźć. Może wszedł na samą górę albo na dziedziniec wewnętrzny kamienicy? Nigdy nie opuszcza domu, więc bardzo prawdopodobne, że jest niedaleko, zainteresowany nowym otoczeniem. Wybiegam na klatkę schodową, ale nie ma go na ostatnim piętrze, gdzie znajduje

się właz na dach. Biegnę schodami na dół, by sprawdzić, czy nie błąka się przed kamienicą albo nie ukrył w piwnicy, gdy drzwi z mieszkania pana Sørena się uchylają.

– Lena! – woła. – Szukasz kota? Chodź, Tiszri jest u mnie – dodaje, otwierając drzwi na oścież.

– Och. – Oddycham z ulgą. – Dziękuję.

Wchodzę do jego mieszkania, przesiąkniętego zapachem dymu tytoniowego i męskich perfum. Tiszri śpi na fotelu, zwinięty w kulkę.

– Jak się czuje Sara? – pyta, a jego twarz wyraża niepokój.

– Myślę, że wszystko będzie dobrze, dali jej leki, jest w dobrych rękach.

– Co jej się stało? Bardzo się zdenerwowałem, jak zobaczyłem ambulans przed kamienicą.

Przez jedną krótką chwilę zastanawiam się, czy powiedzieć mu o tym, jak wróciłyśmy z panią Sarą od fryzjera i na widok otwartych drzwi zrobiło jej się słabo. Zapewne i tak się dowie o włamaniu do mieszkania, chociażby od pani Sary, ale na ten moment wolę o tym nie wspominać. Jeszcze tego brakuje, żeby on też zasłabł.

– Zrobiło się jej słabo, zadzwoniłam po karetkę – mówię, podchodząc do Tiszri i biorąc kota na ręce. – Dziękuję, że pan się nim zajął.

– Był na schodach, gdy wracałem z zakupów, od razu zawołałem go do siebie. Napijesz się czegoś? – pyta, podchodząc do stylowego kredensu w rogu pokoju.

Nie mam na to czasu, mam ważniejsze sprawy na głowie.

– Może innym razem – mówię. – Za chwilę jadę znów do szpitala.

Pan Søren kiwa głową.

– Mogę ci jakoś pomóc?

Bardzo chciałabym, aby ktoś mógł mi pomóc, ale każdy sam odpowiada za swoje błędy, pada ofiarą własnych złych wyborów.

– Dziękuję, poradzę sobie – mówię, kierując się w stronę wyjścia.

Tiszri pręży się w moim uścisku, wbija mi pazury w przedramię.

– Rozumiem, ale gdybyś kiedyś potrzebowała, to tylko do mnie zapukaj.

– Dobrze – odpowiadam, przerzucając kota na drugą rękę.

– Pozdrów Sarę ode mnie, niech szybko do nas wraca – mówi, otwierając przede mną drzwi. – Ach! – rzuca, gdy już stoimy w progu. – Poznałaś tego nowego sąsiada? – Wskazuje głową na drzwi po drugiej stronie korytarza.

– Nie.

– No właśnie, ostatnio go prawie nie widuję, jest, a jakby go nie było. – Rozkłada bezradnie ręce.

– Może się już wyprowadził – sugeruję.

– Bardzo prawdopodobne. – Pan Søren kiwa głową. – Choć nie wyglądał na studenta, myślałem, że dłużej u nas zabawi.

– Skąd był? – pytam, odwracając się już na schodach.

– Nie pytałem. – Wzrusza ramionami. – Ale na moje oko Hiszpan albo Włoch, taki bardziej południowy typ urody, brunet, a właściwie szpakowaty brunet – uśmiecha się. – Zupełnie tak jak kiedyś ja, choć wyższy, dużo wyższy – dodaje, unosząc rękę do góry. – Pamiętaj, pozdrów Sarę.

– Dziękuję – rzucam i pędzę po schodach do góry.

NIKODEM

11 października 2019
Kopenhaga

– Synku – zaczyna moja matka, wchodząc do sali. – Panowie policjanci chcieliby z tobą porozmawiać o napadzie. Z ambasady przybył już tłumacz – dodaje, wskazując na starszego mężczyznę w jasnej koszuli, z teczką w dłoni.

A jednak wrócili. Myślą, że już lepiej się czuję? Czy może moja matka zadbała o to, żeby zajęli się sprawą mojego pobicia? To bardzo w jej stylu.

Starszy mężczyzna odkłada aktówkę na krzesło stojące w rogu i zakłada na ramiona biały kitel, który wcześniej miał przerzucony przez ramię. Odwraca się w moją stronę i niepewnie uśmiecha. Przez jedną krótką chwilę czuję się jak w szpitalu dla umysłowo chorych. Momentalnie wracają wszystkie wspomnienia. Tutaj służba medyczna nosi turkusowe stroje, ten facet wygląda, jakby był przeniesiony z moich najgorszych wspomnień.

Podnoszę się na rękach i siadam. Wciąż jestem słaby i boli mnie głowa.

– Dzień dobry – wita się mężczyzna, podchodząc do mnie.

– Tutaj mamy rozmawiać? – pytam.

– Tak – odpowiada matka. – Lekarze uważają, że jesteś za słaby, żeby siedzieć podczas przesłuchania.

– Przesłuchania?

Na samo to słowo czuję zdenerwowanie. Gdy się skrywa tyle tajemnic, gdy próbuje się uciec przed przeszłością, przesłuchanie przez funkcjonariuszy jest ostatnim, na co ma się ochotę. Poza tym rzeczywiście mało potrafię sobie przypomnieć.

– Mamo, to zbyteczne – mówię. – Ja naprawdę niczego nie pamiętam.

Trzeciego dnia pobytu w Kopenhadze, gdy zamykałem drzwi, usłyszałem za sobą kroki, zanim zdążyłem się odwrócić, padłem jak długi. Nie widziałem napastnika, nie przekażę im żadnych wiążących informacji. Bez sensu jest to całe przesłuchanie.

Nie zamierzam mówić policji, że stało się to na klatce kamienicy, w której znajduje się mieszkanie należące do Instytutu Polskiego, bo nie chcę, aby dyrektorka miała przeze mnie kłopoty. Nie wiem, czy miałem prawo tam być, kobieta zrobiła mi przysługę, to nie

przystoi, aby ją w to mieszać. I tak źle czuję się z tym, że nie pojawiłem się na spotkaniu, a w dodatku nawet jej o tym nie poinformowałem. Mogła poczuć się wystawiona, oczyma wyobraźni widzę, jak siedzi sama przy stoliku, co chwilę zerka na zegarek, dzwoni do mnie, ignoruje współczujące spojrzenia kelnerów. Żadna kobieta nie lubi być w taki sposób traktowana, a już na pewno nie wpływowa pani dyrektor. Być może pojechała do mieszkania sprawdzić, co się stało. Nie zastała mnie w środku i na pewno zastanawia się, co się ze mną dzieje. Jeśli ma zapasowy klucz, weszła do apartamentu, zobaczyła, że zostawiłem walizkę, ale sam zniknąłem. Może to ona zawiadomiła policję? Może pierwszy raz zjawili się u mnie w szpitalu na prośbę pani dyrektor Instytutu Polskiego? A może sprawca zaczaił się na klatce kamienicy, bo chciał okraść mieszkanie, trzymałem przecież w rękach klucze do drzwi? Być może nawet je obrabował, nie mam jak się o tym dowiedzieć, bo odkąd matka tu jest, trzyma łapę na moim telefonie. Nie mam ochoty prosić jej o komórkę i jestem przekonany, że przez czas trwania rozmowy stałaby nade mną, rejestrując każde słowo. A potem zalałaby mnie lawiną pytań, kim jest ta kobieta, gdzie się spotkaliśmy, co o niej myślę? Nie mam zamiaru ściągać sobie na głowę jej podejrzliwości.

Najwyraźniej matka obawia się, że w każdej chwili może zadzwonić do mnie Lena. Chce pierwsza odebrać ten telefon i raz na zawsze przegonić ją z mojego życia. Twierdzi, że ją tu widziała, nie wiem, jak to możliwe, o co w tym wszystkim chodzi. Chciałem to sprawdzić, ale gdy tylko wstałem z łóżka, upadłem na podłogę. Mimo że tego nie czuję, jestem jeszcze słaby. A od pytań bez odpowiedzi kręci mi się w głowie. Czy Lena pracuje tutaj? W szpitalu, w którym właśnie jestem? Czy jakimś dziwnym trafem próbowała mnie odnaleźć? A może to ona ma coś wspólnego z atakiem na klatce schodowej? Dlatego dowiedziała się, że jestem w szpitalu, bo sama za tym stoi?

Do pokoju wchodzi wysoki funkcjonariusz. Wymienia kilka słów z tłumaczem i przysuwa do mojego łóżka stojące w rogu sali krzesło.

– Bardzo boli mnie głowa – odzywam się do pielęgniarki, która właśnie weszła do pokoju. – Czy mógłbym dostać jakiś proszek?

Widzę zaniepokojenie na jej twarzy, posyła zniesmaczone spojrzenie mojej matce.

– I nie czuję się na siłach, aby rozmawiać z policją – dodaję, licząc na to, że pielęgniarka doniesie temu sympatycznemu polskiemu lekarzowi, że jednak mój stan zdrowia nie pozwala na rozmowę z policją.

– Nikoś, załatwiłam tłumacza z ambasady, pan policjant zgodził się tutaj przyjechać – mówi.

Jestem zły na matkę. Jak zwykle wtrąca się w moje sprawy, oczywiście chcę odzyskać swoje dokumenty, ale jestem przekonany, że napad był na tle rabunkowym i nie ma o co robić szumu. Zabrali pieniądze, a dokumenty wyrzucą do śmietnika lub jednego z licznych w mieście kanałów. Policja nic tu nie zdziała, a ja nie chcę być przesłuchiwany ani zapi-

sany w rejestrze policyjnym. To może mi tylko przysporzyć problemów. Po powrocie do Polski zgłoszę zgubienie dowodu i po sprawie. Nie potrzebuję składać żadnych zeznań.

– Możemy to przełożyć? – nalegam. – Słabo mi.

Zamykam oczy, opadając na poduszkę.

– Kochanie… – Matka podbiega do mnie. – Przecież czułeś się już dobrze.

– Mówiłam pani, że za wcześnie na takie rozmowy. Pan doznał urazu głowy, niewskazane są żadne stresujące sytuacje, a ta najwyraźniej do takich należy – mówi ostro pielęgniarka, stając w mojej obronie.

Matka trafiła na godną rywalkę. Pielęgniarka tak łatwo nie odpuści. Taki sam silny charakter i dominująca natura. Stanowczym głosem zwraca się po duńsku do funkcjonariusza policji, a potem przenosi spojrzenie na moją matkę.

– Bardzo proszę opuścić salę – dodaje po polsku. – Pacjent musi teraz odpoczywać. Dla nas jego zdrowie jest najważniejsze.

Wciąż mam zamknięte oczy. Słyszę odgłos oddalających się kroków, zmierzają w stronę drzwi. Po chwili robi się cicho. Kobieta kładzie dłoń na moim nadgarstku, powoli podnoszę powieki.

– Dziękuję pani – szepczę. – Jestem okropnie zmęczony, zdrzemnę się.

– Proszę być spokojny, nikogo do pana już dziś nie wpuszczę – zapewnia mnie, poprawiając poduszkę pod moją głową.

EMIL

11 października 2019
Kopenhaga

Znów mijamy się na dyżurze. Bardzo się cieszę z tego faktu. Nie podjąłem jeszcze prób zakończenia związku, ale chcę to zrobić w najbliższym czasie. Dzisiaj nie zaprosiłem jej na noc do siebie, a gdy ona zaproponowała wspólną kolację, odmówiłem, tłumacząc się zmęczeniem. Była wściekła, wysłała potem kilka kąśliwych esemesów, co tylko jeszcze bardziej pogrążyło ją w moich oczach. Nie wiem, naprawdę nie wiem, co w niej widziałem. Chyba zawładnął mną dobry seks, na który zawsze miała ochotę, ale to już za mało. Jej zazdrość i podejrzliwość irytują mnie do granic możliwości.

Przyczepiam rower do stojaka przed szpitalem i wchodzę do kawiarni po przeciwnej stronie ulicy. Wstałem późno i nie zdążyłem wypić porannej kawy. Od razu idę w stronę baru, nie będę miał czasu, aby wypić na miejscu, dlatego proszę o podwójne espresso na wynos. Żartuję z młodą kelnerką, która uwija się przy ekspresie, płacę i wychodzę. Celowo przychodzę do szpitala na czas, dosłownie na styk, a nawet lekko spóźniony, choć tego nie lubię. Dziś jednak nie chcę, aby znów doszło między nami do konfrontacji. Niech zejdzie z dyżuru, nim ja na niego dotrę. Niestety ona najwyraźniej na mnie czekała, bo gdy mijam obrotowe drzwi wejściowe, zauważam ją na końcu korytarza. Idziemy na wprost siebie, nie mam szans, by uciec, a po jej minie widzę, że jest wściekła. Co tym razem?

– Widzę, że jesteś w świetnym humorze – rzuca.

– To chyba nie grzech – odpowiadam.

– Byłeś w knajpie naprzeciwko? – pyta, wymownie zerkając na trzymany w moim ręku papierowy kubek.

– Tak – odpowiadam z uśmiechem.

– Z nią? – pyta. – Umówiłeś się tam z nią? Prawda?

– Co? – Marszczę brwi.

– Z Leną. No przyznaj się – syczy.

– Chyba ci już do reszty odbiło. – Mijam ją i ruszam przed siebie.

Nie mam ochoty znów wałkować tego tematu. Oszalała i wpadła w skrajną obsesję na punkcie Leny.

– Dlaczego mnie okłamujesz?! – krzyczy. – Dlaczego mnie zdradzasz?

Ludzie, którzy nas mijają, patrzą na mnie z dezaprobatą. Co prawda, nie rozumieją po polsku, ale widzą nasze emocje. Nie pozwolę, aby szykanowała mnie przy innych. Odwracam się i spoglądam jej w oczy.

– Nie zdradzam cię – mówię spokojnie.

– Przecież wiem, że się z nią przed chwilą widziałeś – mówi tak pewnie, że gdybym jej nie znał, sam bym w to uwierzył. – Ona tu była, nie wykręcaj się. Przyszła tu z twojego powodu.

Jej pewność mnie rozbawia, uśmiecham się, co jeszcze bardziej ją wkurza.

– Nie drwij sobie ze mnie – syczy.

– Przestań – uspokajam ją. – Muszę lecieć, pogadamy potem, już jestem spóźniony.

– Wolisz ją, tę morderczynię zamiast mnie! – mówi, podnosząc głos.

– Ucisz się. – Chwytam ją za ramię i odciągam na bok.

Swoją agresją ściągam na nas spojrzenia innych. Patrzą na mnie jak na sadystę.

– Ała! – wrzeszczy.

– Przestań robić sceny!

Grupa kilku pielęgniarek przystaje, pytają, co się stało. Mówię im, że wszystko w porządku, że śpieszę się na oddział.

– Dlaczego ona? – pyta, nie zważając na to, że przyglądają nam się ludzie. – W czym jest lepsza ode mnie?

– Nie będę znów o tym rozmawiać. Skończ z tym, bo…

– Bo co? Co zrobisz? – Patrzy na mnie hardo. – Straszysz mnie?

Kręcę głową.

– Już jestem spóźniony, więc proszę, daj mi spokój i pozwól pójść do pacjentów. – Wypuszczam ją z uścisku i ruszam przed siebie.

– Nie – protestuje, chwytając mnie za łokieć. – Mam tego dość!

– Ty masz dość? – Odwracam się w jej stronę. – Ubzdurałaś sobie jakąś historię i teraz mnie nią dręczysz. Żałuję, że w ogóle ci o niej powiedziałem. To koniec – mówię.

Może to jest właśnie odpowiedni moment, by z nią zerwać. Nie widzę przed nami przyszłości i nie chcę się męczyć ani chwili dłużej.

– Jeśli tak ma to dalej wyglądać, to ja odchodzę. – Rozkładam ręce. – Jestem zmęczony twoimi podejrzeniami…

– Ty sukinsynu – przerywa mi. – Zostawiasz mnie dla niej!

– Nie dla niej, po prostu nie chcę już być z tobą. – Chwytam ją za ramiona, w jej oczach dostrzegam obłęd.

Sanitariusz, który właśnie nas mija, udaje, że tego nie widzi, ale zdążyłem złapać jego oburzone spojrzenie, nim odwrócił wzrok. Mam dość, serdecznie dość jej insynuacji, podejrzeń, szaleństwa. To jakaś wariatka!

– Nie zostawię tak tego! – krzyczy. – Wiem, że się z nią widziałeś, tutaj, że znów się spotykacie. Dlatego tak się zmieniłeś, dlatego zacząłeś mnie tak traktować…

– Uspokój się! – Potrząsam nią.

– Odnajdę ją, powiem jej, co o niej myślę, albo od razu zawiadomię policję. Jak możesz kochać morderczynię?! – krzyczy mi w twarz.

Wyrywa się z mojego uścisku i rusza do wyjścia. Patrzę, jak jej płaszcz faluje, odgłos obcasów niesie się echem po korytarzu i nagle się odwraca.

– Pożałujesz tego! – wrzeszczy, rzucając we mnie kluczami do mojego mieszkania.

Straszy mnie? Naprawdę? Kto mieczem wojuje, od miecza ginie. Schylam się po klucze i chowam je do kieszeni płaszcza. To by było na tyle z mojej miłosnej przygody z panią pielęgniarką. I bardzo dobrze, ułatwiła mi zadanie.

ANNA

14 października 2019
Kopenhaga

Wchodzę pod prysznic, woda obmywa moje ciało. Nakładam na głowę odżywkę, przeczesuję nią pasma włosów, spłukuję i dopiero wtedy wlewam na rękę szampon. Myłam włosy w odwrotnej kolejności, najpierw odżywka potem szampon, zanim stało się to modne. Dookoła zaczyna pachnieć wanilią. Ciepłe powietrze osadza się na plastikowych drzwiczkach kabiny. Robi się przyjemnie, mogłabym tak stać i delektować się chwilą, ale mam ważniejsze sprawy do załatwienia. Zakręcam wodę i sięgam po ręcznik. Wychodząc spod prysznica, uderzam nogą w brodzik, klnę głośno. Moje zdenerwowanie powoli wymyka się spod kontroli, zawsze tak mam, gdy dzieją się przełomowe momenty w moim życiu, a taki właśnie teraz nadszedł.

Od kilku dni czuję się jak akrobatka poruszająca się z zamkniętymi oczami na linie zawieszonej wysoko nad ziemią. Jeden niewłaściwy krok, spóźniony ruch i spadam, rozbijając się o twardą powierzchnię rzeczywistości. A ona może być dla mnie koszmarna, jeśli odpowiednio nie zadbam o wszystkie detale. Nie chcę utracić tego, co mam, na co tak ciężko od lat pracowałam, nikt nie może pokrzyżować moich planów. A już na pewno nie ona.

Wychodzę z łazienki, zostawiam mokre ślady stóp na płytkach, wytrę je, jak wrócę, teraz nie mam czasu. Wyjmuję z szafy dżinsowe spodnie i żółty golf. Mokre włosy przeczesuję palcami i poświęcam chwilkę na pomalowanie oczu. Będę się widziała tylko z nią, ale modny ubiór i makijaż dodają mi odwagi. Przelotnie zerkam na zegarek, zostało niewiele czasu, wrzucam tusz do kosmetyczki i sięgam po suszarkę. Umówiłam się z dziewczyną na największym placu Kopenhagi – Królewskim Nowym Targu. Mam nadzieję, że nie wyskoczą jakieś niespodziewane okoliczności, na skutek których Lena nie będzie mogła pojawić się w tym miejscu. To by mnie zdenerwowało. Spoglądam na swoje odbicie w lustrze, wyglądam świetnie. Właśnie o taki efekt chodziło.

Staram się zająć myśli czymś przyjemnym, utwierdzam się w przekonaniu, że wszystko będzie dobrze, że dopilnuję, aby ułożyło się po mojej myśli. Najważniejsze, że mam kon-

trolę nad sytuacją, że to ja pociągam za sznurki i od mojego najbliższego ruchu będzie zależało właściwie wszystko.

Mimo to siedząc w kolejce metra, jestem zdenerwowana spotkaniem z Leną. Prześladuje mnie myśl, że coś potoczy się nie tak, jak powinno. A jeśli dziewczyna zacznie stwarzać problemy? Albo nie pojawi się dziś sama, tylko w czyimś towarzystwie? Przyglądam się swoim paznokciom, lakier odprysnął na czubku kciuka, denerwuje mnie ten widok. Nie znoszę zaniedbanych dłoni. Ręce są wizytówką kobiety, a moje dziś nie prezentują się należycie. Będę musiała umówić się jutro do kosmetyczki, jeżeli znajdzie wolny termin, ale nie zdzierżę długo tego obskubanego pazura. Chowam rękę do kieszeni płaszcza i obiecuję sobie, że kiedy dzisiaj załatwię najważniejsze zadanie, będę mogła poświecić się dbaniu o siebie.

Wysiadam na stacji Kongens Nytorv. Ruszam ruchomymi schodami ku górze, rozglądając się z uwagą na boki, bo kto wie, może nawet już tu ją spotkam. Bardzo prawdopodobne, że na miejsce spotkania przybyła metrem, chyba że wybrała rower albo taksówkę, nie wiem, dlaczego w ogóle te banalne rozważania pojawiają się w mojej głowie. Bardzo się denerwuję, czy wszystko dobrze pójdzie, bo od tego, jak przebiegnie spotkanie z Leną, zależy moja przyszłość.

Wraz z tłumem innych pasażerów z metra wyłaniam się na powierzchnię i od razu ruszam w stronę restauracji Espresso House. To tutaj umówiłam się z Leną. W środku jest dużo ludzi, warczą ekspresy do kawy, pachnie bułeczkami cynamonowymi i czekoladą. W innych okolicznościach od razu złapałabym ten przyjemny nastrój, ale teraz jestem spięta i czuję, że spociłam się pod pachami. Rzadko mi się to zdarza, prawie nigdy, dopiero co wyszłam spod prysznica, a już czuję się brudna i nieświeża. Muszę wziąć się w garść i zapanować nad emocjami.

Przepycham się między stolikami i od razu ją zauważam. Siedzi na barowym stołku, tyłem do mnie. To dziwne. Gdybym była na jej miejscu, siadłabym przodem do drzwi i wyglądała, kiedy przyjdzie mój rozmówca. Ale być może gdy się ma tyle do ukrycia, postępuje się inaczej. Podchodzę do baru i kładę rękę na jej ramieniu. Z lekkim drżeniem odwraca głowę w moją stronę, spoglądając na mnie ogromnymi, przerażonymi oczami.

– Dzień dobry, Leno – mówię.

EMIL

15 października 2019
Kopenhaga

– Twoja dziewczyna nie żyje – dobiega mnie głos zza pleców.

– Słucham? – Odwracam się.

W drzwiach dyżurki stoi Kamila, pielęgniarka ze Słowacji. W oczach ma łzy.

– Znaleziono jej ciało – mówi rozhisteryzowanym tonem. – Boże, Boże. – Zakrywa twarz dłońmi. – Od wczoraj nie mogłam się do niej dodzwonić, myślałam, że pojechała do Polski.

– O czym ty mówisz? – przerywam jej, wstając z fotela.

– Właśnie przyszła policja do szpitala – wyjaśnia. – Chcą z tobą porozmawiać – mówi i łamie jej się głos. – Z tobą. – Wymierza palcem w moją klatkę piersiową. – Chcą rozmawiać z tobą – powtarza. – To ty ją zabiłeś?!

– Co ty wygadujesz?! – podnoszę głos. – Nie widziałem się z nią od piątku – tłumaczę, zamykając za nią półotwarte na korytarz drzwi.

– Ach tak? – Patrzy na mnie ze złością w oczach. – Mieliście wczoraj się spotkać, chciała zabrać od ciebie swoje rzeczy.

– To prawda. – Kiwam głową. – Ale nie przyszła po nie. Pomyślałem, że nadal jest wkurzona.

– Wkurzona? – znów mi przerywa. – Po tym, jak potraktowałeś ją w taki sposób?! Ona była załamana! To twoja wina! – wrzeszczy.

– Uspokój się. To na pewno jakaś pomyłka.

– Ona nie żyje, a ty chcesz, żebym się uspokoiła?!

– Przestań krzyczeć. – Podchodzę do niej i chwytam ją za ramiona. – To jakieś nieporozumienie – mówię, bo jestem pewien, że doszło do pomyłki.

– Zostaw mnie! – Odskakuje do tyłu jak oparzona. – Nie dotykaj mnie więcej! – Nigdy nie zachowywała się w taki sposób wobec mnie. – Zabiłeś ją? – Ciska w moją stronę pytanie i na moment robi mi się ciemno przed oczami.

Powoli docierają do mnie prawdziwość tych słów i konsekwencje tego wydarzenia. Dla mnie.

– Dlaczego? – Kamila pyta przez łzy, patrząc mi prosto w oczy. – Dlaczego to zrobiłeś?

– Ja? – Uderzam się ręką w pierś. – To nie ja! I dlaczego uważasz, że to zabójstwo?

Przez myśl przebiega mi inna wizja. W napadzie wściekłości i żalu sama targnęła się na swoje życie.

– Policja twierdzi, że ktoś ją zamordował – mówi. – I nie mają co do tego wątpliwości. A ona opowiadała mi, jaki potrafisz być…

– Nie zrobiłem tego – przerywam jej, podnosząc ręce w geście poddania. – Chyba nie mówisz poważnie i mnie o to nie podejrzewasz?! – rzucam, ale po jej minie widzę, że właśnie to ma na myśli. Czego dowiedziała się na mój temat?

– Dzwoniła do mnie, mówiła, że się pokłóciliście, zerwałeś z nią, byłeś na nią wściekły, wiele osób widziało was wtedy na korytarzu – mówi, wybuchając płaczem.

Nagle drzwi do pokoju otwierają się, wchodzi dyrektorka szpitala w towarzystwie dwóch młodych funkcjonariuszy policji.

– Chcielibyśmy z panem porozmawiać – odzywa się jeden z nich po angielsku, widocznie dyrektorka uprzedziła ich, że nie mówię po duńsku.

Spoglądam mu w oczy i momentalnie widzę, że rozmowa nie będzie należała do łatwych.

– Zapraszam – mówię. – Choć nie wiem, jak mogę panom pomóc.

– To my zapraszamy z nami – ripostuje drugi, wyższy, z gładko ogoloną głową.

Robi mi miejsce w przejściu i czeka, aż opuszczę dyżurkę.

LENA

14 października 2019
Kopenhaga

Jej dłoń na moim ramieniu pali mnie w skórę. Najchętniej uciekłabym stąd, ale ona i tak mnie odnajdzie. Już mnie odnalazła. Cofam się o krok, jej spojrzenie jest surowe i władcze. W Espresso House czuję się jak mysz w szklanej pułapce; przez wielkie, szklane witryny ludzie obserwują, jak miotam się złapana w szpony najgorszego wroga i nikt z nich nie chce mi pomóc.

– Dzień dobry, Leno – mówi, siadając obok mnie na stołku barowym.

– Dzień dobry, pani dyrektor – odpowiadam, ściskając nerwowo w rękach torebkę.

Przerzuca wzrok na barmana i prosi o kawę.

– Ty też się napijesz?

– Nie, dziękuję.

– Poproszę do stolika – rzuca do kelnera i rusza w głąb sali. – Mało prawdopodobne, że chłopak rozumie polski, ale nie mam zamiaru o naszych sprawach rozmawiać przy barze – tłumaczy, gdy przemykamy pomiędzy stolikami.

Na samo wyrażenie: „nasze sprawy" cierpnie mi skóra. Nie chcę mieć z nią żadnych wspólnych spraw, a jednak jest inaczej.

Zajmuje stolik przy oknie, wybiera krzesło z widokiem na ulicę, gestem ręki wskazuje, abym usiadła naprzeciwko.

– Zrobiłaś to, o co cię prosiłam? – pyta.

Potakuję głową, spuszczając oczy. Nie miałam wyjścia. Przycisnęła mnie do muru, postawiła w patowej sytuacji, to nie była żadna prośba. To był rozkaz.

Kilka dni temu wpadłyśmy na siebie na Esplanaden. W pierwszej chwili myślałam, że to przypadkowe spotkanie, ale po kurtuazyjnej wymianie zdań zorientowałam się, że właśnie znalazłam się w pułapce. Historia zatoczyła koło. Znów nie mam wyjścia.

– Dzień dobry, Leno! – krzyknęła, gdy wracałam ze świeżymi bułkami z piekarni.

– Dzień dobry, pani dyrektor – powiedziałam.

Pomyślałam, że zmierza do pani Sary, najwidoczniej staruszka zapomniała mi powiedzieć, że dzisiaj spodziewamy się gościa.

– Idzie pani do pani Sary? – zapytałam z uśmiechem na ustach, nawet nie podejrzewając, że za kilka sekund mój świat znów się zawali. – Gdybym wiedziała, kupiłabym kawałek świeżego ciasta – zasugerowałam, wskazując gestem dłoni na papierową torbę z bułkami.

– Nie. – Pokręciła głową. – Przyszłam spotkać się z tobą.

Ziemia lekko zadrżała pod moimi nogami. Ze mną? Czego mogła ode mnie chcieć? To na pewno nic groźnego i nie ma powodu do niepokoju. Zechce zaproponować mi pracę u siebie w instytucie albo zapyta, czy znajdę czas, by jeszcze dodatkowo zajmować się inną starszą osobą? Być może pani Sara napomknęła jej o moim zamiłowaniu do fotografii? Nie zna mnie, nie wie, kim jestem i co zrobiłam, mogę być spokojna.

– Ze mną? – zapytałam, spoglądając jej w oczy.

– Tak. – Uśmiechnęła się.

– To zapraszam – powiedziałam.

Zatrzymała mnie dosłownie kilka kroków od kamienicy.

– Nie możemy rozmawiać w jej obecności – powiedziała. – Chyba że chcesz, aby pani Sara dowiedziała się prawdy.

– Prawdy? – Spojrzałam na nią, nadal łudząc się, że to jakieś nieporozumienie.

Bo jakim cudem ona, zacna pani dyrektor Instytutu Polskiego w Kopenhadze może wiedzieć, co zrobiłam i przed kim uciekam.

– Tak, o tobie i Nikodemie Nowickim.

Właśnie nadeszło tsunami. Skąd zna Nikodema? O co w tym wszystkim chodzi? Jakakolwiek będzie odpowiedź, nie zakończy się to dobrze. Zostałam odnaleziona. Koniec z bezpieczną kryjówką w domu sympatycznej staruszki. Jak to możliwe? Gdzie popełniłam błąd? I nagle to do mnie dotarło. To ona była tą kobietą, która mnie obserwowała wtedy na ulicy, bo któż inny? Ma na sobie ten sam płaszcz, rozwiany, tańczący na wietrze, co prawda teraz rozpuściła włosy, ale wiem, że wtedy to była ona. Dobrze czułam, że ktoś ma mnie na oku. Ale skąd ona wie o Nikodemie?

– No właśnie. – Musiała wyczytać niepokój z mojej twarzy. – Przejdźmy się do parku – zaproponowała, wskazując ręką przed siebie. – Przecież nie będziemy rozmawiać w tym gwarze.

Posłusznie ruszyłam za nią, jeszcze chwilę temu radosny, hałaśliwy, słoneczny poranek w duńskiej stolicy nagle wywołał przytłaczające, wręcz paraliżujące poczucie. Czego się dowiem? Jakie to będzie miało dla mnie konsekwencje? Czy znów będę musiała uciekać? Czy wie także o tym, że zabiłam człowieka? Może policja jakimś trafem dowiedziała się, że jestem w Kopenhadze, powiadomiła Instytut Polski? Nie, to tak nie działa. Kontaktowaliby się z duńską policją, a nie wymuszali na pani dyrektor, cywilnej osobie, wyjaśnienia tej sprawy. Może dowiedziała się o mnie przypadkiem i teraz chce mnie uprzedzić, zaproponować jakieś rozwiązanie, pomóc? Miliony scenariuszy przewijało się w mojej głowie,

gdy kroczyłyśmy w dół Esplanaden, ale żaden nie okazał się tym, który miał się ostatecznie ziścić. Szłam, wpadając na mijających mnie ludzi, chciałam rozmyć się wśród tłumu, zniknąć, uciec, zanim powie mi, jaka jest cena jej milczenia.

Przeszłyśmy na drugą stronę ulicy i weszłyśmy do parku. Wybrała ławkę najbliżej wejścia, usiadła na niej, uprzednio zgarnąwszy chusteczką wilgoć i suche liście.

– Skontaktował się ze mną Nikodem Nowicki – zaczęła, a ja czułam, jak krew pulsuje w mojej głowie i rozsadza od środka czaszkę. – Przyjechał tutaj, aby cię odnaleźć.

Ziemia pode mną zadrżała. To Nikodem jest w Kopenhadze? Od kiedy? Czy wie, gdzie mieszkam? Jak dużo mu o mnie powiedziała?

– Nie zdradziłam mu, gdzie cię znajdzie – odpowiedziała, jakby czytała w moich myślach. – I mogę cię uspokoić, nie powiem, ale musisz coś dla mnie zrobić.

Co zrobić? Naprawdę w tamtej chwili nie rozumiałam, czego może ode mnie zażądać, do czego zmusić?

– No więc pomogę ci – powiedziała, zakładając nogę na nogę. – Ale będziesz musiała coś dla mnie zrobić – powtórzyła, przenosząc na mnie wzrok. – Od tego, czy ci się to uda, zależy moja przyszłość, a tym samym także twoja. Mam nadzieję, że rozumiesz powagę sytuacji i podejmiesz się tego zadania.

– Co mam zrobić? – zapytałam.

Uśmiech sam pojawił się na jej twarzy. Zupełnie tak jak w tej chwili, gdy patrzy na mnie, czekając, aż podzielę się z nią szczegółami z przeprowadzonej akcji, którą mi wtedy zleciła.

EMIL

15 października 2019
Kopenhaga

Na komendzie policji czeka na mnie tłumacz. Wciąż nie mogę uwierzyć, że ona nie żyje. To jakiś absurd. Szpakowaty mężczyzna rusza w moją stronę, przedstawia się i wyciąga do mnie rękę. Ma silny i zimny uścisk dłoni. Wyjaśnia, że będzie obecny przy przesłuchaniu i nachylając się dyskretnie w moją stronę, dodaje:

– Radzę poprosić o obrońcę z urzędu.

Prostuję się. Od razu założył, że jestem winny?

– Jestem niewinny – mówię oburzony. – Nie potrzebuję adwokata.

– Każdy tak mówi. Proszę się nie denerwować – dodaje uspokajającym tonem. – Jestem tu po to, żeby panu pomóc. Byłem wielokrotnie w podobnych sytuacjach i proponuję nie zeznawać bez obecności adwokata.

– Sam potrafię się obronić, to formalność, nie mam nic wspólnego z tą sprawą.

„Tą sprawą" – tak nazywam śmierć mojej dziewczyny, kobiety, z którą sypiałem przez ostatnich kilka miesięcy, z którą planowałem początkowo nawet zbudować coś więcej niż przelotny romans. Nagle dociera do mnie, że już nigdy jej nie zobaczę, to koniec. Została brutalnie zamordowana. Przez kogo? I dlaczego? Cierpiała, bała się. Co za koszmar.

– Na tym etapie śledztwa chodzi o udowodnienie panu winy – ciągnie zawzięcie tłumacz. – Oni muszą udowodnić winę panu, a nie pan im swoją niewinność, proszę o tym pamiętać i trzymać usta na kłódkę. Milczenie jest złotem.

Czy gość jest przedstawicielem jakiejś nieformalnej organizacji broniącej praw mężczyzn? Na własnej skórze doznał pomówień i niesłusznych oskarżeń, stąd takie zaangażowanie z jego strony? Zupełnie niepotrzebnie, ja naprawdę nie mam nic wspólnego z jej śmiercią. Poproszę o adwokata, jeśli poczuję taką potrzebę. Teraz chcę się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Nie wytrzymam nawet sekundy dłużej w tej niepewności. Do pokoju wchodzi funkcjonariusz.

– Magnus Jensen – przedstawia się, odsuwając krzesło i siadając naprzeciwko nas.

– Gdzie znaleziono jej ciało? – pytam, zwracając się w jego stronę.

– Spokojnie – mówi tłumacz. – Pan funkcjonariusz będzie zadawać pytania. Proszę się przedstawić i podać swój adres – dodaje.

Zerkam na tłumacza i przez myśl mi przebiega pytanie, po której właściwie on jest stronie. Nie podoba mi się ten gość. A jeśli będzie tłumaczyć na moją niekorzyść? Posłusznie przedstawiam się, patrzę, jak policjant zapisuje moje personalia, a potem zerka na mnie, mrużąc oczy.

– Kiedy ostatni raz widział pan panią Sylwię Widowską? – pyta.

– W piątek – mówię zgodnie z prawdą. – Widzieliśmy się po jej dyżurze na korytarzu w szpitalu – precyzuję.

Tłumacz przekazuje moje zeznania, a potem słowa policjanta.

– Mamy świadków, którzy zeznali, że się kłóciliście – zaczyna, spuszcza głowę i zerka do notatek. – Jeden z przesłuchiwanych zeznał, cytuję, że szarpał pan panią Widowską i przyciskał do ściany.

– Bzdury! – wybucham.

To zapewne sprawka Kamili; uważa, że to ja zabiłem jej przyjaciółkę.

– O co się pokłóciliście? – pyta funkcjonariusz, lekceważąc moje słowa.

– Nie kłóciliśmy się – tłumaczę.

Spogląda na mnie z wyrzutem w oczach.

– Kamery pokazują co innego – rzuca tłumacz.

A więc już obejrzeli nagranie z monitoringu, które przemawia przeciwko mnie? Byłem wściekły, rzeczywiście puściły mi nerwy, ale tylko dlatego, że znów zaczęła te swoje kompletnie niedorzeczne podejrzenia na temat mojego romansu z Leną. Gdy się kłóciliśmy, uważałem, że Lenę w szpitalu zmyśliła jej chora zazdrość, obsesja na punkcie mojej przeszłości. Ale teraz nie mam już pewności, czy one się jednak nie spotkały. Być może rozmawiały, Sylwia powiedziała, że zna jej tajemnicę, dręczyła ją historią niewyjaśnionej śmierci faceta wyłowionego z Bugu, oskarżyła Lenę o morderstwo… Kto wie, może zagroziła, że doniesie na nią policji, a Lena w akcie desperacji i strachu zabiła ją? To niemożliwe. Lena by tego nie zrobiła.

– Gdzie znaleziono ciało? – pytam.

Muszę to wiedzieć, to ma kluczowe znaczenie dla dalszego śledztwa.

– To ja jestem tu od zadawania pytań – mówi tłumacz z wyczuwalną satysfakcją, cytując słowa funkcjonariusza.

Przełykam głośno ślinę i zastanawiam się, czy jednak nie iść za jego radą i nie poprosić o adwokata. O co tu właściwie chodzi? Odnoszę wrażenie, że oni mi nie wierzą. Uważają, że ja zabiłem Sylwię? Dlatego ściągnęli mnie na komendę?

– Co pan robił wczoraj od późnego wieczora do dzisiaj rana?

A więc oskarżenie. Muszę ważyć każde moje słowo. Niewiarygodne, że znalazłem się w tak niedorzecznej sytuacji. Mam ochotę krzyczeć, powiedzieć, że tylko tracą czas,

zamiast mnie przesłuchiwać, powinni zająć się ściganiem osoby, która zabiła Sylwię.

– Do dziewiętnastej byłem w pracy, a potem wróciłem do domu.

– Czy ktoś może to potwierdzić?

– Nie. – Wzruszam ramionami, nawet jakbym chciał, nie mogę sobie pomóc. – Byłem sam w domu – dodaję, przełykając ślinę.

Funkcjonariusz notuje coś na kartce. Czy brak alibi oznacza, że znalazłem się w niewygodnym położeniu i w ich świadomości funkcjonuję jako główny podejrzany?

– Jakieś kamery? W pana kamienicy, w budynkach po przeciwnej stronie ulicy?

– Obok kamienicy, w której mieszkam, znajduje się bank, na którym są kamery, ale nie sądzę, że swoim zasięgiem obejmują wejście do klatki.

– Sprawdzimy to – precyzuje policjant, choć jego mina nie wskazuje na to, że jest to dla niego jakiś istotny czynnik w sprawie.

Mogłem wyjść tylnym wejściem lub wiedząc, że na banku są kamery, przemyślałem, jak wykorzystać je do mojego ewentualnego alibi. I wtedy sobie przypominam. Mój sąsiad odwiedził mnie wieczorem z paczką, którą zostawił u niego dla mnie kurier.

– Chwileczkę – rzucam. – Wieczorem na chwilę wpadł do mnie sąsiad. Kompletnie o tym zapomniałem – dodaję. – Przyniósł mi paczkę, kurier często zostawia u niego przesyłki dla mnie.

– O której to było godzinie? – dopytuje funkcjonariusz.

– Nie pamiętam dokładnie, ale myślę, że było już po dwudziestej. Peter pracuje z domu, jest programistą…

– Imię i nazwisko sąsiada? – przerywa ten drugi.

– Peter Hansen.

Policjant zapisuje dane i podnosi na mnie wzrok.

– Czy pana dziewczyna – zerka do notatek. – Sylwia Widowska miała jakichś wrogów, kogoś się bała, ktoś jej zagrażał? – Podnosi na mnie wzrok. – Czy wie pan, kto mógł życzyć jej śmierci?

Wiem tylko tyle, że nie powiem im prawdy.

NIKODEM

12 października 2019
Kopenhaga

Nie dało się dłużej zwodzić matki ani policji. Leżę podparty na wielkich poduszkach na łóżku szpitalnym w ciasnym pokoju, w towarzystwie funkcjonariusza policji, tłumacza i mojej matki. Jestem przykryty od pasa w dół; albo w sali jest za ciepło, albo ja tak się denerwuję, bo ciało mam całe oblepione potem. Najchętniej uciekłbym stąd, wykręcił się niedyspozycją, poprosił o pomoc tę miłą pielęgniarkę z Polski, ale dzisiaj zajmuje się mną jakaś małomówna Dunka. Jeśli tamta nie zjawi się na dyżurze przed moim wypisaniem z oddziału, nawet nie będę miał okazji podziękować jej za wszystko, co dla mnie zrobiła.

Dzisiaj wychodzę ze szpitala, gdyby moja matka nie była nadgorliwa, udałoby mi się uniknąć przesłuchania przez policję. Po prostu nie zmusiłaby mnie żadną siłą, bym pojechał na komisariat i złożył zeznanie, a tak nie mam wyboru. Chyba zdawała sobie z tego sprawę, dlatego ściągnęła ich tu wszystkich właśnie teraz. Fizycznie czuję się już dobrze, ale psychicznie zapadam się w siebie. Matka nie opuszcza mnie na krok, a gdy ona jest tak blisko, nie uda mi się odnaleźć Leny bez wtajemniczenia jej w sprawę. I tak bez przerwy zadaje pytania, po co przyjechałem do Danii, przecież mówiłem, że mam spotkanie z niemieckim kontrahentem. Dodatkowo widziała Lenę w szpitalu, w jej głowie powstało mnóstwo scenariuszy, a w każdym z nich Lena jest moim największym zagrożeniem. Moja matka tak łatwo jej nie odpuści. Oddała mi co prawda komórkę, ale to nie oznacza, że zwróci mi wolność. Anna nie skontaktowała się ze mną, żadnych nieodebranych połączeń ani esemesów, zapewne obraziła się, że wystawiłem ją do wiatru, będę musiał udać się do niej do instytutu. W mieszkaniu, w którym się zatrzymałem, zostawiłem swoje rzeczy, walizkę z ubraniami. Klucze do domu zostały skradzione wraz z saszetką, na szczęście te do auta miałem w płaszczu.

– Proszę opowiedzieć, w jakich okolicznościach został pan zaatakowany – mówi tłumacz, przekładając na język polski słowa policjanta, sadowiącego się na skórzanym fotelu z powycieranymi podłokietnikami.

Przed chwilą wysłużony fotel przywiozła z dyżurki pielęgniarka, ta wysoka i szczupła Dunka.

– Wyszedłem z mieszkania i wtedy ktoś uderzył mnie w tył głowy – mówię.

– Adres – przerywa policjant.

Nie pamiętam ulicy, nawet nie wiem, jak tam dotrzeć, chyba że znalazłbym się w Instytucie Polskim, stamtąd pamiętam drogę.

– Nie pamiętam – mówię, odruchowo łapiąc się za głowę.

– Okej – wtrąca policjant.

Nie wiem, czy obawia się, że jego wnikliwe pytania doprowadzają mnie do bólu głowy, czy że mogę się jeszcze źle czuć, ale wyraz jego twarzy łagodnieje. Tłumacz siedzi na metalowym taborecie z założonymi rękoma na kolanach, za jego plecami stoi moja matka. Wyobrażam sobie, jak facet musi czuć się niekomfortowo z jej nerwowym oddechem na karku.

– Spiszę adres z danych znajdujących się w szpitalu, na pewno jest zanotowane, skąd zabrała pana karetka.

Kiwam głową, to rzeczywiście najszybszy sposób dotarcia do adresu mieszkania należącego do instytutu.

– Proszę powiedzieć, co było dalej – ponagla policjant.

– No więc wyszedłem z mieszkania, odwróciłem się, aby przekręcić klucz w zamku i zostałem uderzony w głowę – wyjaśniam.

– Widział pan napastnika?

– Nie. – Kręcę przecząco głową.

– Wzrost, postura, naprawdę nic?

Zamykam na moment oczy, próbując sobie coś przypomnieć. Jak wychodziłem z mieszkania, usłyszałem jakiś szelest, pamiętam, że zwrócił moją uwagę. Ale teraz nie potrafię sobie przypomnieć dlaczego. Co było charakterystycznego w tym dźwięku? Wytężam myśli, ale odpowiedź nie przychodzi. Czy to wynik uderzenia, problem z pamięcią i skonstruowaniem wniosków?

– Uważam, że to był napad rabunkowy. Być może ktoś mnie obserwował, sądził, że mogę nosić przy sobie spore sumy pieniędzy albo po prostu miałem pecha, pojawiłem się w nieodpowiednim miejscu i o nieodpowiedniej porze – mówię. – Wystraszyłem kogoś, pokrzyżowałem plany włamania do innego mieszkania w kamienicy? – dodaję, wzruszając ramionami.

Daję tłumaczowi czas na przekazanie tego, co właśnie powiedziałem. I pierwszy raz po napadzie próbuję myślami wrócić do tych wydarzeń. Czy napastnik czekał tam na mnie? To by wskazywało, że napad był zaplanowany, co jest mało prawdopodobne. Bardziej realna wydaje się hipoteza, że ktoś chciał dokonać rabunku, a ja wystraszyłem go, ewentualnie zostałem z kimś pomylony.

– Czy jest ktoś, kto panu groził?

– Nie – odpowiadam.

Momentalnie przychodzi mi na myśl Lena. To jedyna osoba w Kopenhadze, która może źle mi życzyć. Jednak ona nie wiedziała, że jestem w Danii.

– To najpewniej był przypadek – stwierdzam.

Po prostu zwykły napad, na moim miejscu mógł być każdy mieszkaniec tej kamienicy. Jakiś żul dostał się do środka, bo ktoś przez nieuwagę nie zamknął drzwi. Chciał włamać się do któregoś mieszkania lub nawet już to zrobił i nagle ja się pojawiłem, a on nie potrzebował świadków.

– Nikoś – odzywa się matka. Po jej minie widzę, że ma coś ważnego do zakomunikowania. – A ta dziewczyna? – rzuca. – Musisz powiedzieć im o Lenie!

– Mamo! – napominam ją.

Nie chcę, żeby ją do tego mieszała. To niebezpieczne. Policja w żaden sposób nie może dowiedzieć się o tym, że coś mnie łączyło z Leną. Gdyby ona zdecydowała się wyznać prawdę, powiedzieć, co się stało w Polsce, w jaki sposób znalazła się w moim domu nad jeziorem, a także dlaczego z niego uciekła, będę mieć problemy. Oboje skrywamy tajemnice, o których nikt nie może się dowiedzieć.

– Widziałam ją tu, w szpitalu! – mówi podniesionym głosem. – Słowo daję! – Bije się pięścią w pierś.

Policjant mówi coś po duńsku, tłumacz kiwa głową.

– To nie mogła być ona – mówię.

– To była ona – protestuje matka. – Dlatego tu przyjechałeś! Wiem, że tak! Miałeś być w Niemczech, a tu nagle Kopenhaga, za nią tu przyjechałeś. Mnie nie oszukasz.

– Nieprawda – kłamię. – Nie mieszaj jej do tego, to skończona sprawa.

– Policjant pyta, o kim mówi pana matka i czy ma to związek z pobiciem? – przerywa tłumacz.

– Nie ma – mówię, patrząc surowo matce w oczy, niemy znak, aby zamilkła. – Możemy już skończyć to przesłuchanie? – Zerkam na policjanta. – Nie wnoszę żadnych skarg, przypadkowo zostałem pobity, chcę już o tym zapomnieć.

– Ale Nikoś. – Matka podnosi do góry ręce. – Nie możesz tego zostawić, zostałeś napadnięty, omal nie straciłeś życia!

– Mamo, chcę wrócić do domu – mówię. – Czy to ci nie wystarczy? – Przenoszę wzrok na tłumacza. – Proszę powiedzieć panu, że niczego więcej nie pamiętam, zostałem najpewniej przypadkowo napadnięty, obrabowany, niech prowadzi śledztwo, jeśli takie są jego obowiązki, ja się wycofuję i po wypisaniu ze szpitala wracam do Polski.

Tłumacz zaczyna wyjaśniać policjantowi, co powiedziałem, a ja mam nadzieję, że to wystarczy i dadzą mi spokój. Jednak po minie matki widzę, że to dopiero początek dochodzenia. Na samą myśl, co zamierza zrobić, cierpnie mi skóra na karku.

LENA

14 października 2019
Kopenhaga

– Zrobiłaś to? – Patrzy na mnie swoimi niebieskimi, zimnymi oczami, powtarzając pytanie, które zadała mi kilka sekund wcześniej.

– Tak. – Kiwam głową.

Uśmiech pojawia się na jej ustach, a spojrzenie łagodnieje. Cieszy się. Kim trzeba być, żeby cieszyć się cudzego nieszczęścia? Wielka dama, poważana w społeczności duńskiej, wytworna pani dyrektor, a tak naprawdę wredna suka.

– Grzeczna dziewczynka – szepcze pod nosem z satysfakcją.

Moja niechęć do niej osiąga apogeum. I mimo że idąc tu, zastanawiałam się, czy nie zabraknie mi odwagi, by wcielić w życie swój plan, teraz nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Kto mieczem wojuje, od miecza ginie, kto ucieka się do szantażu, sam go zaznaje. Pani dyrektor pociera palcami kąciki ust, wycierając piankę z cappuccino, i gdy ma już je otworzyć, by coś do mnie powiedzieć, uprzedzam ją:

– Zrobiłam to, co pani mi kazała. Wywiązałam się ze swojego zadania, ale teraz przyszła pora na rewanż.

Początkowo jej wyraz twarzy się nie zmienia, nadal rozkoszuje się korzyściami płynącymi z tego, co dla niej zrobiłam, ale w chwili, gdy ostatnie moje słowa do niej docierają, zastyga. Marszczy czoło i gniewnie spogląda w moją stronę.

– Nie rozumiem.

– Zrobiłam to, co pani mi kazała. Wiem, jak ogromne ma dla pani znaczenie, żeby nikt nie dowiedział się prawdy. I żeby tak się stało, teraz pani musi coś dla mnie zrobić.

– Zamierzasz mnie szantażować? – Patrzy na mnie drwiąco. – Nie pogrywaj sobie ze mną w ten sposób, bo nawet nie jesteś w stanie…

– Chcę mieć pewność, że jestem czysta – rzucam.

– Słucham? – Kładzie dłonie na blacie stolika.

– Moje warunki są proste. Nie tylko nie poda pani Nikodemowi mojego adresu, lecz także sprawdzi, czy mogę bezpiecznie wrócić do Polski. Wiem, że ma pani kontakty

w ambasadzie, proszę dotrzeć, do kogo trzeba i sprawdzić, czy nie widnieję w żadnym policyjnym rejestrze, bazie danych…

– Chyba sobie żartujesz – przerywa mi.

– Nie. – Kręcę głową. – Jeśli nie spełni pani mojej prośby, świat dowie się o tym, do czego mnie pani zmusiła – rzucam.

– Czy ty siebie słyszysz?! – unosi głos, ale momentalnie łagodnieje, nie chcąc ściągać na nas uwagi innych gości restauracji. Nachyla się nad stolikiem i szepcze: – Teraz jesteś w to tak samo zamieszana jak ja, więc nie baw się w swoje głupie gierki i marne szantaże, bo one nic nie wskórają. – Krzyżuje ręce na piersi i opiera się o fotel. – Ale przyznam, zaimponowałaś mi hardością, tego się po tobie nie spodziewałam. I może powiesz mi, co takiego zrobiłaś, że boisz się wracać do Polski?

Znów tryumfalny uśmieszek, jawnie drwi sobie ze mnie. Nie mam zamiaru wyjawiać jej swoich tajemnic, jest ostatnią osobą, której bym zaufała i cokolwiek o sobie opowiedziała.

– Nagrywałam nasze rozmowy, na wszystko mam dowody – odzywam się.

Spogląda na mnie w taki sposób, jakby chciała wydłubać mi oczy. A ja czuję drobną satysfakcję, która pozwala mi choć na krótką chwilę rozgrzeszyć samą siebie z tego, co zrobiłam. Zmusiła mnie, nie zostawiła wyboru, zaszantażowała. Zrywa się z miejsca i wściekła wybiega z kawiarni, zostawiając mnie przy pustym stoliku z rachunkiem do zapłacenia. Przez wielkie szyby wyglądam za nią na ulicę i widzę, jak doktor Anna Szmida, dyrektorka Instytutu Polskiego w Kopenhadze, z impetem wpada na ludzi idących chodnikiem. Wytworna, elegancka i fałszywa. Tak bardzo żałuję, że strach zadecydował za mnie, że przystałam na jej szantaż. Znów wraca niechęć do samej siebie i odraza z powodu tego, co zrobiłam, do czego ona mnie zmusiła.

EMIL

15 października 2019
Kopenhaga

Magnus Jensen wertuje kartki papieru leżące na biurku, ma pożółkłe palce. To znak rozpoznawczy nałogowego palacza. Jest młody, kilka lat starszy ode mnie, aż dziw bierze, że jeszcze nie przerzucił się na papierosy elektroniczne, także syf, ale mniej szkodliwy dla zdrowia. Pociera dłonią nos, nerwowy tik, który zauważyłem już u niego kilkukrotnie. Nałóg ciągnie go na zewnątrz, usilnie potrzebuje puścić dymka, jeszcze kilka minut i zakończy przesłuchanie, na moje szczęście.

Mam dość siedzenia w tej dusznej i ciasnej salce, bez okien, obrazów, czegokolwiek, na czym mógłbym skupić uwagę i choć na chwilę odpocząć od jego niewygodnych pytań. Nigdy wcześniej nie byłem w tak niekomfortowej sytuacji. Rozmowa ciągnie się już od ponad godziny, a ja odnoszę wrażenie, że odpowiadam cały czas na ten sam zestaw pytań. Albo Magnus Jensen jest tak kiepskim śledczym, albo tłumacz przysłany z ambasady działa na moją niekorzyść. Ta jego propozycja skorzystania z adwokata brzmiała dziwacznie. Może działa w imieniu jakiegoś prawnika, podsyła mu klientów, którzy znaleźli się w niewygodnym położeniu i dostaje działkę za załatwienie szybkiego zarobku? Zerkam na niego podejrzliwie, gdy gestykulując, zapewne znów mówi o mojej kłótni z Sylwią na korytarzu szpitala, o którą policjant pytał już kilkukrotnie.

– Czy w ostatnim czasie zauważył pan coś dziwnego w zachowaniu pani Widowskiej?

– Nie.

Oprócz tego, że dostała obsesji na tle mojej dawnej znajomej, która jakimś dziwnym trafem także zamieszkała w Kopenhadze, to nie zauważyłem niczego niepokojącego. Wspomnienie Leny znów wywołuje mój niepokój. Nie powiedziałem policjantowi o niej, na pytanie, czy ktoś mógł zagrażać Sylwii, odparłem, że nic mi o tym nie wiadomo. Czy mogły rozmawiać? Czy Sylwia wyznała Lenie, że ma zamiar donieść na nią policji? Czy właśnie to wyznanie kosztowało ją życie? To niemożliwe. Jestem na siebie wściekły, że choć przez sekundę w nią zwątpiłem.

– Gdzie znaleziono jej ciało? – przerywam rozmowę między policjantem a tłumaczem.

Nadal nie znam szczegółów ani okoliczności jej śmierci. Cała nasza rozmowa kręci się wokół mnie. Gdzie byłem, co robiłem, jak się poznaliśmy, jak nam się układało? Wciąż żądają potwierdzenia moich zeznań, bez przerwy pytają, czy ktoś może potwierdzić to, o czym mówię, zamiast pójść, zadzwonić do Petera i sprawdzić moje alibi. Czuję się jak etatowy łgarz, niewiarygodny, kłamliwy gracz. Dlaczego z samego założenia mi nie wierzą, dlaczego na wszystko żądają dowodów? Czy nie prościej byłoby przyjąć, że mówię prawdę, że chcę im pomóc, że mnie także zależy na wyjaśnieniu okoliczności śmierci mojej dziewczyny?

– Chcę wiedzieć, jakie były okoliczności jej śmierci? – ponaglam.

A może oni to wyczuli? Ten cały Jensen jest bardziej cwany, niż mi się wydaje, przyjmuje teatralny wyraz twarzy, a tak naprawdę pod czaszką mu paruje? Widzi we mnie kłamcę i dobrze wie, że o ile chcę dowiedzieć się, w jakich okolicznościach zginęła Sylwia, o tyle wcale nie chcę, żeby złapali jej zabójcę, bo go znam i kryję.

Poprawiam się na krześle i patrzę, jak policjant rozkłada mapę Kopenhagi i pochyla się nad nią. Jeśli dowiem się, w jaki sposób i gdzie zginęła, pomoże mi to dojść prawdy. Gdy tylko opuszczę komisariat, będę prowadził śledztwo na własną rękę.

– Przy drodze prowadzącej z Tingbjerg do centrum Kopenhagi – mówi tłumacz, a ja patrzę, jak funkcjonariusz uderza końcówką długopisu w mapę.

Nic mi ta nazwa nie mówi, nawet nie wiem, gdzie znajduje się ta część miasta i co mogłaby tam robić Sylwia. Nie przypominam sobie, aby choć raz wspomniała nazwę Tingbjerg. Co tam robiła? Miała przede mną jakieś tajemnice? A może tam mieszka Lena? Moje serce przyśpiesza.

– Przy drodze? – pytam. – Nie rozumiem, miała wypadek?

Policjant krzywi się, zapewne dla dobra śledztwa nie może odpowiedzieć na to pytanie, nie mogę zapominać, że dla nich jestem podejrzanym. Jej chłopakiem, facetem, który szarpał ją na korytarzu pełnym innych ludzi.

– Jaki ma pan samochód? – pyta. – Marka, model, kolor – wymienia.

– Nie mam samochodu – mówię. – Poruszam się metrem albo rowerem, a gdy zajdzie potrzeba, taksówką.

Znów coś zapisuje i podnosi na mnie zmęczony wzrok.

– A pani Widowska miała rower?

– Tak – odpowiadam, nie wiedząc, do czego zmierza. – Miejski, z koszykiem przy kierownicy.

Przez jego twarz przebiega grymas. Trudno mi odczytać, co się za nim kryje. Sięga po teczkę leżącą na brzegu biurka, zdejmuje z niej gumkę i zaczyna wertować jej zawartość. Czuję, że za chwilę wrzuci kolejną bombę do mojego życia. Co tam ma? Co chce mi pokazać? W końcu znajduje to, czego szukał, bierze do ręki zdjęcie, przesuwa je po biurku w moją stronę.

– Taki? – pyta, stukając pożółkłym paznokciem w fotografię.
Na zdjęciu widać zmasakrowany miejski rower.
– Nie – mówię. – To nie jej rower, ona ma czerwony.
Policjant marszczy czoło, najwidoczniej nie takiej odpowiedzi się spodziewał.

NIKODEM

12 października 2019
Kopenhaga

Policjant wychodzi, mówiąc, że jakbym sobie coś przypomniał, to bardzo prosi o kontakt. Obiecuję, że tak zrobię, ale prawda jest inna. Nawet jeśli coś przebije się do mojej pamięci z tamtego wieczoru, nie zamierzam już więcej z nim rozmawiać. Ktoś z moją przeszłością nie potrzebuje śledczych w swoim życiu. Matka zamyka za nim drzwi, wymienia uprzejmości z tłumaczem i gdy facet także opuszcza pokój, podchodzi do mnie.

– Nikoś – mówi, przysuwając w moją stronę krzesło, na którym siedział śledczy. – Musimy porozmawiać – rzuca, opadając ciężko na siedzenie.

– Mamo, proszę! – Nie mam siły na kolejne pytania i podejrzliwe spojrzenia. – Jestem zmęczony, chcę odpocząć.

Opieram głowę o poduszkę i zamykam oczy. Mam nadzieję, że da mi spokój, porzuci spekulacje na temat Leny i pozwoli mi się zdrzemnąć.

– Myślę, że ona to zrobiła – mówi.

– Słucham? – Otwieram oczy i spoglądam na nią z niedowierzaniem.

– Lena – mówi tak pewnie, jakby tam była i wszystko widziała. – Nie rób takiej miny – napomina mnie. – Wiem, że przyjechałeś do Kopenhagi z jej powodu i wiem, co widziałam. Lenę we własnej osobie na korytarzu szpitala, w którym walczyłeś o życie. – Teatralnie przykłada rękę do serca. – Ta podła hiena przyszła tu, bo chciała mieć pewność, że…

– Przestań – przerywam jej.

Wygaduje bzdury. To prawda, przyjechałem do Danii z powodu Leny, ale ona nie wiedziała, że tu jestem.

– Policjant powiedział – chwyta mnie za dłoń – że uderzył cię ktoś – zawiesza głos, zaciskając palce na mojej ręce. – Ktoś… dużo niższy od ciebie – dodaje, gdy nasze spojrzenia się spotykają. – Wskazuje na to miejsce uderzenia, wyższa osoba zadałaby cios inaczej. Rozumiesz, on sugeruje, że zrobiła to kobieta!

Patrzę na nią, nie wierząc w to, co słyszę. Mnie ani lekarz, ani policjant nie powiedzieli nic takiego. Nikt nie podzielił się ze mną szczegółami dotyczącymi napadu. Znów czuję się jak dawniej, gdy byłem pacjentem szpitala psychiatrycznego i gdzie wszystko, co mnie

dotyczyło, działo się poza mną. Nie wiem, czy matka zmyśla, czy rzeczywiście pan doktor albo policjant podzielili się z nią swoimi spostrzeżeniami. Znając wścibską naturę mojej matki, łatwo się domyślić, że w napadzie swojej podejrzliwości przyparła go do muru i wydusiła z niego wszystkie informacje.

– W tył głowy, z lewej strony za uchem – precyzuje, jakbym nie wiedział, gdzie czuję ból. – I ja wiem, że to była ona. Lena – dodaje. – Ta wariatka chciała cię zabić! Nie daruję jej tego, gorzko za to zapłaci!

EMIL

15 października 2019
Kopenhaga

– Możliwe, że ona żyje – mówię w przypływie nagłej i niespodziewanej nadziei. – Że martwa kobieta to nie Sylwia.

Moje nagłe pobudzenie udziela się tłumaczowi.

– Coś takiego – dodaje od siebie i przysuwa w swoją stronę zdjęcie przedstawiające rower, przyglądając mu się z takim zaciekawieniem, jakby naprawdę mógł na nim znaleźć potwierdzenie lub zaprzeczenie moich słów.

Najwyraźniej doszło do nieporozumienia. Wiedziałem, że to niemożliwe, aby ona nie żyła. Dlaczego ktoś chciałby ją zabić? I jak choć przez chwilę mogłem o ten haniebny czyn podejrzewać Lenę?, wyrzucam sobie w myślach. Najważniejsze, że to nie jest rower Sylwii. Najwidoczniej policjanci pomylili ją z inną kobietą.

– To nie jej rower – powtarzam. – Zupełnie inny kolor i model, wiem, jak on wygląda, wiele razy jeździliśmy na wspólne wycieczki. Doszło do pomyłki. – Wstaję. – Wiedziałem, mówiłem wam, że to nie ona.

Zalewa mnie uczucie ulgi. Jakby ogromny ciężar spadł mi z serca. Funkcjonariusz gestem dłoni każe mi usiąść. Posłusznie opadam na krzesło, wyobrażając sobie, jak Sylwia leży z książką w ręku na swojej ulubionej sofie w jej minimalistycznym mieszkaniu, zupełnie nieświadoma, że w komisariacie w centrum Kopenhagi uznana jest za martwą. Muszę do niej zadzwonić, porozmawiać z nią. Na dole, w dyżurce kazano mi zostawić telefon, ale skoro ona żyje, ja nie jestem uznany za winnego, więc mogę za chwilę stąd wyjść. I jak w ogóle mogli tak się pomylić? To niebywałe. Na jakiej podstawie sądzili, że martwą kobietą jest moja dziewczyna?

– Proszę zapytać, na jakiej podstawie policja uznała, że ciało należy do mojej dziewczyny? – pytam, odwracając głowę w stronę tłumacza.

Przecież musieli mieć jakieś dowody, przecież nie wyssaliby tego z palca. Facet posłusznie wykonuje swoją robotę i po chwili mówi:

– Miała przy sobie torebkę, z portfelem, dokumentami – wymienia.

– I to wszystko? – wyrzucam z siebie. – To niczego nie dowodzi!

Naprawdę byliby takimi kretynami? Przecież ktoś mógł jej ukraść torebkę albo mogła ją gdzieś zgubić? Wywołali burzę wokół jej osoby, ściągnęli mnie na komisariat, gdy mieli tylko marne poszlaki w postaci jej dowodu osobistego i portfela? Nie daruję im tego. Zrobili ze mnie mordercę na oczach całego personelu szpitala, podam ich do sądu, bezpodstawnie naruszyli moje dobre imię. Wylewam przed policjantem wszystkie żale, słucha moich skarg, a jego mina nie zdradza żadnych emocji. Dopiero gdy tłumacz kończy mówić, funkcjonariusz otwiera teczkę i wyjmuje kolejne zdjęcia. Wiem, co chce mi pokazać. Martwą kobietę. W myślach błagam, żeby to nie była ona, Sylwia. Jensen wyjmuje z teczki kopertę pełną zdjęć i wertuje jej zawartość. Jego pożółkłe palce przebiegają pośpiesznie po pliku fotografii, wybiera jedną z nich i przesuwa po blacie w moją stronę. Biorę do ręki zdjęcie i zamieram.

ANNA

14 października 2019
Kopenhaga

Jak w ogóle śmiała ze mną tak pogrywać?! Wybiegam z Espresso House, a wszystko się we mnie gotuje. Przebiegła smarkula, szantażystka, nie doceniłam jej.

Skręcam za rogiem i z całym impetem wpadam na matkę z dzieckiem. Niemalże taranuję niemowlę w wózku, bąkam pod nosem przeprosiny, kobieta puszcza w moją stronę wiązankę niecenzuralnych słów i bierze na ręce zanoszącą się od płaczu dziewczynkę. O co jej chodzi? Przecież nie zrobiłam tego specjalnie. Świat byłby o wiele lepszy, gdyby wkoło nie było tych wszystkich kobiet, które stają na drodze do mojego szczęścia. Wiem, że to niesprawiedliwe, to ja wpakowałam się na dziewczynę z wózkiem, a nie ona na mnie, ale w tej chwili mam ochotę użalić się sama nad sobą i naubliżać wszystkim, którzy przyczynili się do mojego kiepskiego samopoczucia. Zwłaszcza ta cała Lena, z pozoru szara myszka, dobroduszna i uczynna opiekunka starszej pani, a tak naprawdę bezwzględna suka.

Przebiegam przez ulicę i pędzę chodnikiem przed siebie. Nie mogę dopuścić, żeby wyjawiła komukolwiek nasze rozmowy. Jeśli nie kłamała i je nagrywała, to mogę mieć poważne problemy. Na samą myśl, jakie będą konsekwencje, gdy prawda o mnie ujrzy światło dzienne, zawartość żołądka podchodzi mi do gardła. Nie mogę sobie na to pozwolić, to sprawi, że moja kariera legnie w gruzach. Wystarczy, że kilka dni temu moje osobiste życie rozpadło się na drobne kawałki.

Ilekroć czytałam w gazetach artykuły o romansach, gdzie zastanawiano się, co było pierwsze: zdrada czy zanik uczucia między dotychczasowymi partnerami, uważałam, że to bzdurne dyskusje na poziomie tych z cyklu, co było pierwsze – kura czy jajko. Jednak gdy to mnie spotkało, zmieniłam zdanie. I nie chodzi o to, żeby odkryć, czy do zdrady pcha nas deficyt miłości, czy to właśnie romans wypłukuje uczucia z naszego obecnego związku, ale o świadomość, że to może się przydarzyć także mnie. Pięć dni temu rozstałam się z Andersem. Na samo wspomnienie naszej ostatniej kłótni ściska mnie w środku. Przez cały czas trwania naszego związku byłam doskonałą kochanką, kucharką, koleżanką. Po prostu klawą kobietą, bo właśnie takie laski kochają faceci. Bezproblemowe,

reagujące śmiechem na ich drobne przewinienia. Zaradne, pogodne, tryskające życiem i seksem wulkany energii. Nieczepiające się szczegółów, niezazdrosne, po prostu naiwne. I taka starałam się być, grałam przed nim osobę, której pragnął.

Ciążyła mi wielka tajemnica, bałam się dnia, kiedy będę musiała powiedzieć mu prawdę o mojej niepłodności.

Pewnej nocy przyśniła mi się katastrofalna wizja, Anders w poszukiwaniu głupich rachunków za prąd, szperając w moim sekretarzyku, znajduje korespondencję z kliniki leczenia niepłodności. W charakterystyczny dla siebie sposób marszczy czoło i wyjmuje kartkę z białej firmowej koperty. Przebiega wzrokiem tekst i dowiaduje się, że jego partnerka, co więcej, przyszła żona przez cały czas go okłamywała. Zbudziłam się z bijącym sercem, po cichu wstałam i całą korespondencję schowałam do torebki, by rano zamknąć ją w sejfie w instytucie. Oczywiście zdawałam sobie sprawę, że nie mogę ukrywać przed nim tego istotnego faktu w nieskończoność, ale w głębi duszy sądziłam, że z czasem nie będzie miało to dla niego wielkiego znaczenia. Najważniejsze, że kochaliśmy się i byłam pewna, że moja bezpłodność nie zaważy na naszym związku, co najwyżej lekko nim zachwieje.

Anders jest dobrym, wyrozumiałym i współczującym człowiekiem, gdy w końcu wyznam mu prawdę, pocieszy mnie i zacznie szukać fachowych rozwiązań naszego problemu. Brałam pod uwagę także inną ewentualność, dużo prostszą i przystępniejszą. Po prostu nie weźmie sobie tego w ogóle do serca, bo przede wszystkim ceni swobodę, a wiadomo, małe dziecko na pewien czas przykuwa dorosłych do stałego miejsca zamieszkania. A jego praca to ciągłe podróże. Jednak żadna z wizji, które przez dwa lata naszego związku powstawały w mojej głowie, nie spełniła się. Nasze relacje zburzył prosty schemat, który rozbija wiele małżeństw i par każdego dnia na całym świecie. Znalazł sobie młodszą. Jakie to trywialne i jakie prawdziwe. Wymienił mnie na seksowną modelkę, która mogłaby być jego córką.

Z zemsty, smutku i desperacji przespałam się z tym Polakiem, Nikodemem, przystojnym, choć dziwacznym gościem. Musiałam ocalić chociaż część swojego życia, zdobyć przyczółek, na którym mogłabym przetrwać niespodziewaną samotność. Założyć maskę zaradnej pracoholiczki, poważanej pani dyrektor, ukryć przed światem osobistą porażkę. Nie mogłam dać się pokonać na wszystkich frontach. A przede wszystkim musiałam chronić siebie i mieć całą sytuację pod kontrolą. I chciałam się zemścić. Odpłacić Andersowi pięknym za nadobne. Myślałam, że ten akt nielojalności, wspólna noc z nieznajomym facetem poprawi mi humor, ale wcale się tak nie stało.

Przebiegam przez ulicę i wpadam do stacji metra. Chcę wrócić do domu, zwinąć w bezpieczny kokon w swoim łóżku i po prostu się rozpłakać. Przed samą sobą mogę być słaba i bezradna. Jednak w połowie drogi zdaję sobie sprawę, że to zła strategia. Powinnam działać, nie mogę pozwolić tej smarkuli wygrać. Poza tym samochód zaparkowałam pod

instytutem, obawiając się, że przy Królewskim Nowym Targu nie znajdę wolnego miejsca. Wysiadam na najbliższej stacji i ruszam w drogę powrotną. Popołudniowa fala powracających z pracy kopenhażan wlewa się do metra, działając mi na nerwy. Muszę zebrać myśli, zastanowić się, co dalej. Wychodzę na ulicę i drogę do Instytutu Polskiego pokonuję pieszo.

– Dzień dobry, pani dyrektor! – krzyczy recepcjonistka, gdy wchodzę do budynku.

– Dzień dobry – rzucam, biegnąc w stronę swojego gabinetu.

– Pani dyrektor. – Pani Basia próbuje przykuć moją uwagę. Oglądam się w jej stronę. – Ma pani gościa – mówi, uśmiechając się. – Czeka na panią przed gabinetem.

– Kto to? – Zatrzymuję się w pół kroku.

– Nie pamiętam nazwiska. Jakaś kobieta, koniecznie chciała z panią rozmawiać, mówi, że to pilna i ważna sprawa.

Niepokój przybiera na sile. Na nikogo nie czekam, z nikim się nie umawiałam, jakimś szóstym zmysłem wiem, że ta kobieta przyszła tu z powodu Leny. Kimkolwiek jest, jej wizyta w instytucie zwiastuje kolejne problemy. Ruszam biegiem do gabinetu.

NIKODEM

14 października 2019
Kopenhaga

– Mamo, musisz dać temu spokój!

– Nie mogę. – Ukrywa twarz w dłoniach. – Nie mogę, Nikoś, pozwolić, aby ona znów zniszczyła ci życie.

Patrzę, jak pierścionki z wielkimi kamieniami połyskują na jej palcach w świetle lampy. Pamiętam je od dzieciństwa, zawsze kojarzyły mi się z ogromnymi, apetycznymi, kolorowymi landrynkami.

– Po co ci to znów? Nie widzisz, że przez nią masz same kłopoty?

Nie odpowiadam, odwracam twarz w stronę okna. Matka wynajęła apartament niedaleko szpitala, stwierdziła, że po wypisaniu z oddziału powinienem kilka dni odpocząć przed podróżą do Polski. Chwilę po wizycie policji w moim pokoju przyszedł lekarz, który uznał, że mogę wrócić do domu. Matka niemal nie odstępuje mnie na krok, jakby się bała, że gdy tylko spuści mnie z oczu, znów jej ucieknę. Czuję się jak złapany w sidła zwierz. Nie chcę z nią wracać do Polski, nie, gdy jeszcze nie odnalazłem Leny. Matka jest tak bardzo negatywnie do niej nastawiona, że żadne moje argumenty nie przemawiają. Uważa, że Lena znalazła się w szpitalu, bo chciała zrobić mi krzywdę. I że to ona stoi za moim pobiciem.

– Ta dziewczyna to wcielone zło! – krzyczała wczoraj wieczorem, gdy próbowałem przekonać ją, że wizyta Leny w szpitalu musiała być przypadkowa i niemożliwe, aby miała związek ze mną. – No proszę cię. – Spojrzała na mnie, marszcząc czoło. – Każesz mi wierzyć w przypadek? Najpierw uciekła z dnia na dzień, a potem spotykam ją w Kopenhadze, w szpitalu, w którym walczysz o życie…

– Nie przesadzaj – przerwałem jej.

– Byłeś nieprzytomny! – krzyknęła. – Jak tu jechałam, nie wiedziałam, czy jeszcze zobaczę cię żywego. Ona chciała cię zabić, nie zapominaj o tym!

Nie było sensu dłużej prowadzić tej rozmowy, moja matka już wydała wyrok. Zawsze wszystko wiedziała najlepiej, nie mogło być inaczej i tym razem. Jeśli rzeczywiście Lena była w szpitalu, co tam robiła? Czy to zwykły przypadek, a może pracuje tam, odwiedzała

kogoś znajomego? I te matki spekulacje, że na pewno uderzyła mnie kobieta. Oczywiście nie daje mi to spokoju. Myślałem o tym przez całą noc. Czy rzeczywiście mogła zrobić to Lena? Dziewczyna, która stała się moją obsesją, o której nie mogę od kilku miesięcy zapomnieć? Ale przecież ona nie wiedziała, że jestem w Danii. Czy miał miejsce zbieg okoliczności? Zobaczyła mnie w Kopenhadze, śledziła, a potem zaczaiła się na klatce schodowej kamienicy, w której się zatrzymałem? A może zdradziła mnie Anna? Lena usłyszała jej rozmowę ze starszą panią, kiedy wyjaśniała, że niejaki Nikodem Nowicki pragnie się z nią zobaczyć. Dodała dwa do dwóch i postanowiła działać, nie dopuścić do spotkania, które może ją zbyt wiele kosztować? Czy byłaby w stanie mnie uderzyć? Oczywiście. Przecież była w stanie zabić człowieka.

– Nikodem!

Głośny krzyk matki wyrywa mnie z rozmyślań.

– Znów mnie nie słuchasz! O czym myślisz? O niej?

– Nie – kłamię.

– No więc jak?

– Co jak?

– Och. – Marszczy czoło. – Czy sądzisz, że mają tu jakąś ewidencję ludności polskiej? Czy ona może być gdzieś zameldowana w Kopenhadze?

– Nie wiem. – Wzruszam ramionami.

Może nawet dobrze, niech się tym zajmie. Nie znajdzie Leny, bo nie zna jej prawdziwego nazwiska, tylko ja je znam.

– Zadzwonię do Krysi – mówi, sięgając po torebkę wiszącą na oparciu krzesła. – Ona przecież pracuje w urzędzie stanu cywilnego, będzie lepiej zorientowana – dodaje, pochylając się i grzebiąc w środku skórzanego kuferka. – Podpowie mi, co mogę zrobić, dokąd pójść, z kim porozmawiać, przecież tutaj mogą być takie same procedury jak w Polsce. Istnieje chyba jakaś instytucja, która skupia Polaków, prawda? Może tam powinnam się udać i spróbować dowiedzieć czegoś o Lenie?

Miałbym ochotę zapytać, do czego potrzebna jest jej ta wiedza. Jeśli nawet odnalazłaby Lenę, co jej powie? Jej wysiłek jest zupełnie zbyteczny, Lena nie chce być ze mną, nie musi przeganiać jej z mojego życia, bo jej w nim nie ma. I to jest mój największy problem. Zechce wymierzyć jej karę za rzekome pobicie mnie? Postawić przed funkcjonariuszami policji? Nic nie zdziała, bo nie zna jej prawdziwej tożsamości. Mogę być spokojny.

Matka odnajduje telefon w torebce i wychodzi do drugiego pokoju porozmawiać z koleżanką. Wstaję z sofy i idę pod prysznic. Pojadę do Anny, do Instytutu Polskiego, muszę odebrać swoje rzeczy z jej mieszkania.

EMIL

15 października 2019
Kopenhaga

Widziałem w życiu wiele zgonów, ale ten obraz przyprawia mnie o nagły ucisk gdzieś w środku. Nie jestem nadwrażliwy, częściej niż inni widuję zwłoki, mimo to nie przywykłem do obrazów martwych ludzi, do tego nie da się przyzwyczaić. Jednak nigdy wcześniej widok martwej twarzy nie budził takich emocji jak w tej chwili. Mam łzy w oczach, obraz rozmazuje się, ale nie czuję wstydu, że oni na mnie patrzą. Jensen i tłumacz. Odkładam fotografię na stół i ukrywam twarz w dłoniach.

– Potrzebuje pan chwili przerwy? – pyta tłumacz.

Kiwam głową, podnoszę wzrok na policjanta i po raz pierwszy, odkąd trzyma mnie w tej dusznej sali przesłuchań, widzę skruchę na jego twarzy. Czyżby żałował, że nie uprzedził mnie, jak krwawa jest ta fotografia? Czy sądził, że skoro jestem lekarzem, takie widoki nie są mi obce?

– Zróbmy sobie pół godziny przerwy – mówi Jensen po angielsku.

Składa rozrzucone po biurku dokumenty do teczki, odsuwa ją na skraj biurka i wstaje.

– Czy chce się pan czegoś napić? – pyta tłumacz, który także wstaje od stołu. – Wody? – dodaje, wskazując głową na dystrybutor stojący w rogu pokoju.

– Nie.

– Zostanie tu pan? Czy chce się pan przewietrzyć?

– Muszę do toalety – mówię.

Tłumacz wymienia po duńsku kilka słów z policjantem.

– Jest na końcu korytarza – wyjaśnia, ruszając ze mną w stronę drzwi. – O, tam – dodaje, otwierając je na oścież. Wychyla się i wskazuje ręką na lewo. Gdy mijam go w drzwiach, posyła mi współczujące spojrzenie. – Myślę, że pan wygrał – dorzuca niespodziewanie.

– Słucham?

Nie wiem, do czego zmierza.

– Autentyczna rozpacz na pana twarzy, policjant nie ma już wobec pana żadnych podejrzeń, jestem tego pewien.

Nie wiem, czy sobie ze mnie kpi, czy chce mnie pocieszyć, ale w tym momencie jest mi to obojętne. Wzruszam ramionami i wychodzę na korytarz. Jestem zdruzgotany, nie sądziłem, że jej śmierć wywoła we mnie tak ogromne emocje.

LENA

14 października 2019
Kopenhaga

Wpisuję kod do bramy i pcham drzwi, omal nie uderzając w twarz pana Sørena.

– Przepraszam – rzucam.

– Dzień dobry, Leno.

– Dzień dobry.

– Jak z Sarą? – pyta z zatroskaną miną.

– Wszystko dobrze, dziś zabieram ją do domu – mówię.

– Wspaniale. – Uśmiech pojawia się na jego twarzy. – Odwiedzę was wieczorem, dobrze?

– Oczywiście, pani Sara się ucieszy. – Przywołuję windę.

– A. – Odwraca się w drzwiach. – Rozmawiałem z tym nowym sąsiadem – zaczyna. – Wiesz, tym obcokrajowcem, co mieszka pod wami. Wspominałem ci o nim.

– Tak, pamiętam. – Oglądam się, zawieszając głos.

Mimowolnie niepokój zakotwicza w dole mojego brzucha. Czy ten nowy lokator ma coś wspólnego ze mną? Czy jest częścią przeszłości, przed którą próbuję uciekać?

– To Chorwat.

– Chorwat? – powtarzam.

– Tak, jest fotografem – wyjaśnia. – Prawdziwy pasjonat, podróżuje po świecie, zdjęcia to jego całe życie. – Uśmiecha się. – Raz jest, raz go nie ma, taki wolny duch, ale bardzo sympatyczny, bardzo – dodaje. – Zorganizuję wieczorek zapoznawczy, jak już wszyscy będziemy w pełnym składzie. – Macha ręką na pożegnanie i wychodzi z kamienicy.

Trzaskają drzwi, a winda zatrzymuje się przede mną. Oddycham z ulgą i wchodzę do środka. Fotograf, facet, który robi to, co byłoby spełnieniem moich marzeń. Mimo że go nie znam, już go lubię. Całe szczęście, że to nikt, kto mnie zna, przed kim powinnam uciekać. Tego już bym nie zniosła. To za wiele. Opieram się o zimne lustro. Ostatnie dni wykończyły mnie psychicznie. Anna zaczęła nierówną grę, a ja musiałam przystać na jej zasady.

Kiedy tamtego dnia powiedziała, że Nikodem mnie szuka, myślałam, że to już mój koniec. Mimo że nie wiem, co go łączy z ludźmi, którzy wydali na mnie wyrok, nie mogłam wpaść w jego ręce.

– Co mam zrobić w zamian? – zapytałam.

– Chodzi o panią Sarę.

– Panią Sarę? – Popatrzyłam na nią zdziwiona.

Naprawdę nie rozumiałam, do czego zmierza. Dlaczego ta biedna staruszka miała być kartą przetargową między mną, Nikodemem i panią dyrektor?

– Tak. – Odchrząknęła. – A dokładnie pamiętniki.

– Nie chce pani wydać książki, która ma powstać na podstawie dzienników jej matki? – zapytałam.

Wiedziałam, jak bardzo pani Sarze zależy na tej książce i odmowa ze strony pani dyrektor byłaby dla niej ogromnym ciosem, tym bardziej że obiecała jej publikację. Jednak jej odpowiedź przerosła moje oczekiwania.

– Nie chodzi o to, że nie chcę wydać książki, to nie problem, wydam ją z przyjemnością, ale nie mogą pojawić się w niej pewne informacje.

– Nie rozumiem – powiedziałam.

– Pamiętniki jej matki, nad którymi teraz pracuje, muszą trafić do mnie.

– Słucham? – Spojrzałam na nią oburzona. To było niedorzeczne, były własnością pani Sary, bezużyteczną dla tej kobiety. – Są napisane w jidysz, zupełnie niezrozumiałe dla mnie i dla pani.

– Właśnie. – Pokiwała głową. – Rozmawiałam z panią Sarą po moim wykładzie w Instytucie Polskim i powiedziała, że już zaczęła czytać ostatni brulion.

– Tak – potwierdzam. – Mnie też o tym mówiła, potrzebuje jeszcze dwóch, trzech miesięcy, żeby przeczytać całość i przełożyć na polski.

– No właśnie i w tym jest problem – powiedziała, krzyżując ręce na piersi.

Patrzyłam na nią, nie rozumiejąc, dlaczego widzi w tym problem. Kompletnie nie nadążałam za tokiem jej myślenia.

– Zacznijmy od tego. – Wyciągnęła przed siebie dłonie, zaplatając je w odwrócony koszyczek.

Usłyszałam, jak strzelają w nich kostki. Wyobraziłam sobie pękające pęcherzyki azotu w jej stawach i po plecach przeszedł mi nieprzyjemny dreszcz.

– Co o mnie wiesz? – zapytała, chwytając mój wzrok.

– To znaczy?

– Powiedz mi, co o mnie wiesz, co powiedziała ci pani Sara, czego sama się dowiedziałaś?

Gdyby nie piastowane przez nią wysokie stanowisko, pomyślałabym, że to jakaś obłąkana osoba, która zaczepiła mnie w parku, wybierając przypadkowo z tłumu spacerowi-

czów. Mania wielkości? Chciała pławić się w komplementach, które zamierzała usłyszeć na swój temat?

– No, śmiało – zachęciła mnie.

– Że jest pani dyrektorką Instytutu Polskiego w Kopenhadze, pracuje pani tutaj od kilku lat i pani Sara mówi, że nikt nigdy wcześniej nie zrobił tyle dla Polonii w Danii, ile pani.

– A wiesz, jak to się stało, że zostałam dyrektorką?

– Nie wiem. – Wzruszyłam ramionami.

– A jak myślisz?

– Wygrała pani konkurs? – rzuciłam.

Uśmiechnęła się.

– Wiesz, czyjego imienia jest nasz instytut?

– Nie – odpowiedziałam i wcale mnie to nie obchodziło, poza tym, co to miało wspólnego ze mną, Nikodemem i panią Sarą?

– Generała Grabowskiego – powiedziała dumnie.

Przypomniałam sobie złote litery wyryte nad wejściem do budynku, na które zwróciłam uwagę podczas swojej ostatniej wizyty w instytucie. Rzeczywiście składały się na imię i nazwisko wspomnianego przez nią generała, o którym nigdy wcześniej nie słyszałam.

– To mój dziadek, zasłużona postać, urodził się w Danii – wyznała dumnie. – Dorastał na Lollandzie, ta duńska wyspa była największym skupiskiem pierwszej duńskiej Polonii. To tutaj przyjeżdżali Polacy pod koniec dziewiętnastego wieku w celach zarobkowych. Jego matka pracowała przy uprawie buraków cukrowych, a ojciec był szewcem – wyjaśniła, machając rytmicznie lewą nogą założoną na prawe kolano. Tym razem pęcherzyki azotu pękały w jej kostkach, wywołując ciarki na moich plecach. – W latach trzydziestych dziadek wyjechał do Polski, skończył Szkołę Podoficerów w Bydgoszczy, został dowódcą dywizji, walczył w armii Andersa, a po wojnie wrócił do Danii i zamieszkał w Kopenhadze.

Nie rozumiałam, po co mi o tym wszystkim opowiada. Chciała się pochwalić zasługami dziadka? Odwróciłam głowę, skupiając wzrok na wróblu, który wylądował nieopodal kępki suchych liści pod naszą ławką.

– To on przyczynił się do utworzenia Instytutu Polskiego – wyjaśniła. – Kto inny więc miał zostać dyrektorką tego instytutu, jeśli nie wnuczka jego twórcy?

A więc to wszystko wyjaśnia. Tylko co w tym dziwnego? Dlaczego mi o tym mówi?

– Ale ja zasługuję na to stanowisko i naprawdę jestem osobą, która dba o promocję Polski i wsparcie dla Polaków w Danii – zapewniła mnie, jakbym uważała, że jest niekompetentna w tym, co robi. – Nie jestem marionetką, ale aktywną, zaangażowaną dla dobra naszej wspólnoty osobą – podkreśliła i zaczęła szurać butami po ziemi, przesuwając kolorowe liście. Wróbel wzbił się do lotu i wylądował na gałęzi pobliskiego drzewa.

– Ale nie rozumiem, co to ma wspólnego ze mną? – zapytałam.

– Z tobą?! – prychnęła. – Z tobą nic.

Odwróciła się w moją stronę.

– Po prostu potrzebujemy siebie nawzajem. Ty nie chcesz, aby Nikodem wpadł na twój trop, a ja muszę dostać te dzienniki. Ja pomogę tobie, a ty mnie. Przysługa za przysługę, nie uważasz, że to ma sens?

– Ale po co pani te dzienniki? Nie rozumiem.

Co ona ma do ukrycia? Każdy z nas ma dwa oblicza, jak księżyc, jasną i ciemną stronę, ja nie chcę dopuścić, aby moja ciemna strona ujrzała światło dzienne i najwidoczniej ona także nie może sobie na to pozwolić. Cisza między nami zaczęła się niebezpiecznie przedłużać, widziałam, że waży w myślach słowa, nagle poderwała się z ławki.

– Nie muszę ci się tłumaczyć – żachnęła się. – Po prostu zabierz od pani Sary ten cholerny dziennik i mi go daj – powiedziała, patrząc na mnie z góry. – Tylko tyle! A ja zajmę się Nikodemem.

– Nie mogę. Te dzienniki są bardzo ważne dla pani Sary, jeśli je straci…

– Nie masz wyjścia – przerwała mi. – Albo to zrobisz, i to jak najszybciej, albo Nikodem pozna twój adres. Nie wiem, dlaczego się przed nim ukrywasz i szczerze – wykrzywiła z niesmakiem usta – nawet mnie to nie obchodzi. Ale jeśli nie chcesz, abym powiedziała mu, gdzie mieszkasz…

– Nie zrobi pani tego – zaprotestowałam, wstając.

– Ależ jak najbardziej. Chyba że ty zrobisz to, o co cię właśnie poprosiłam – powiedziała. – Zadzwoń do mnie – dodała, wręczając mi swoją wizytówkę. – Zadzwoń do mnie, gdy już je zabierzesz. I nie zwlekaj, jeśli nie chcesz wpaść w jego ręce.

– Ale ja nie mogę… – tłumaczyłam się.

– Nie masz wyjścia! Puść mi sygnał, chcę mieć z tobą kontakt.

Posłusznie wyjęłam telefon z kieszeni i zadzwoniłam na widniejący na wizytówce numer. Usłyszałam dźwięk wydobywający się z jej torebki.

– Dziękuję – rzuciła. – A więc idę zająć się Nikodemem, a ty wiesz, co masz zrobić. – Odwróciła się i ruszyła w stronę wyjścia z parku.

Spojrzałam za nią, na jej szczupłą sylwetkę, energiczny krok i poczułam się kompletnie niedorzecznie. Czy to się dzieje naprawdę? Pani dyrektor właśnie poleciła mi ukraść dzienniki starszej pani? Dlaczego? Nagle na końcu alejki odwróciła się.

– Jeśli nie zadzwonisz do dwóch dni, podam mu twój adres! – krzyknęła jeszcze i zniknęła mi z oczu.

Winda szarpnięciem wyrywa mnie ze wspomnień. Odklejam się od zimnego lustra i wychodzę na korytarz. Powoli przekręcam klucz w drzwiach, Tiszri czeka na mnie w progu. Wystawia pyszczek przez szparę w drzwiach, kucam i biorę go na ręce. Tęskni za swoją panią, widać, że brak mu staruszki. Jak dobrze, że tamtego dnia, gdy panią Sarę

zabrało pogotowie, natrafił na pana Sørena. Gdyby się zgubił, staruszka bardzo by się o niego martwiła, a to niewskazane w jej stanie. Zamykam drzwi na klucz i nawet nie zdejmując butów, idę do pokoju pani Sary. Muszę wziąć dla niej jakieś ubrania, tamte, w których pojechała do szpitala, wczoraj dała mi do uprania.

Mam ogromne wyrzuty sumienia, że pani Sara trafiła do szpitala, bo stało się to przeze mnie. To ja stoję za nagłym pogorszeniem jej stanu zdrowia, bo to ja upozorowałam włamanie. Musiałam to zrobić, bo w jaki inny sposób dzienniki miały zniknąć z domu?

Gdy staruszka siedziała na fotelu u fryzjera, wymknęłam się z zakładu, mówiąc, że pójdę kupić świeże pieczywo, a tak naprawdę pobiegłam do domu. Zabrałam jej kuferek z pamiętnikami. Wrzuciłam go do śmietnika na ulicy, a pamiętniki ukryłam w swoim pokoju na górze. Wiedziałam, że tam pani Sara nie dostanie się na wózku. Miałam zbyt mało czasu, żeby ukryć dziennik w innym miejscu, wizyta u fryzjera trwała tylko godzinę. A potem wychodząc, celowo zostawiłam otwarte drzwi do mieszkania, aby wszystko wskazywało, że ktoś się włamał, i wróciłam po panią Sarę do zakładu. Podejrzewałam, że zechce zawiadomić policję, ale przecież nie będą przeszukiwać mojego pokoju, żeby znaleźć dzienniki. A nawet gdyby do tego doszło, zawsze mogłam wykręcić się tym, że ja je tu przyniosłam, że pani Sara na swoje szczęście nie odłożyła ich do kufra, albo ja przeglądałam je wieczorem przed snem. Nikt przecież nawet nie spodziewałby się, że to pamiętniki były głównym celem rabunku.

Jednak nie przewidziałam, że pani Sara tak bardzo przeżyje widok otwartych drzwi do jej mieszkania, że aż trafi do szpitala. A potem odkryłam coś jeszcze.

ANNA

14 października 2019
Kopenhaga

Niemal biegnę korytarzem w stronę gabinetu, zastanawiając się, jaka kobieta mogła złożyć mi niezapowiedzianą wizytę. Lena została w Espresso House, ktoś zupełnie obcy? Wychodzę zza rogu i od razu ją zauważam. Stoi przy oknie, na końcu korytarza i patrzy przed siebie. Nie znam jej. Nie wiem, kim jest. Nigdy wcześniej jej nie widziałam. Stukot moich butów przyciąga jej uwagę, odwraca głowę i spogląda na mnie.

– Dzień dobry – mówię, zbliżając się do niej. – Podobno chciała się pani ze mną zobaczyć.

– Tak – potwierdza. – Moje nazwisko nic pani nie powie, nie znamy się, ale potrzebuję pani pomocy.

Posyłam jej pytające spojrzenie. Kim jest i po co tu przyszła?

– Sylwia Widowska – dodaje, wyciągając rękę w moją stronę.

Rzeczywiście pierwszy raz słyszę to nazwisko, mocno ściskam jej dłoń. Ta wizyta musi dotyczyć zupełnie innych kwestii, to na pewno nic prywatnego, mogę być spokojna. Wkładam klucz do zamka i otwieram drzwi do swojego gabinetu.

– Proszę – mówię, puszczając ją przodem.

Jest zdenerwowana, od razu to dostrzegam. Nerwowo skubie frędzle przy swoim szalu, czuje się niekomfortowo, najwyraźniej chciałaby już mieć tę rozmowę za sobą.

– Niech pani usiądzie.

Wskazuję fotel naprzeciwko swojego biurka, zdejmuję płaszcz, biorę od niej przeciwdeszczową kurtkę i wieszam ubrania w rogu pokoju. Mogłabym zaproponować jej kawę, ale czuję jeszcze w ustach smak cappuccino i porażki, jakiej doznałam; nie mam ochoty dzisiaj bawić się w grzeczności.

– W czym mogę pomóc? – pytam, siadając na obrotowym fotelu.

– Pani dyrektor – zaczyna. – Przychodzę do pani w nietypowej sprawie, proszę mnie źle nie zrozumieć, ale zyskała pani moje zaufanie, byłam na pani ostatnim wykładzie i pomyślałam, że kto jak kto, ale pani będzie wiedziała, jak ugryźć temat.

– Dziękuję – uśmiecham się. – Miło mi, że przychodzi pani na prelekcje do naszego instytutu, ale czego konkretnie dotyczy pomoc?

– Trzeba nagłośnić pewną sprawę. – Pochyla głowę i grzebie w torebce.

Zapewne chodzi o jakąś akcję charytatywną, zbiórkę pieniędzy albo pomoc w dokarmianiu zwierząt.

– Sprawa dotyczy kobiety, która dokonała morderstwa i obecnie ukrywa się w Kopenhadze – mówi, wyjmując z torebki kopertę.

Jestem zaskoczona.

– Sprawa morderstwa, cóż za historia! Ale nie do mnie powinna się pani z tym udać, tylko na policję – zauważam.

– Tak, wiem – przyznaje mi rację. – Zrobię to, właśnie po to do pani przyszłam, chciałam panią prosić, aby poszła pani na policję razem ze mną i dodatkowo powiadomiła odpowiednie media. Trzeba tę sprawę nagłośnić. Tutaj wszyscy panią znają, szanują, dużo łatwiej będzie pani przebić się do dziennikarzy niż mnie. Ta kobieta jest winna morderstwa znad Bugu, sprzed roku – mówi, wyjmując z koperty plik spiętych kartek. – Nazywa się Lena Romanowska, proszę zobaczyć. – Podaje mi wydruki.

Zamieram. Dosłownie brak mi tchu. Analizuję słowa, które właśnie usłyszałam, ale nie potrafię ich właściwie zinterpretować. Lena Romanowska. Nie może chodzić o inną osobę, to byłby zbyt duży zbieg okoliczności. A więc moja szantażystka kogoś zamordowała? Dlatego ukrywa się w Kopenhadze? Wszystko nagle staje się jasne. Nikodem o tym wie, chciał ją odnaleźć, postawić przed wymiarem sprawiedliwości, a może szantażować albo wręcz przeciwnie, chronić? Staram się ukryć szok, jaki wywołały we mnie jej słowa. Pochylam głowę i wertuję wręczone mi kartki. Zabiła człowieka. Naprawdę jej nie doceniłam.

Kiedy tamtej pierwszej nocy wysłałam Nikodema po wino, zrobiłam to celowo, chciałam przejrzeć jego rzeczy osobiste i dowiedzieć się, dlaczego szuka pani Sary. Intuicja podpowiadała mi, że nie był ze mną do końca szczery. Zaginiona babcia – to brzmiało naiwnie. Bałam się, że może być jakimś dziennikarzem z Polski, który dowiedział się o nieprzetłumaczonych dziennikach z czasów wojny i wyczuł chęć wylansowania się na chwytliwej sprawie. Ale gdy w jego saszetce znalazłam fotografie Leny i najnowszy numer naszego polonijnego kwartalnika ze zdjęciem Leny z panią Sarą, od razu wiedziałam, że celem jego podróży jest dziewczyna, a nie staruszka. A potem, gdy zaczęłam drążyć temat pani Sary, zorientowałam się, że wymyślił tę rodzinną historię na poczekaniu. Nie miałam wątpliwości, chodziło mu o Lenę.

Odetchnęłam z ulgą, mogłam być spokojna, ba, nawet lepiej, mogłam wykorzystać to do swoich potrzeb. Od początku czułam, że Lena coś ukrywa, ta jej praca na czarno u pani Sary, robota poniżej możliwości. Od chwili, gdy poznałam ją w instytucie, podejrzewałam, że ta historia ma drugie dno, a intuicja nigdy mnie nie myli. Nie wiedziałam tylko, o co

w tym wszystkim chodzi, a potem pojawił się Nikodem. Dlaczego jej szukał? Czy coś mu zrobiła, uciekła sprzed ołtarza, była mu winna kasę? Wszystko jedno, dla mnie liczyło się to, że mogę wykorzystać ten fakt dla swoich celów.

Potrzebowałam posłużyć się nią, najważniejsze było, aby pamiętniki zniknęły z domu pani Sary. Nie mogłam zrobić tego osobiście, staruszka od razu zorientowałaby się, że zaginęły po mojej wizycie, nie mogłam też wynająć nikogo obcego, nie chciałam ryzykować, że ktoś mnie zdradzi i zacznie szantażować. A wiadomo, każdy szantażysta wraca po więcej, dlatego postanowiłam sama zostać szantażystką. To ja miałam rozdawać karty w grze, a nie ona.

Gdy tamtego dnia powiedziałam Lenie, że Nikodem jej szuka, zobaczyłam przerażenie w jej oczach, a więc strzał w dziesiątkę, mam ją. Ze strachu zrobi to, co jej każę. Trzeba tylko dobrze nią pokierować i po sprawie. A teraz ta kobieta odkrywa przede mną pozostałe elementy układanki. Istotny, a wręcz najważniejszy puzzel. Wszystko nagle staje się jasne. Lena ukrywa się, bo zamordowała człowieka.

– Tylko to udało mi się wyszukać w internecie – mówi kobieta. – Być może w prasie polskiej było coś więcej na ten temat, ale mam nadzieję, że nie potrzebujemy dodatkowych dowodów i to wystarczy, by wymierzyć jej sprawiedliwość – podkreśla.

W artykułach, które trzymam w rękach, mowa o ciele wyłowionym z Bugu w marcu 2019 roku. W jednej z relacji, jakimś zapisie informacji z lokalnego radia, jest napisane: „Wiadomość z ostatniej chwili, zwłoki wyłowionego z Bugu mężczyzny zostały zidentyfikowane przez rodzinę. Ciało należy do dwudziestoczteroletniego Huberta K. zamieszkałego w Lublinie, którego zaginięcie rodzina zgłosiła pod koniec października ubiegłego roku. W tym momencie prowadzona jest szczegółowa sekcja zwłok, która ostatecznie potwierdzi, czy do śmierci mężczyzny doszło kilka miesięcy temu i ciało przez ten czas przebywało w rzece, czy jednak mężczyzna był gdzieś przetrzymywany i do zgonu doszło przed kilkoma dniami lub godzinami od wypłynięcia zwłok. Analiza patomorfologiczna wykaże, czy śmierć nastąpiła w wyniku utonięcia, czy przyczyniły się do niej osoby trzecie. Wszyscy, którzy w jakikolwiek sposób mogliby pomóc w wyjaśnieniu sprawy, proszeni są o kontakt z lokalną policją lub pod numer telefonu 112".

Ponownie wertuję poszczególne kartki, ale nie ma w nich nawet słowa o Lenie Romanowskiej.

– Pani dyrektor, czy mogłaby pani pójść ze mną na policję? – pyta. Już zaczyna się niecierpliwić. – Chcę trafić od razu do odpowiednich ludzi, którzy fachowo się tym zajmą, dorwą dziewczynę i wymierzą jej zasłużoną karę. Pani na pewno będzie wiedziała, do kogo się zgłosić, a ja będę odbijać się od drzwi do drzwi, nigdy nie miałam do czynienia z kopenhaską policją, nie wiem, jak to tu działa. Tak po prawdzie, w ogóle nie miałam styczności z policją, nawet w Polsce – mówi jak nakręcona. – Wyobraża sobie pani, że ta kobieta bezkarnie chodzi po ulicach naszego miasta? Nie możemy tak tego zostawić.

Jedyne, czego nie możemy, to iść z tym na policję. To wykluczone. Jeśli dorwą Lenę, ona w czasie przesłuchań powie im o mnie, nagraniach. Jeżeli nie kłamała i rzeczywiście je robiła, ma na to dowody, jestem skończona. Nasze rozmowy nie mogą ujrzeć światła dziennego, nikt nie może się dowiedzieć, czego od niej żądałam. Podnoszę wzrok na kobietę i mówię:

– Ale tutaj nie ma wzmianki o Lenie Romanowskiej, skąd więc pani…

– Wiem, że to ona – przerywa mi. – Mam te informacje od człowieka, który ją zna… – Zawiesza głos. – Znał w Polsce, on mi o tym powiedział, o morderstwie tego człowieka, ale oczywiście nie chce iść z tym na policję, chce ukrywać tę morderczynię, ale ja tak tego nie zostawię. – Uderza dłonią w blat mojego biurka. – Przepraszam, ale jestem okropnie zdenerwowana. Musi mi pani pomóc, jako przedstawicielka tak prestiżowej instytucji na pewno ma pani znajomości w policji.

– Skąd pani wie, że pani Romanowska przebywa w Kopenhadze? – pytam.

– Widziałam ją w szpitalu – mówi.

– W szpitalu? – Marszczę czoło.

Nic mi nie wiadomo, aby Lena leżała w szpitalu, ale może udała się tam z powodu Nikodema.

– Tak, Rigshospitalet. Pracuję tam, jestem pielęgniarką – wyjaśnia kobieta.

To szpital, do którego zabrano Nikodema, czy ta mała zołza była tam właśnie z jego powodu? Co ona kombinuje?

– Rozmawiała pani z nią?

– Nie. – Kręci głową. – Nie zdążyłam.

Po jej minie widzę, że nie mówi mi całej prawdy. Czuję niepokój, eksplodujące w mojej głowie malutkie bąbelki niepewności. Coś jest poza moją kontrolą, Lena knuje za moimi plecami. Dlaczego to wszystko się dzieje?

– Może pani pójść ze mną na policję, najlepiej od razu? Ona musi ponieść odpowiedzialność za zbrodnię, której się dopuściła – nalega dziewczyna. – Sprawdzałam w internecie, ale w Kopenhadze jest tak dużo komisariatów policji, że nie wiem, do którego zgłosić się z tą nietypową kwestią. Poza tym uważam, że od razu trzeba dać znać dziennikarzom, niech nagłośnią sprawę. A może powinnyśmy zawiadomić polską policję, chyba właśnie oni jej szukają, bo w innym razie dlaczego ukryłaby się w Danii?

Widzę determinację wymalowaną na jej twarzy. A w jej oczach dostrzegam coś jeszcze: złość. Nie wiem, czy jest tak praworządnym człowiekiem, że chce wsadzić za kratki każdego, kto dopuści się nieprawości, czy chodzi tu jednak o jakiś motyw osobisty. Jedno jest pewne – ona chce dopiec Lenie. Tak po prawdzie motyw jej działania nie ma znaczenia, najważniejsze, że gramy do jednej bramki. W jednej drużynie przeciwko Lenie. Mamy tylko inną wizję zemsty na niej. Muszę więc teraz zrobić wszystko, aby zmienić punkt

widzenia tej pielęgniarki. Nie możemy iść na komisariat, Lena nie może zostać zatrzymana, bo to nie jest mi na rękę.

– Wie pani co? – zaczynam, opierając się na łokciach i nachylając nad biurkiem w jej stronę. – Proszę mnie posłuchać.

NIKODEM

14 października 2019
Kopenhaga

– No jak mogłam o tym zapomnieć? – mówi matka, wychodząc ze swojego pokoju.

Przed chwilą wziąłem prysznic i szykuję się na spotkanie z Anną. Wyjmuję z foliowego opakowania koszulę, którą matka kupiła dla mnie w jednym z pobliskich sklepów.

– No wręcz niepodobne to do mnie – dodaje, odkładając komórkę na stolik.

Spoglądam na nią.

– Przecież ta oszustka podała nam fałszywą tożsamość, właśnie Krystyna mi o tym przypomniała, pamiętasz, jak byłam u niej w urzędzie stanu cywilnego sprawdzić dane Leny? – pyta, wygładzając koszulę na mojej piersi. – Dobrze ci w tym kolorze – dodaje dumnie. – Doskonale mamusia ci wybrała. No więc w jaki sposób mamy ją znaleźć, skoro ukrywa się pod innym nazwiskiem? Myślisz, że mogłabym z tym pójść na policję? Powiedzieć, że Lena Romanowska to jej nieprawdziwe nazwisko? Powinnam nadmienić o tym temu miłemu policjantowi, co wczoraj cię przesłuchiwał. Jak mogło wypaść mi to z głowy?

– Daj spokój – rzucam. Nie chcę już więcej spotkań z żadnym z funkcjonariuszy ani polskich, ani duńskich. – Możemy o tym zapomnieć?

– Słucham? – Patrzy na mnie oburzona. – Zapomnieć, że chciała cię zabić?!

– Mamo, chcę zapomnieć o Lenie, czy to ci nie wystarczy? Choć dziś nie mówmy już o niej. Dobrze?

Czy nie o to jej chodzi? Wyrzucić tę dziewczynę z mojego życia, z moich wspomnień i planów.

– Daj mi chwilę i też będę gotowa na wyjście na obiad. – Uśmiecha się, ruszając w stronę swojej sypialni. – Widziałam po drugiej stronie ulicy restaurację libańską! – krzyczy. – Wiesz, że w życiu nie jadłam niczego z kuchni libańskiej!

A więc może choć na kilka następnych godzin udało mi się zepchnąć jej niechęć do Leny na dalszy plan. Jednak nie zamierzam iść z nią na obiad. Mam teraz sprawę do załatwienia.

– Mamo! – krzyczę. – Zacznij się szykować, a ja już wyjdę, muszę coś załatwić.

– Co załatwić? – Wystawia głowę z pokoju, ręką zakrywając swój nagi biust.

– Spokojnie, weź prysznic i jak wyjdziesz z domu, zadzwoń. – Odwracam wzrok i nie czekając na jej odpowiedź, wychodzę z mieszkania.

Bez ubrania nie jest w stanie mnie dogonić. Może się trochę potem pogniewa, ale jak zawsze mi wybaczy. Zbiegam po schodach i na ulicy łapię przejeżdżającą taksówkę.

ANNA

14 października 2019
Kopenhaga

– Uważam… – nachylam się nad biurkiem w stronę kobiety, która złożyła mi niezapowiedzianą wizytę – …że powinnyśmy same najpierw z nią porozmawiać.

– Słucham? – Dziewczyna marszczy czoło.

Muszę zrobić wszystko, by odwieść ją od planu wizyty na policji. Lena nie może wpaść w ręce funkcjonariuszy, nie może nikomu powiedzieć o tym, czego od niej zażądałam, to będzie oznaczało mój koniec.

Kiedy zaczęłam budować swój zamek marzeń, dbałam o każdy pojedynczy klocek. Stawiałam go z należytą starannością, odpowiedni element we właściwym czasie i we właściwe miejsce: kariera, miłość, dom. Kiedy moja, jak mniemałam, solidna konstrukcja zaczęła się burzyć? Myślę, że stało się to kilka miesięcy temu, gdy po raz pierwszy przyszła do mnie pani Sara. Opiekowała się nią wtedy inna kobieta, nie pamiętam jej imienia, ale przyprowadziła staruszkę do mnie, bo ta chciała się ze mną osobiście zobaczyć.

– Czy mogę zostawić panią Sarę pod pani opieką? – zapytała tamta kobieta, dużo starsza od Leny. – Zrobiłabym w tym czasie zakupy, mieszkamy niedaleko – wyjaśniła. – Za godzinę byłabym z powrotem.

– Oczywiście – powiedziałam, uśmiechając się.

Zawsze starałam się być życzliwa dla osób, które odwiedzały mnie w instytucie. Panią Sarę kojarzyłam z widzenia, była na każdym spotkaniu, zawsze wytwornie ubrana i żywo zaangażowana w życie duńskiej Polonii. Zapraszając ją do swojego gabinetu, zastanawiałam się, co konkretnie ją do mnie sprowadza. Chciała poplotkować, pożalić się na jakieś niedogodności w jej życiu, cokolwiek to miało być, nie sądziłam, że będzie stanowić dla mnie zagrożenie. A to właśnie ona, ta niepozorna staruszka, zaczęła kopać dół pod moją solidną budowlą kopenhaskiej rzeczywistości.

– Pani dyrektor – zaczęła. – Bacznie obserwuję pani wkład w rozwój kultury, pani otwartość i poświęcenie, od kilku lat chodzi mi to po głowie i w końcu dojrzałam do tej decyzji. – Uśmiechnęła się. – Lepiej późno niż wcale – dodała. – Nie sądziłam, że się do

tego nadaję, że udźwignę ten temat – mówiła, a ja nie wiedziałam, do czego zmierza. – Postanowiłam napisać książkę. – W końcu dobrnęła do konkretów.

– Książkę? – Spojrzałam na nią zaciekawiona.

– Tak. – Kiwnęła głową. – Wspomnienia.

– Wspaniale – odpowiedziałam.

Naprawdę zachwycił mnie ten pomysł. Stara Polka, żona duńskiego naukowca, podzieli się swoimi odczuciami z przeżytego życia w Kopenhadze. Oczyma wyobraźni widziałam, jak będę promować tę wyjątkową autobiografię.

– Doskonała myśl – powiedziałam. – Myślę, że mogłabym pozyskać fundusze z ambasady na sfinansowanie wydania pani autobiografii.

– Nie chodzi o moją autobiografię – wyjaśniła. – Chciałam przetłumaczyć dzienniki mojej matki, jeszcze z czasów wojny.

– Aha. To ciekawe.

Jeszcze się nie niepokoiłam. Stało się to kilka miesięcy później, gdy wyjaśniła mi szczegóły z życia jej rodziny. Myślę, że to była pierwsza kostka, klocek niespodziewanie wyciągnięty z solidnej podstawy mojego zamku. A potem zaczęło walić się już wszystko.

Kiedy powiedziała, że jej rodzina pochodzi z rejonu Łomży, poczułam lekki niepokój. Jeszcze nie panikę, ale gdy powoli zaczęła zawężać obszar jej rodzimych terenów, czułam, jakby zaciskała mi stryczek na szyi. Podejrzewam, że w dziennikach, które spisywała matka pani Sary, może być coś o moim dziadku. Trup w szafie, o którym dowiedziałam się jeszcze w szkole średniej.

Moja rodzina skrzętnie ten fakt ukrywała, a kiedy mój tato ożenił się z Ireną Grabowską, historia dziadka bohatera była mi wpajana przy każdym rodzinnym czy narodowym święcie. Jakbym nie miała drugiej części rodziny, jakby dziadkowie od strony ojca nie istnieli. Ale przecież nosiłam ich nazwisko, stanowili część mojej tożsamości. Pewnego lata przypadkowo dowiedziałam się od stryjecznego kuzyna o drugim dziadku, Marianie Szmidzie, samozwańczym przywódcy szajki, która pacyfikowała ludność żydowską w powiecie łomżyńskim. Próbowałam dowiedzieć się czegoś więcej. Wypytywałam ojca o historię dziadka, był skąpy w dzieleniu się ze mną faktami. Pamiętam, jak powiedział, że wstydzi się za ojca i nie chce już więcej o nim rozmawiać.

– W Niemczech dziś każdy ma kogoś, kto był winny niemieckich mordów, i jakoś nie wydaje mi się, żeby to rujnowało im życie. To jego wina, nie nasza, pamiętaj, nie odpowiadasz za to, co on robił.

Przez lata zapomniałam o tym, bo przecież nie ja dopuściłam się tych czynów. Potem na światło dzienne wypłynęła sprawa Jedwabnego, zrobiło się głośno w mediach, dziadek już nie żył i miałam wrażenie, że wszystkich w rodzinie akurat cieszy ten fakt. Świadek historii odszedł, zabierając ze sobą największe tajemnice. Od kilku lat mieszkałam już w Warszawie, skończyłam marketing i zarządzanie, zrobiłam doktorat, a potem za

namową ojca wyjechałam do Danii i dostałam posadę dyrektora Instytutu Polskiego. Miałam dziadka mordercę, ale miałam też dziadka bohatera i to wokół niego zaczęłam wić swoje życie. Przyjemnie było wygrzewać się w blasku jego chwały, czerpać profity z jego zasług dla Polski i Polaków w Danii.

A potem pewnego dnia spotkałam Andersa. Uważałam, że jest miłością mojego życia – niezależny, przystojny, interesujący. Poznałam go na jednym z bankietów zorganizowanych w ambasadzie. Wydawało mi się, że wiem, jak go zdobyć, stworzyłam obraz kobiety, której on potrzebuje i pragnie. Udało się, zostaliśmy parą, w żartach nawet posuwaliśmy nasz związek do przodu: rodzina, dzieci. Kilka razy zdarzył nam się seks bez zabezpieczeń, po gorączkowych kilku dniach niepewności i teście z ulgą oddychałam, że tym razem się udało, ale po pewnym czasie zaczęło mnie to zastanawiać. Czy to nie dziwne? Raz – rozumiem, mogło się udać, ale kilka razy? Poza tym czułam, że tylko dziecko pozwoli mi zatrzymać przy mnie jego podróżniczą naturę. Przywiążę go do siebie, zamknę w klatce mojego niezwykłego kanarka. Tak, tego właśnie chciałam, mieć Andersa na własność.

Wizyta u lekarza i badania potwierdziły moje problemy z płodnością, zaczęłam się leczyć, a to kosztowało, tak samo jak dom na przedmieściach, na który zaciągnęłam kredyt. Nie dostałabym tak wysokiego kredytu, potrzebowałam do tego fundacji, mojego środka do celu, wspaniałej dobroczynnej działalności. Tak naprawdę była ona pralnią pieniędzy, z których głównie ja korzystałam. Oczywiście nasi podopieczni i akcje, którym fundacja patronowała, były prawdziwe, ale nie wszystkie pieniądze trafiały tam, gdzie powinny. Wiele razy chciałam to zatrzymać, zerwać z tym niechlubnym postępowaniem, ale jak wiadomo, im dalej w las, tym więcej drzew. Do tego jeszcze Anders coraz bardziej zaczął wymykać mi się rąk, na utrzymaniu go przy sobie skupiłam całą uwagę. Wtedy właśnie pojawiła się pani Sara i wrzuciła do mojego życia tykającą bombę w postaci swojego pomysłu na książkę.

– Moja matka prowadziła dziennik w czasie wojny i okupacji, życie w podłomżyńskiej wsi nie należało do łatwych.

Odcięłam się od swoich łomżyńskich korzeni, a one nagle i niespodziewanie same mnie odnalazły.

– Udało nam się ukryć u Polaka, całą wojnę przechował nas u siebie, przyjaciel rodziny, dobry, poczciwy pan Zygmunt, inni nie mieli tyle szczęścia. – Pokręciła głową. – Mama spisywała historię swojej rodziny z niezwykłą starannością, pracowała u kowala, kiedy zaczęły się pacyfikacje…

Na te słowa zamarłam. Dosłownie zabrakło mi tchu. Czy po to do mnie przyszła? Bo wie o moim dziadku? Za chwilę padnie jego nazwisko, a może nawet sugestia, że wnuczka mordercy nie powinna piastować tak zaszczytnego i szanowanego stanowiska. Pani Sara snuła swoją rodzinną opowieść, ale nie wspomniała, że wie, czego dopuścił się mój dzia-

dek. Czy celowo trzyma mnie w niepewności, czy jeszcze nie dotarła do tych istotnych, pogrążających mnie informacji?

– Czy przeczytała pani te dzienniki? Mogę je zobaczyć?

Jeśli historia mojego dziadka ujrzy światło dzienne, mogę stracić posadę, a wówczas każdy, kto przyjdzie na moje miejsce, zacznie robić porządek w papierach i bez trudu odkryje, że defraudowałam pieniądze fundacji. Nie mogłam do tego dopuścić.

– Jeszcze przyjdzie na to pora. – Uśmiechnęła się. – Obiecuję, że pani dyrektor będzie jedną z pierwszych osób, którym pokażę swoją książkę, jeszcze sama nie zdążyłam przeczytać ich do końca – dodała. – Pójdę z tym do ambasady, na pewno mają tam jakichś historyków, którzy pomogą opracować to merytorycznie. Oczywiście dla pani dyrektor też przygotuję kopię, proszę się nie martwić.

W tamtej chwili mój cudowny zamek zaczął się rozpadać.

– Po co rozmawiać z Leną? – Pytanie kobiety wyrywa mnie z rozmyślań. – Jeśli dowie się, że wiemy, co zrobiła, ucieknie i znów uniknie kary.

Moje spojrzenie ląduje na twarzy polskiej pielęgniarki, nawet nie pamiętam, jak się nazywa.

– Sama pani powiedziała – zaczynam tłumaczyć spokojnym głosem, choć wszystko się we mnie gotuje – że w artykułach nie ma wzmianki o Lenie. – Wskazuję na leżące między nami wydruki z internetu. – Policja nie potraktuje nas poważnie, musimy spotkać się z tą dziewczyną, powiedzieć, że wiemy, co zrobiła, nawet zaryzykujemy. – Zawieszam na moment głos i głęboko wciągam powietrze przez nos, by uspokoić szybujące w górę z każdą sekundą tętno. – Powiemy, że mamy na to dowody, nagramy tę rozmowę, jestem pewna, że zacznie się bronić, puszczą jej nerwy i wtedy powie, coś, co da nam dowód, który pozwoli przekazać sprawę policji.

Kobieta przygląda mi się, analizując słowa, które właśnie usłyszała.

– Ale jak się z nią skontaktujemy? – pyta. – Przecież nie wiemy, gdzie mieszka, jaki ma numer telefonu.

Ty nie wiesz. Uśmiecham się w myślach. Ja mam dostęp do obu tych informacji, ale nie mogę tego teraz zdradzić, bo wyjdę na osobę niewiarygodną.

– Chwileczkę – rzucam i otwieram laptop na swoim biurku. – Prowadzimy bazę danych, przy różnej okazji poznajemy wiele osób, nasi pracownicy wpisują dane i numery kontaktowe, aby potem mieć bazę Polaków, do których wysyłamy informacje o różnych uroczystościach w naszym instytucie – kłamię, wpisując hasło i zerkam na nią kontrolnie, aby sprawdzić, czy uwierzyła w moje słowa. – O, mam. – Uśmiecham się fałszywie, klikając inny folder. – Już szukam.

Sięgam po swoją torebkę, wyjmuję z niej telefon. Kobieta śledzi każdy mój ruch, jakby szóstym zmysłem przeczuwała, że nie jestem z nią do końca szczera.

– Nie podoba mi się ten pomysł – protestuje. – Uważam, że od razu powinnyśmy zgłosić to na policję, a tak tylko dajemy jej pole manewru.

– Jest – przerywam i udaję, że wpisuję numer do książki kontaktów. – Dzwonię – informuję, jakby sama nie widziała, co właśnie robię.

Jeden, drugi, trzeci sygnał, Lena nie odbiera.

– Niestety nie odbiera. – Opieram się o fotel i odkładam komórkę na stół. – W takim razie złożymy jej wizytę osobiście – kwituję, unosząc się z fotela. – Proszę, pani pozwoli ze mną.

Mam zamiar grać na zwłokę, potrzebuję przemyśleć sprawę, najważniejsze to nie spuścić tej kobiety z oczu i nie pozwolić jej skontaktować się z policją.

LENA

14 października 2019
Kopenhaga

Telefon dzwoni w kieszeni mojej bluzy. Zerkam na wyświetlacz. Dyrektorka Instytutu Polskiego. Nie mogę odebrać od niej telefonu, nie mam warunków do rozmowy, bo nie jestem sama. Właśnie przywiozłam panią Sarę ze szpitala i ona teraz siedzi z panem Sørenem przy stole, delektując się sernikiem, który sąsiad wziął na wynos z jej ulubionej restauracji na Nykvan. Staruszkowie świetnie czują się w swoim towarzystwie, pochłonięci rozmową po duńsku, z której niewiele rozumiem. Telefon znów wibruje, nie muszę sprawdzać, żeby dowiedzieć się, że dzwoni Anna. Postaram się za chwilę wymknąć z domu, oddzwonić i zapytać, czy akceptuje moje warunki.

Kiedy dzienniki znalazły się moich rękach, nie mogłam oprzeć się pokusie poznania prawdy o pani dyrektor. Wciąż zadawałam sobie pytanie, czego ona tak się boi? Jakie informacje zawierają wspomnienia matki pani Sary, że nie mogą ujrzeć światła dziennego? Kiedy tamtego dnia, gdy wróciłam od pana Sørena z Tiszri do domu, weszłam do swojego pokoju i wyjęłam ukryte w szafie bruliony. Kot umościł sobie miejsce na moich kolanach, mrucząc i ugniatając łapkami mój sweter. Siedziałam na fotelu z dziennikiem w dłoni i z Tiszri na kolanach, zupełnie jak pani Sara każdego wieczoru. To skojarzenie wywołało dojmujące doznanie. Zajęłam jej miejsce, to przeze mnie znalazła się w szpitalu. Nie potrafiłam poradzić sobie z tym ciężarem.

Nie wiedziałam, co mam dalej zrobić. Czy kosztem pani Sary zapewnić sobie ukrycie się przed Nikodemem, czy jednak pod żadnym pozorem nie mam prawa zabierać jej marzeń? Jeśli pamiętniki dostaną się w ręce Anny, ona zadba o to, żeby zniknęły raz na zawsze. A może powiedzieć pani Sarze prawdę, że to Anna kazała mi je ukraść, że zrobiłam to, ale teraz bardzo tego żałuję? Czy pani Sara mi wybaczy, czy mnie zrozumie, czy nie pogrążę tym wyznaniem samej siebie? A może jest jakieś inne rozwiązanie? Czy da się wypracować kompromis? Przecież z każdej sytuacji jest jakieś wyjście.

Przede wszystkim musiałam dowiedzieć się, co zawiera ten ostatni dziennik. Zaczęłam wertować pożółkłe kartki z wyblakłymi słowami zapisanymi hebrajskim alfabetem. Nic z tego nie rozumiałam. Ani słowa. I wtedy przypomniałam sobie o aplikacji do tłumacze-

nia tekstów. Czasami korzystałam z niej, gdy chciałam przeczytać etykietę produktów lub jakiś artykuł w duńskiej gazecie. Wyjęłam telefon i przystawiłam aparat do tekstu, niestety język jidysz nie posiadał funkcji tłumaczenia z pisma odręcznego. Zastanawiałam się, jak mogę rozszyfrować pismo, przeglądałam różne portale i fora zajmujące się tematyką tłumaczeń i ktoś podał link do aplikacji, która konwertowała język odręczny w pisany, a gdy już to zrobiłam, dalsza część zadania była prosta. Fragmenty skonwertowanego tekstu zaczęłam wrzucać do tłumacza Google i do wieczora poznałam jej tajemnicę. Prawdę smutną, bolesną i trudną do zaakceptowania.

Pani doktor Anna Szmida, wnuczka zasłużonego dowódcy dywizji generała Grabowskiego, była także rodziną Mariana Szmidy, mężczyzny, który – jak pisze matka pani Sary – dopuścił się pacyfikacji ludności żydowskiej we wsi, skąd udało się uciec rodzinie Steinów. To nie mógł być przypadek. Jak podawała Wikipedia, Anna Szmida urodziła się w Łomży, zupełnie jak Marian Szmida. Musiał być jej rodziną, jej dziadkiem, wujem, pradziadkiem, kimś, czyje haniebne czyny chciała ukryć. Byłam pewna, że to o te informacje jej chodziło. Przeszukałam internet i doszłam do informacji, że latem 1941 roku doszło do kilkudziesięciu samosądów w powiecie łomżyńskim. Kiedy 22 czerwca 1941 wybuchła wojna między III Rzeszą a ZSRR, Niemcy zaczęli stopniowo przejmować tereny ziem polskich, które wcześniej były pod wpływem władz sowieckich, specjalne grupy, tak zwane Einsatzgruppen, na terytoriach zajmowanych przez Wehrmacht prowadziły akcję oczyszczania oraz wspomagania akcji samooczyszczania organizowanych przez miejscowe siły antykomunistyczne. Towarzyszyło temu ogromne napięcie, wrogie, antysemickie zachowania zaczęły szerzyć się wśród ludności polskiej. Autorzy artykułów tłumaczyli, że stało się to z chęci zemsty za lata faworyzowania przez władze sowieckie ludności żydowskiej, z zazdrości o majętność żydowskich sąsiadów lub czystej nienawiści wyrosłej na glebie szerzonych jeszcze przed drugą wojną przez ugrupowania nacjonalistyczne szowinistycznych haseł. A Jedwabne nie jest jedynym miasteczkiem na mapie wstydliwej historii Polski.

Matka pani Sary pisała o strachu, o informacjach docierających z pobliskich wiosek, gdzie dochodziło do mordów na ludności żydowskiej, których często Niemcy byli inicjatorami albo dawali przyzwolenie na takie działanie Polakom. Pani Rachela Stein pisała, że na własne oczy widziała, jak w kuźni, gdzie pracowała, okuto żelazem drewniane pałki, którymi zamierzano bić ludzi. To zaprzyjaźniony polski kowal dał jej znać, że muszą uciekać, że u nich też szykuje się mord, jaki miał miejsce w innych sąsiednich wsiach, że ludzie Szmidy już wykopali doły w lesie, gdzie chcą złożyć ciała Żydów, których zamierzają zabić.

Czytając te fragmenty, miałam ciarki na plecach. Jeden dziadek pani dyrektor to bohater, którego zasługami Anna chwali się przy każdej okazji, a drugi, morderca, za którego może się tylko wstydzić i którego historię chce ukryć. Czy możliwe, że dziadek pani Anny

jeszcze żył i nie zaznał kary? Dlatego tak bardzo zależy jej na ukryciu prawdy? Nie znalazłam w żadnym z artykułów w internecie, do których udało mi się dotrzeć, wzmianki o Marianie Szmidzie. Jednak gdyby nawet żył i Anna starała się zachować w tajemnicy czyny, których się dopuścił, byłby staruszkiem, blisko stuletnim, wątpię, aby miał za grzechy przeszłości trafić do więzienia. Dlaczego więc tak bardzo zależało jej, aby nikt nie dowiedział się, co zrobił Marian Szmida, przecież nie mogła odpowiadać za winy swojego dziadka? Czy chodziło jej więc tylko o dobre imię? Jego, swoje? A może o coś więcej?

– O, właśnie przyszedł – mówi nagle pan Søren, a dźwięk dzwonka do drzwi wyrywa mnie z rozmyślań.

– Kto przyszedł? – rzucam.

– Sąsiad z dołu.

– Otwórz, proszę – dodaje pani Sara po polsku.

Wstaję i ruszam w stronę drzwi, Tiszri wyprzedza mnie w połowie drogi, czasem mam wrażenie, że jest jakimś niezwykłym gatunkiem koto-psa. Pierwszy raz spotykam kota, który ma w zwyczaju witać w progu przybywających gości. Przekręcam zamek i otwieram drzwi. Przed nimi stoi wysoki, przystojny brunet z widoczną siwizną na skroniach.

– Dzień dobry – mówi po angielsku. – Matijas – rzuca, wyciągając rękę w moją stronę. – Sąsiad z dołu. – Uśmiecha się.

– Dzień dobry, zapraszam – mówię, wpuszczając go do środka.

Jest w wieku Nikodema albo nawet trochę starszy, rusza w stronę dochodzących z salonu głosów, w każdym jego kroku widać pewność siebie i dystans do świata.

– Świetnie, że pan przyszedł – mówi pan Søren po angielsku, po czym wstaje od stołu i wymienia z mężczyzną uścisk dłoni. – Właśnie powiedziałem pani Sarze, że być może będzie pan mógł nam pomóc.

Nie rozumiem, co ma na myśli i nowo przybyły gość najwidoczniej także nie wie, o co chodzi panu Sørenowi, bo witając się z panią Sarą, pyta:

– A w czym mógłbym pani pomóc?

– Sara powiedziała mi o włamaniu. – Pan Søren wyprzedza w odpowiedzi panią Sarę, a mnie cierpnie skóra. – To właśnie widok okradzionego mieszkania sprawił, że Sara źle się poczuła – wyjaśnia. – Bardzo źle, Leno, że od razu nie wezwałaś policji – dodaje, spoglądając w moją stronę. – Teraz, po czterech dniach, gdy przez dom przewinęło się tyle osób, trudno będzie zabezpieczyć ślady.

– Wiem – przyznaję mu rację. – Ale jakoś nie miałam do tego głowy… – tłumaczę.

– Trudno – przerywa mi i przenosi wzrok na gościa. – Gdy ostatnio widzieliśmy się na schodach, opowiadał pan o tym, jak mu tam – macha w powietrzu dłonią – aparacie w oknie. – Uderza palcami wskazującymi o kciuki, robiąc gest pstryknięcia zdjęcia. – Może nagrało się, kto wchodzi i wychodzi z kamienicy, będziemy mieć dowody i twarz

przestępcy – mówi, a ja nie wierzę własnym uszom. – Proszę nam wszystkim powiedzieć coś więcej o tym eksperymencie, który pan prowadzi.

Kolana się pode mną uginają. Dowody? Twarz przestępcy? Dowiedzą się, że to ja byłam w kamienicy. W czasie, gdy pani Sara wygodnie siedziała na fotelu fryzjerskim, obrabowałam jej mieszkanie. Nikt obcy tego nie zrobił, to jej zaufana opiekunka okazała się oszustką.

NIKODEM

14 października 2019
Kopenhaga

– Do Instytutu Polskiego – rzucam.

Taksówkarz pyta o dokładny adres, ale nie potrafię mu go podać. Ostatecznie znajduje potrzebne informacje w internecie i wiezie mnie pajęczyną kopenhaskich ulic do celu. Mam nadzieję, że zastanę Annę. Potrzebuję zabrać z jej mieszkania swoje rzeczy. Gdy dojeżdżamy pod budynek, zaczyna siąpić deszcz, reguluję należność i pośpiesznym krokiem ruszam do drzwi wejściowych.

– Dzień dobry – witam się z szatniarką, krzątającą się wokół ogromnych donic z kwiatami stojących w holu. – Czy zastałem panią dyrektor?

– Niestety już wyszła – rzuca, obrywając suche listki z ogromnej paprotki. – Całkiem niedawno, z jakąś panią, śpieszyły się, zapewne ważna sprawa.

– Czy wie pani, kiedy wróci? – pytam. – Dzwoniłem do niej, ale nie odbiera.

– To dziwne. – Marszczy czoło. – Pani dyrektor nigdy tego nie robi. – Sięga po konewkę. – Zapewne to wyjątkowa sprawa, gdy wychodziły, wydawała się bardzo przejęta. Proszę przyjść jutro, powinna być od ósmej w pracy.

Odwraca się i idzie z konewką w stronę toalet. Wychodzę na ulicę, deszcz przybrał na sile. Duńska pogoda jest nieznośna, ale ludzie zdają nie zawracać sobie tym głowy, ot lekka mżawka. Ja również ruszam przed siebie. Deszcz – choć dość intensywny – jest drobniutki, szczypie w policzki, wywołując nawet przyjemne doznanie.

Zastanawiam się, jak zinterpretować zachowanie Anny. Nie odbiera ode mnie telefonu. W zasadzie nie znamy się długo, ale pozwoliła mi zamieszkać w swoim służbowym mieszkaniu, no i przespała się ze mną. Być może jestem jednym z wielu, nic nieznaczącym partnerem na jedną noc, ale chyba powinna zdawać sobie sprawę z tego, że zechcę odzyskać swoje rzeczy. A może obraziła się za to, że wystawiłem ją do wiatru?

Przechodzę przez ulicę i ruszam w stronę jej służbowego mieszkania. To naprawdę niedaleko stąd. Anna mówiła, że gdy czasem musi zostać dłużej w pracy, a następnego dnia rano ma kolejne spotkanie, zostaje tam na noc. Ma dom na przedmieściach Kopenhagi, ale takie mieszkanie w centrum miasta jest jej na rękę. Być może to jej zwyczaj i zawsze tak

postępuje, gdy ktoś wpadnie jej w oko, zaprasza go na obiad, a potem na seks do mieszkania przecznicę od jej pracy. Nie znam się na ludziach, zazwyczaj mylnie odczytuję ich intencje, ale Anna sprawiała wrażenie żywo mną zainteresowanej. Zadawała dużo pytań, musiałem uważać na każde słowo, żeby nie odkryć przed nią, że tak naprawdę interesuje mnie dziewczyna, która zajmuje się staruszką, a nie sama pani Sara. Anna ma w sobie coś nieodgadnionego. Nie wiem nawet, jak to nazwać, ale będąc z nią, czułem się obserwowany, śledziła każdy mój gest. I to jej nieprzeniknione spojrzenie. Było w tym coś dwuznacznego i podniecającego. Dochodzę do kamienicy, w której znajduje się mieszkanie służbowe, na chodniku tuż przed wejściem zaparkowany jest mój samochód, wkładam rękę do kieszeni płaszcza i naciskam przycisk pilota. Mrugają światła, wsiadam do środka w momencie, gdy telefon wibruje w mojej kieszeni. Czyżby oddzwaniała Anna? Zerkam na wyświetlacz – matka.

– Jestem gotowa, stoję na dole. Gdzie jesteś? – mówi jednym tchem. Lekko oskarżycielski ton, jeszcze się nie złości, ale wyraźnie czuć, że nie lubi, gdy każę jej na siebie czekać.

– Idź do tej libańskiej restauracji – mówię. – Odebrałem samochód, będę tam za chwilę.

Rozłączam się, zanim zdąży zbombardować mnie kolejnymi pytaniami i wyrzutami. Uruchamiam silnik i wtedy ją zauważam. Anna. Nie mam co do tego wątpliwości. Ten sam płaszcz, wzorzysty szal, wychodzi z kamienicy w towarzystwie jakiejś kobiety, która chroni się przed deszczem, zarzucając kaptur na głowę. Idą pośpiesznym krokiem i zanim zdążę wyskoczyć z samochodu, aby porozmawiać z Anną, one wsiadają do SUV-a. Pani dyrektor od strony kierowcy, ta druga kobieta zajmuje fotel pasażera. Mruga kierunkowskaz i auto wyjeżdża na ulicę, wymuszając pierwszeństwo. Dokąd one tak się śpieszą? Postawiam się dowiedzieć. Matka będzie zmuszona zjeść obiad w samotności.

LENA

14 października 2019
Kopenhaga

– A tak – odzywa się Matijas, siadając na wolnym krześle, naprzeciw pana Sørena, pomiędzy mną i panią Sarą. – Prowadzę taki… – uśmiecha się – …według mnie bardzo ciekawy eksperyment, właściwie moje podróżowanie po świecie jest z tym związane. Jestem fotografem streetowym i lubię robić zdjęcia niepozowane, z zaskoczenia. Wpadłem na pomysł, aby ustawić w oknie aparat z samowyzwalaczem, który w zaplanowanym przeze mnie odstępie czasowym pstryka zdjęcia.

Mówi bardzo szybko po angielsku, wsłuchuję się w jego słowa, a wszystko we mnie drży. Za chwilę pójdzie po aparat, przejrzy zdjęcia i obecni tu ludzie, jedyni moi przyjaciele w Kopenhadze, odwrócą się ode mnie. Będę musiała znów uciekać. Dokąd tym razem? A jeśli zechcą wezwać policję? Gdy znajdę się w rękach funkcjonariuszy, na światło dzienne mogą wyjść sprawy, które pogrążą mnie całkowicie.

– Oczywiście zdjęcia są różnej jakości, wszystko zależy od oświetlenia i ruchu na ulicy…

– Wtedy był dzień – zauważa pan Søren. – Leno, o której wróciłyście do domu od fryzjera? – pyta, spoglądając na mnie.

– Nie pamiętam – mówię, bo rzeczywiście nie umiem przypomnieć sobie konkretnej godziny, jestem tak zdenerwowana tym, co za chwilę może się zdarzyć, że nie potrafię zapanować nad gonitwą myśli.

Interesuje mnie w tej sytuacji jedynie to, czy jestem uwieczniona na zdjęciach sąsiada z dołu. Oczyma wyobraźni widzę siebie na jednym z nich, jak idę ulicą, ściskając pod pachą kuferek pani Sary. Oczywiście wiem, że to niemożliwe, bo ukryłam go w reklamówce, ale za chwilę dzięki zdjęciom wszyscy się dowiedzą, że gdy pani Sara siedziała na fotelu fryzjerskim, ja byłam w domu. Powiem, że wróciłam po telefon, przecież włamanie mogło być już po moim wyjściu, a złodzieje mogli dostać się do kamienicy w inny sposób niż przez bramę na dole. Wiem, że to mało prawdopodobny scenariusz, ale będę się go trzymać. Może to ktoś, kto zna kod, w kamienicy mieszkają sami staruszkowie, ale prze-

cież mają dzieci, wnuki, znajomych. To, że włamywacz nie został utrwalony na zdjęciu, nie znaczy, że podejrzenie padnie na mnie, przekonuję siebie w myślach.

– Przed dwunastą. – Pani Sara spogląda na mnie. – Myślę, że było jeszcze przed dwunastą.

– To i tak nie ma znaczenia – ripostuje Matijas.

Wszyscy zerkamy w jego stronę, wyczekująco patrzę na jego twarz. Co ma na myśli, mówiąc, że to nie ma znaczenia? Wie o czymś, co wolałabym zachować w tajemnicy? Wie, że nie było żadnego włamania, wie, że to ja zrobiłam? Serce bije mi coraz szybciej.

– Aparat nie obejmuje swoim zasięgiem wejścia do klatki, tylko ulicę i chodnik po przeciwnej stronie.

Oddycham z ulgą. Robię to tak głośno, że przez chwilę obawiam się, że moi rozmówcy to zauważą, ale nadal są pochłonięci rozmową. Czy naprawdę miałabym tyle szczęścia?

– Oczywiście mogę przejrzeć zdjęcia, ale nie sądzę, żebyśmy znaleźli coś konkretnego. Byłem w środę w domu, nie wychodziłem przez cały dzień – dodaje. – Nie słyszałem żadnych hałasów, a chyba jeśli ktoś się włamywał… – Zerka na mnie. – Zamek był uszkodzony?

– Nie. – Kręcę przecząco głową.

– To naprawdę dziwne.

– Nie bawmy się w detektywów, uważam, że należy zgłosić sprawę na policję – mówi pan Søren.

– A właściwie co zginęło? – pyta Chorwat.

– Mój kuferek, chyba włamywacz myślał, że trzymam tam jakieś kosztowności. – Pani Sara zakrywa twarz dłońmi. – A tam były pamiętniki własnoręcznie spisane przez moją matkę, bezużyteczne dla niego, a tak ważne dla mnie.

Ramiona jej drżą, pan Søren kładzie rękę na jej plecach, Matijas nie wie, co powiedzieć i nagle panującą między nami ciszę przerywa dźwięk domofonu.

– Kto to? – pytam, zerkając na panią Sarę.

– Nie mam pojęcia – odpowiada. – Na nikogo nie czekamy.

ANNA

14 października 2019
Kopenhaga

– Czyli teraz idziemy do mieszkania Leny? – pyta młoda kobieta, gdy wychodzimy z mojego gabinetu.

– Tak – odpowiadam, przekręcając klucz w zamku.

W recepcji mówię pani Basi, że mamy do załatwienia ważną sprawę i że już dziś nie wrócę. Wychodzimy na ulicę, kobieta znów pyta, czy to dobry pomysł, aby składać wizytę Lenie bez policji, sugeruje, że powinien towarzyszyć nam funkcjonariusz. Coraz bardziej działa mi na nerwy, chciałabym, żeby w końcu zamilkła.

– Policjant powinien ją od razu zaaresztować, przecież zabiła człowieka, jestem pewna, że w trakcie przesłuchań w końcu się do tego przyzna – trajkocze.

– Ona mieszka tutaj całkiem niedaleko – mówię. – Chodźmy – rzucam, przechodząc na drugą stronę ulicy.

Siąpi deszcz, widzę, jak dziewczyna zarzuca kaptur na głowę, w torebce mam parasolkę, ale szkoda fatygi, bo już jesteśmy przy moim samochodzie. Zapraszam nieznajomą do środka, sama zajmuję miejsce za kierownicą.

Nie mam zamiaru jechać do domu pani Sary, zadzwoniłam do Leny, nie odbierała, ale jestem przekonana, że oddzwoni. Wtedy powiem, że krąg wokół niej się zaciska, dotarła do mnie kolejna osoba, która jej szuka, a co więcej, wiem już, dlaczego przyjechała do Danii. Zabiła człowieka, na jej miejscu też bym się ukryła z dala od miejsca zbrodni. Postawię jej ultimatum: albo odda mi dzienniki, albo pojawię się na progu jej domu z funkcjonariuszem policji. Oczywiście dalej może brnąć w swoją historyjkę i mnie szantażować, ale czuję, że gdy powiem, że wiem o morderstwie, podda się i odda mi te cholerne pamiętniki.

– To tutaj – rzucam, znajdując wolne miejsce przy chodniku.

Przyprowadziłam tę kobietę pod mieszkanie, w którym zatrzymał się Nikodem, stoi teraz puste, nikt nam nie otworzy, ale oczywiście ona nie ma prawa o tym wiedzieć. Naciskam przycisk domofonu, cisza, odczekuję chwilę i znów powtarzam czynność, a gdy mam już powiedzieć, że najwyraźniej musimy wrócić, bo Leny nie ma w domu, drzwi się

otwierają. Z kamienicy wychodzi młody chłopak, nie bywam tu regularnie i nie znam wszystkich lokatorów, na szczęście nie pyta, do kogo idziemy, tylko przytrzymuje nam drzwi. Kobieta dziękuje i po chwili jest już w środku.

– Które piętro? – pyta, gdy drzwi za nami zatrzaskują się z hukiem.

– Pierwsze – mówię i ruszam za nią do góry po schodach.

Stajemy przed numerem osiem, naciskam dzwonek, z góry wiedząc, że nikt nam nie otworzy, bo jedyne klucze do mieszkania mam ja w torebce zawieszonej na ramieniu.

– W takim razie musimy iść na policję – stwierdza dziewczyna. – Naprawdę nie ma na co czekać, jeśli pani dyrektor nie chce mi towarzyszyć, trudno, zajmę się tym sama.

– Niekoniecznie – ripostuję, odwracając się na pięcie. – Mam lepszy plan – rzucam, zbiegając po schodach.

Gdy wychodzimy z kamienicy, deszcz pada mocniej, biegiem rzucamy się do drzwi mojego auta.

LENA

14 października 2019
Kopenhaga

– Otwórz, proszę – mówi pani Sara.

Ruszam w stronę przedpokoju, czując wypełniający mnie od środka lęk, jakby niewidzialna pętla zaciskała mi się na szyi i nie pozwalała oddychać. A jeśli to Nikodem? Jeśli Anna zdradziła mu mój adres? Może się przeliczyłam i wchodzenie na wojenną ścieżkę z tą kobietą okaże się moim największym błędem? Powinnam do niej oddzwonić, dowiedzieć się, co ma mi do przekazania. A może to ona przyszła? Czy odważyłaby się? Przecież nie przekażę jej dzienników w obecności pani Sary. Domofon dzwoni po raz kolejny, biorę słuchawkę i przykładam ją do ucha.

– Słucham? – odzywam się po angielsku.

Z drugiej strony rozbrzmiewa głos kobiety, mówi szybko po duńsku, nic nie rozumiem. Za moimi plecami zauważam pana Sørena i Matijasa.

– Kto to? – pyta pan Søren cicho.

– Nie wiem. – Kręcę głową. – Jakaś kobieta, mówi po duńsku, nie rozumiem jej.

– Daj mi ją – mówi i wyjmuje słuchawkę z moich rąk.

Kim jest ta kobieta? Z rozmowy, którą prowadzi pan Søren, nic nie rozumiem, ale jego wyraz twarzy jest radosny, pytania przerywane są śmiechem, to mnie uspokaja. Gdyby była to policja, nie zachowywałby się tak swobodnie. Chyba że Anna użyła jakiegoś fortelu? Pan Søren przyciskiem otwiera drzwi na dole i odwiesza słuchawkę.

– Kto to? – pytam, spoglądając mu w oczy.

– To Charlotte – mówi. – Moja wnuczka – wyjaśnia. – Miała być u mnie przed południem, ale wybrała się z Lyngby do Kopenhagi na rowerze, mówiłem jej, że gdyby mnie nie było w domu, niech szuka mnie u Sary. Jest cała mokra, deszcz ją złapał po drodze – dodaje, otwierając drzwi na korytarz. – Kto w taką pogodę urządza sobie rowerowe wycieczki? – dziwi się. – Leno, czy masz może jakieś ubranie do pożyczenia dla Charlotte? – pyta, chwytając za klamkę i wychodząc na korytarz.

– Oczywiście – mówię. – Coś znajdę i za chwilę będę u pana. – Biegnę do swojego pokoju, ciesząc się, że to nie policja, Nikodem ani Anna.

Wykorzystam chwilę samotności i zadzwonię do Anny.

ANNA

14 października 2019
Kopenhaga

Włączam silnik, radio uruchamia się automatycznie, głośny ryk jakiegoś metalowego zespołu sprawia, że moja pasażerka podskakuje do góry.

– Przepraszam – rzucam, wyłączając radio.

– Może mi pani powiedzieć, co robimy? – pyta, zsuwając z głowy kaptur.

Wyraz jej twarzy zmienił się, chyba zaczyna ją denerwować ta sytuacja, żałuje, że do mnie przyszła. Chciała złożyć zeznanie na policji, a teraz siedzi w samochodzie niemal obcej kobiety i nie wie, dokąd ona ma zamiar ją zawieźć.

– Mój znajomy jest policjantem – mówię. – Pomyślałam, że najpierw mogłabym z nim porozmawiać.

Rzeczywiście znam jednego policjanta, to kolega Andersa, zadzwonię do niego, oczywiście nie powiem mu, o co konkretnie mi chodzi, ale muszę uśpić czujność mojej pasażerki. Poza tym spróbuję znów zadzwonić do Leny, wykorzystam to, że ta kobieta chce na nią donieść, skłamię, że sprawdziłam jej sytuację w Polsce, że jest bezpieczna i może wracać. Odda mi dziennik i wyjedzie, a ja znów zyskam kontrolę nad swoim życiem.

Kobieta niecierpliwie wierci się na siedzeniu obok.

– Czyli teraz jedziemy do tego policjanta? – pyta.

– Najpierw do mnie do domu – mówię. – W notesie mojego partnera jest zapisany numer do niego

– To bez sensu – złości się. – Nie lepiej udać się od razu na policję, szczerze, nie sądziłam, że to przerodzi się w takie ceregiele. – Podnosi głos. – Może niech mnie pani tutaj wysadzi – rzuca, gdy jesteśmy na jednym ze ślimaków obwodnicy.

– Tutaj? – próbuję żartować. – Jeszcze ktoś panią przejedzie, nie ma nawet pobocza – zauważam.

Muszę ją udobruchać. Sprawić, by poczuła się dobrze w moim towarzystwie, a nawet spróbować przekonać, aby zostawiła mi tę sprawę. Zajmę się tym, a ona niech wraca do swojej pracy w szpitalu.

– Bardzo dobrze pani zrobiła, że przyszła z tym do mnie i tak jak powiedziałam, pomogę pani, mój znajomy wszystkim się zajmie, a my zyskamy pewność, że ktoś czuwa nad sprawą. Dodatkowo będziemy miały informacje z pierwszej ręki w kwestii aresztowania i procesu – mówię.

Jednak kobieta nie jest idiotką, nie wydaje się przekonana. Zaczyna grzebać w swojej torebce. Wyjmuje komórkę. Czy ma zamiar zadzwonić na policję? Nie mogę jej na to pozwolić.

– Ma pani może ładowarkę od IPhone'a? – pyta. – Zostało mi pięć procent baterii.

– Niestety – rzucam, naciskając pedał gazu. – Od lat jestem wierna Samsungowi, ale myślę, że w domu coś znajdziemy, mój partner często zmienia telefony.

Kobieta otwiera kolejne przegródki w torebce, jakby wierzyła, że jednak znajdzie w którejś z nich ładowarkę albo power banka. Ponownie zerkam we wsteczne lusterko. Mam wrażenie, że jakieś auto jedzie za mną od samego centrum. Nie chcę się nakręcać, ale gdy przejechałam już ponad trzy kilometry, a samochód nadal jedzie za mną, nie może to być przypadek. Auto trzyma się stosunkowo daleko, ale wyraźnie mnie śledzi. Nie podoba mi się to. Być może wpadam w paranoję, jednak wolę się o tym przekonać.

Skręcam z głównej drogi, jeśli okaże się, że się myliłam, to żaden problem, tędy także da się do mnie dojechać. Zerkam we wsteczne lusterko i znów samochód jest za moimi plecami. Czy powinnam zwolnić? Postarać się dostrzec, kto jest za kierownicą, jaka jest rejestracja auta? Kalkuluję nerwowo w myślach. Dziewczyna nie znalazła ładowarki i pyta, czy mam kabel do ładowania telefonu w aucie. Nie potrafię skupić się na dwóch rzeczach jednocześnie. Najchętniej wrzasnęłabym, żeby się zamknęła, ale nie mogę sobie na to pozwolić. Muszę go zgubić. To jedyne słuszne wyjście z sytuacji. Kimkolwiek jest, nie może dowiedzieć się, gdzie mieszkam. Ostro skręcam w lewo, a potem wjeżdżam w osiedlową drogę, pełną zakamarków i ślepych uliczek.

NIKODEM

14 października 2019
Kopenhaga

Anna nie przestrzega żadnych przepisów drogowych, mknie wąską osiedlową uliczką ponad sześćdziesiąt na godzinę. Dokąd tak się śpieszy? I kim jest ta kobieta obok? Jeszcze jeden ostry zakręt i tracę ją z oczu. Skręciła koło budynku z zieloną elewacją, dojeżdżam do skrzyżowania i wybieram obrany przez nią kierunek. Jej samochód ledwo widzę na końcu ulicy, muszę przyśpieszyć, bo inaczej ją zgubię. Naciskam pedał gazu, ale po chwili zwalniam, bo dostrzegam przed sobą próg bezpieczeństwa. Leżący na bocznym fotelu telefon zaczyna dzwonić, zerkam na wyświetlacz – matka. Jest niezadowolona, że siedzi sama w libańskiej restauracji, albo martwi się, że znów coś mi się stało. Nie mogę teraz do niej oddzwonić, żeby nie zgubić Anny, przyśpieszam, próbując ją dogonić, ale dojeżdżam do skrzyżowania w momencie, gdy światła zmieniają się na czerwone. Kierowca przede mną hamuje, o mało nie wjeżdżam mu w zderzak. Samochód Anny ginie mi z oczu na końcu ulicy.

– Cholera – klnę, uderzając ręką w kierownicę.

Gdy światła zmieniają się na zielone, zjeżdżam na parking pod sklepem. Nie ma sensu dalej jej gonić, już mi uciekła. Wyjmuję telefon z kieszeni i dzwonię do niej, znów nie odbiera. Zapewne nie ma czasu, bo zajęta jest pruciem z zawrotną prędkością po mieście. Czyżby zauważyła, że za nią jadę? Starałem się trzymać dystans, ale może mnie dostrzegła. Dlatego tak szybko jechała, bo uciekała przede mną? Uruchamiam mapę w telefonie, aby zlokalizować miejsce, w którym się znajduję. Dzielnica Tingbjerg, stąd do restauracji, w której siedzi moja matka, jest niecałe dwadzieścia minut. Telefon w moim ręku znów dzwoni, niestety to nie Anna, tylko znów matka.

– Już jadę – mówię. – Zgubiłem się, ale za chwilę będę.

– Nikodem, już podali twoją zupę – mówi oskarżycielskim tonem.

Rozłącza się, a ja zamykam oczy i znów przez chwilę czuję się, jakbym miał sześć lat. Widzę ją, jak wychyla się przez okno i krzyczy: „Nikodem do domu, zupa stygnie!".

Niemal słyszę jej słowa, brzęczące dookoła owady i czuję promienie letniego słońca na skórze. To były czasy, zanim to się wydarzyło, stracone na zawsze momenty beztroski.

ANNA

14 października 2019
Kopenhaga

– Czy pani przed kimś ucieka? – pyta niespodziewanie moja pasażerka.

– Nie – oburzam się. – Dlaczego?

– Przejechała pani właśnie na czerwonym…

– Nie zdążyłam zahamować – kłamię.

Dziewczyna zerka na mnie z ukosa. Tracę w jej oczach, z każdą chwilą spędzoną w moim towarzystwie zyskuje przekonanie, że źle postąpiła, przychodząc do mnie. Wychodzę przed nią na niezrównoważoną kobietę, obawiam się, że nie będzie łatwo odwieść jej od pomysłu wizyty na policji. Najchętniej już by się ze mną pożegnała i działała według własnego planu. Po raz kolejny zerkam w lusterko wsteczne i upewniam się, że udało mi się zgubić śledzące mnie auto. Kto to był? A może ten ktoś wcale nie śledził mnie, tylko ją?

– Dlaczego tak bardzo zależy pani na tym, aby aresztowali Lenę? – pytam, zerkając na nią.

Może ktoś, kto za nami jechał, ma z tym związek? Nikt nigdy mnie nie śledził, dlaczego miałby robić to teraz? Może chodzi o nią albo o Lenę?

– Bo nie można akceptować takiego zachowania – mówi oburzona. – Morderstwo nikomu nie powinno ujść płazem.

Nie wierzę w to. Oczywiście zgadzam się z nią, ale jestem niemal pewna, że jest w tym jakiś ważny aspekt osobisty. Nie angażowałaby się tak, gdyby chodziło o czysty idealizm. Chyba że na świecie są jeszcze ludzie, którzy działają też z innych pobudek niż finansowe czy miłosne? Może właśnie ona do nich należy?

Telefon w mojej torebce zaczyna dzwonić.

– To pewnie ona – rzuca kobieta. – Odbiorę – deklaruje.

Nie czekając na moją odpowiedź, sięga ręką na tylną kanapkę po moją torebkę. I nim zdążę zareagować, trzyma już telefon w dłoni i mówi zrezygnowanym tonem:

– To nie ona, jakiś Nik.

Tak wpisałam do listy kontaktów Nikodema.

– Nie odbieraj! – rozkazuję.

Spogląda na mnie zdziwiona. A więc to on nas śledził. Nie ma innej opcji. Musiał widzieć, jak odjeżdżam spod kamienicy. Wieczorem pojadę po jego rzeczy i mu je zwrócę, będę musiała przeciągnąć jakoś sprawę spotkania z panią Sarą. Powiem, że kobieta nie wyraziła zgody, że zachorowała i nie czuje się na siłach, by na razie przyjmować gości, coś wymyślę.

Dziwi mnie, że Nikodem tak szybko doszedł do siebie. Dość mocno uderzyłam go w głowę, oczywiście nie na tyle, aby go zabić. Obiecałam Lenie, że zajmę się nim, nie wiedziałam, w jaki inny sposób mogę go unieszkodliwić. Umówiłam się z nim we włoskiej restauracji naprzeciwko Instytutu Polskiego, zaczaiłam się na klatce schodowej i gdy wyszedł z mieszkania na spotkanie ze mną, uderzyłam go w tył głowy doniczką z kwiatkiem, którą zdjęłam z parapetu na korytarzu. Cios był na tyle silny, że pozbawił go przytomności. Zabrałam mu saszetkę z dokumentami, pozorując napad na tle rabunkowym. A gdy trafił do szpitala, wiedziałam, że na kilka dni mam go z głowy. Przestanie węszyć. Ja spełniłam swoją obietnicę, a Lena nie dotrzymała słowa. Za takie pogrywanie sobie ze mną powinna zostać ukarana. Bezczelna smarkula. Szantażystka. Nie ujdzie jej to na sucho.

– Nik? Kto to? – pyta kobieta, zerkając na mnie.

Mogłabym odpowiedzieć, że nikt, a w ogóle nie powinno to jej obchodzić, jest wścibska i żenująco bezpośrednia. Nie lubię tego typu ludzi, ale może nawet dobrze, że zapytała, znajdziemy jakiś zastępczy temat.

– To mój były – kłamię. – Tak po prawdzie miała pani rację. – Zerkam na nią z ukosa. – Facet nie odpuszcza, chce, żebym do niego wróciła, stale mnie nagabuje, to przed nim uciekałam.

– Widziałam, że jakieś auto cały czas za nami jedzie – wyjaśnia dziewczyna. – Od samego centrum miałyśmy go na ogonie.

Jest bardziej spostrzegawcza, niż można by się spodziewać. Niedobrze. Wjeżdżamy na ulicę Pilesvinget, mijamy przydrożny parking, zwalniam na progu bezpieczeństwa. Jeszcze raz zerkam kontrolnie we wsteczne lusterko, stąd już blisko do mojego domu, Nikodem nie może się dowiedzieć, gdzie mieszkam. Mój dom to moja oaza, wymarzony kawałek ziemi, za który zapłaciłam pieniędzmi z fundacji. Nie powinnam, wiem, ale już się stało. Tak bardzo zależało mi na tym, aby tu zamieszkać. Blisko centrum, a jednocześnie na łonie natury. To Anders zobaczył ogłoszenie i namówił mnie, abyśmy obejrzeli dom. I kiedy tu po raz pierwszy przyjechałam, od razu wiedziałam, że chcę, aby należał do mnie. Przestronny salon, słoneczny taras, zadbany ogród oddzielony od ulicy wysokim parkanem. Wnętrze urządzone gustownie w stylu art déco. Dom zrobił nie tylko na mnie, lecz także na Andersie piorunujące wrażenie.

– Jest wspaniały – powiedział, gdy kobieta z biura sprzedaży nieruchomości zostawiła nas na chwilę samych w salonie, wychodząc na taras.

Nachyliła się i zaczęła zbierać porozrzucane dziecięce zabawki, wiaderka, łopatki, samochodziki.

– Poprzedni właściciele mieli przesłodkie trojaczki! – krzyknęła, odwracając się w naszą stronę. – Jeszcze nie zdążyłam wszystkiego posprzątać.

Spojrzeliśmy wymownie z Andersem na siebie. Dom pełen dzieci, czy nie chcieliśmy tego samego?

– Nie pokazuj, że tak bardzo ci się podoba, bo będzie trudniej zbić cenę – szepnął mi do ucha i pocałował w policzek.

Nie było mnie na niego stać, ale nie powiedziałam Andersowi o tym, postanowiłam zaciągnąć kredyt na fundację i to był mój pierwszy krok do kolejnych kłamstw. Jednak wtedy, trzymając swojego mężczyznę za rękę, myślałam, że podejmuję słuszną decyzję. Oczyma wyobraźni widziałam nas siedzących na skórzanych szezlongach na przestronnym tarasie, w towarzystwie naszych wymarzonych dzieci. Najwidoczniej rodzina z trojaczkami wyczerpała limit nowych narodzin w tym cudownym miejscu.

Naciskam pilota, brama wjazdowa się otwiera.

– Piękna posiadłość – stwierdza kobieta, rozglądając się dookoła.

Co prawda wokół domu nie ma takiego porządku, jak bym chciała, zawsze brak mi czasu, ale zdaję sobie sprawę, że ogród robi wrażenie. Zazwyczaj to Anders grabił liście, kosił trawnik, nigdy nie chciał nikogo zatrudnić do tych robót, mówiąc, że przy fizycznej pracy resetuje umysł i wpada potem na najlepsze pomysły, a to w jego pracy podstawa. Podążam wzrokiem za spojrzeniem kobiety, pod drzewem rzucone grabie, kilka dni temu wyjęłam je z garażu, mając zamiar zająć się liśćmi, obok taczka, oparty o dom rower. Gdy już uporam się z bałaganem w swoim życiu, zajmę się porządkiem na posesji.

– Dziękuję – rzucam. – Co prawda teren wokół domaga się wprawnej ręki ogrodnika…

– Naprawdę wspaniały dom – przerywa mi, a w jej głosie słyszę zazdrość.

Nie u niej pierwszej. Już kilka razy miało to miejsce. Ilekroć ktoś nas tu odwiedzał, moi czy Andersa znajomi, czułam zazdrość w głosie, zupełnie jak teraz w słowach tej dziewczyny.

– Musiał dużo panią kosztować – dodaje, zerkając na mnie. – Robi wrażenie.

– Dziękuję – powtarzam.

W duchu zauważam, że tak po prawdzie w równym stopniu należy do niej, jak do mnie i innych ludzi z duńskiej Polonii. Wjeżdżam do garażu i zamykam za nami bramę garażową. Bocznymi drzwiami wchodzimy do domu.

– Proszę się rozgościć – rzucam, zdejmując z siebie płaszcz. – Napije się pani czegoś? – pytam, ruszając w stronę kuchni.

– Dziękuję – odpowiada, zsuwając z nóg buty.

– Niech pani zostanie w butach. – Wskazuję głową na jej stopy w czarnych rajstopach na zimnych, grafitowych płytkach.

Nie przystaje na moją propozycję.

– Proszę zadzwonić do tego policjanta – mówi niemal rozkazującym tonem. – Chciałabym, abyśmy miały już to za sobą.

Potakuję głową i ruszam w stronę sypialni. W nocnej szafce powinien znajdować się notes Andersa, co prawda nie jestem do końca pewna, czy tam znajdę telefon Sebastiana, ale nawet jeśli nie, to muszę przekonać kobietę, żeby dała sobie z tym spokój. Ja zajmę się sprawą Leny, w końcu po to jestem, aby pomagać ludziom z duńskiej Polonii, we wszelakich sprawach, z którymi się do mnie zwrócą. A ona niech wraca do swoich pacjentów.

Kiedy jestem już na górze, słyszę, jak mój telefon dzwoni w torebce. Zostawiłam ją w przedpokoju, zbiegam po schodach i wyjmuję pośpiesznie komórkę, zanim znów zrobi to ta kobieta. Gdy się oglądam, ona już stoi za mną, aż się wzdrygam. Nie spodziewałam się jej tak blisko. Boso porusza się bezszelestnie niczym dziki kot.

– Lena – czyta głośno imię, które widnieje na wyświetlaczu mojego telefonu.

Czy właśnie w tej chwili zapaliło się w jej głowie czerwone światło? Ostrzeżenie, że ktoś tu kogoś okłamuje? Czy to nie dziwne, że obcą kobietę, o której dowiedziałam się jakąś godzinę temu, mam wpisaną do kontaktów pod hasłem Lena? Czy już się domyśliła, że ją oszukałam, udając, że nie znam Leny, że nigdy wcześniej o niej nie słyszałam?

– Porozmawiam z nią – mówię i wycofuję się do swojego gabinetu, zamykając za sobą drzwi.

LENA

14 października 2019
Kopenhaga

Wyjmuję z szafy spodnie dresowe i bluzę z kapturem. Widziałam wnuczkę pana Sørena już kilka razy, jest drobna, trochę niższa ode mnie, ubrania powinny być na nią dobre.

– Za chwilę będę – mówię do pani Sary i Matijasa siedzących w salonie. – Dam tylko Charlotte suche rzeczy na przebranie.

Pani Sara kiwa głową i wraca do rozmowy z Chorwatem. Zamykam za sobą drzwi, zastanawiając się, czy właśnie teraz nie powinnam zadzwonić do Anny. Wyjmuję telefon z kieszeni, ale zanim zdążę wybrać jej numer, na schodach słyszę głos pana Sørena. Rozmawia po duńsku z wnuczką. Dam jej moje ubrania i gdy będę wracać, zadzwonię do Anny.

– Cześć, Charlotte – mówię po angielsku, zbiegając po schodach.

Jest cała mokra, woda ścieka po jej włosach, kurtce i dresowych spodniach. Spogląda na mnie i delikatnie się uśmiecha. Wita się ze mną po angielsku, niby jest miła, ale w jej zachowaniu zawsze odczuwam dystans. Chłodna i łagodna, zupełnie jak duńska pogoda.

– Złapała mnie ulewa – wyjaśnia. – Ale teraz już przestało padać i nawet wychodzi słońce – dodaje.

– Mam dla ciebie rzeczy na przebranie – mówię, wręczając jej złożone w kostkę bluzę i spodnie.

– Dziękuję. – Uśmiecha się. – Uratowałaś mi życie.

Ja odebrałam komuś życie. Jak zawsze ta myśl pojawia się nagle i niespodziewanie. Za każdym razem, gdy przebija się z dalekich czeluści mojego umysłu do świadomości, czuję się, jakbym dostała pięścią w brzuch. Tym razem mam ochotę także zgiąć się w pół i skulić. Chyba nigdy nie wybaczę sobie, że to zrobiłam.

– Rower można zostawić na dole? – pyta Charlotte po angielsku. – Nie mam łańcucha, postawiłam obok wejścia do windy.

Już mam powiedzieć, że jest bezpieczny, bo tutaj nikt nie kradnie, ale wtedy przypominam sobie o ostatnich wydarzeniach.

– Ostatnio było włamanie – rzuca pan Søren, jakby czytał w moich myślach. – Może lepiej go schowajmy.

– Ja to zrobię – oferuję. – Niech Charlotte się już przebierze, bo jeszcze się przeziębi – dodaję.

– Dziękuję – mówi pan Søren.

Charlotte, ściskając moje rzeczy pod pachą, wchodzi do mieszkania dziadka, który zamyka za nią drzwi. Zbiegam po schodach. Powinnam teraz oddzwonić do Anny. Tutaj nikt mnie nie będzie słyszał i nikt mi nie przeszkodzi. Gdy jestem na dole, wybieram jej numer, odbiera po trzecim sygnale.

– Dzwoniła pani do mnie – mówię bez żadnego powitania czy grzeczności.

– Tak – potwierdza. – Mam dla ciebie dwie informacje: dobrą i złą. Którą chcesz najpierw usłyszeć?

Na te słowa sztywnieję. Ona też nie bawi się w konwenanse.

– Dobrą – rzucam.

Zawsze jest lepiej zacząć od dobrej.

– Sprawdziłam cię, twoja sytuacja w Polsce jest czysta.

– Naprawdę? W jaki sposób tak szybko zdążyła to pani zrobić?

– A na co miałam czekać? Chyba jasno postawiłaś warunki – mówi zgryźliwym tonem. – Mój znajomy policjant sprawdził w bazie i nie widniejesz jako poszukiwana przez organy ścigania. To chyba jest dobra wiadomość dla ciebie – dodaje.

– W jakiej bazie? – pytam.

– Słucham?

– Powiedziała pani, że nie widnieję w bazie. Jakiej bazie?

To przecież gra z mojej strony. Wiem, że nie mogę istnieć w żadnej bazie, bo ja właściwie nie istnieję. Nie ma żadnej Leny Romanowskiej, urodzonej w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku we Włodawie. Baza osób poszukiwanych przez policję jest dostępna w internecie i w blisko trzydziestotysięcznej grupie nie ma Leny Romanowskiej ani Mileny Lenczuk. Jeśli chodzi o tę drugą, moją prawdziwą tożsamość, to sprawdzam ją co kilka dni, to jest jak niekontrolowany odruch. Budzę się i muszę wiedzieć, czy nic nowego nie pojawiło się w mojej kwestii, czy ktoś nagle nie wpadł na mój trop, nie doniósł policji o tym, co zrobiłam. Czy tylko ja tak mam, czy wszyscy ukrywający się przestępcy zaczynają dzień od przeszukania policyjnej bazy osób poszukiwanych?

Postawienie się Annie było celowym zagraniem z mojej strony, gestem obronnym, zmyleniem przeciwnika. Kiedy wtedy w parku powiedziała o Nikodemie, liczyło się moje bezpieczeństwo, nie chciałam, żeby doktor Szmida zdradziła miejsce mojego pobytu, nie mogłam pozwolić, żeby mnie odnalazł. Natychmiast wróciły do mnie wszystkie złe chwile, ucieczka z domu Nikodema, odkrycie, że przez cały czas mnie okłamywał.

Decyzję o kradzieży pamiętników podjęłam pod wpływem impulsu, była podyktowana strachem o moje bezpieczeństwo. Wtedy wydawało mi się, że najważniejsze to chronić siebie, ale gdy pani Sara trafiła do szpitala, nagle wszystko się przewartościowało. Zrozumiałam, że nie mogę oddać pamiętników Annie, nie, gdy są tak ważne dla staruszki. To prawda, zrobiłam jeden niewłaściwy krok w przeszłości i nie ma od tego odwrotu, ale teraz mam wpływ na to, co się dzieje, mogę decydować o biegu wydarzeń. A poza tym uważam, że prawda powinna ujrzeć światło dzienne, ta, którą opisała Rachela Stein. Cena, jaką będę musiała za to zapłacić, może być wysoka, wpadnę znów w ręce Nikodema, ale postanowiłam przedtem zagrać z Anną w ten sam sposób, jak ona ze mną. Szantażem. Jeśli bardzo zależy jej na tych pamiętnikach, nie od razu zdradzi Nikodemowi, gdzie może mnie znaleźć. Jestem w stanie choć przez kilka dni utrzymać swoją bezpieczną kryjówkę w domu pani Sary i do tego czasu wymyślić, jak dalej rozegrać sprawę.

Może mogłabym wyznać staruszce prawdę, przyznać się, co zrobiłam, dlaczego muszę się ukrywać albo znaleźć nowe miejsce, w którym zacznę budować swoje życie. Zaczęłam od tego, że wyjęłam ze swojej torebki pamiętniki i ukryłam je w kuchni na stole pod stosem gazet. Podrzuciłam je w taki sposób, by pani Sara pomyślała, że nie odłożyła ich na miejsce. Czasem pracowała nad książką przy kuchennym stole, niech myśli, że szczęśliwie tam je zostawiła, a włamywacz zabrał zamknięty na kłódkę pusty kufer.

I gdy w tej chwili Anna mówi, że jestem bezpieczna, wiem, że kłamie. Oczywiście nie mam pewności, czy nie istnieje jakaś tajna baza, dostępna tylko służbom mundurowym, na której mogłabym widnieć jako osoba podejrzana albo nawet oskarżona o morderstwo, ale wówczas żaden funkcjonariusz, nawet najlepszy przyjaciel Anny, nie zdradziłby jej tych danych. A poza tym nie mogę zapominać, że szantażysta zawsze wraca po więcej, dlatego wycofuję się z jej gry, póki jeszcze pora. Wiem, że Anna łatwo nie odpuści i gdy będę ją za długo zwodzić, rozzłości się i zechce się na mnie zemścić.

Tylko że w tej chwili to ja mam wszystko pod kontrolą. Niech uważa, że jej wierzę.

– Baza osób poszukiwanych – mówi.

– Baza osób poszukiwanych – powtarzam.

– Tak, nie ma cię tam.

– I ten policjant tak po prostu sprawdził to dla pani?

– O co ci chodzi? – Jej irytacja rośnie. – Chyba powinnaś się cieszyć, że to dla ciebie zrobiłam, a nie zastanawiać się, w jaki sposób. – Zawiesza na moment głos, słyszę w tle jakiś hałas. – A poza tym, zważywszy na to, że zamordowałaś człowieka…

– Co? – wydobywa się z moich ust.

Świat przed moimi oczami wiruje. Skąd ona wie? Nikodem jej powiedział? A jednak to ona ma nad wszystkim kontrolę, nie ja.

– No właśnie. – Odchrząkuje. – To jest ta zła wiadomość. I nie chodzi o fakt, że dowiedziałam się, dlaczego ukrywasz się w Danii. Co prawda jestem zaskoczona, wręcz przera-

żona, że byłaś w stanie zamordować człowieka, ale to są moje odczucia, które na pewno cię mało obchodzą. To, co liczy się dla ciebie, to fakt, że nie tylko Nikodem cię szuka – mówi.

Robi mi się niedobrze. Mam wrażenie, że za chwilę zwymiotuję.

– Kto mnie szuka? – pytam, słysząc, jak głos mi drży.

Oni mnie znaleźli. Ludzie, którym wymknęłam się z rąk.

– Dzisiaj przyszła do mnie kobieta, która chce donieść do ciebie na policję, wie, że zamordowałaś człowieka… – zaczyna. – Poczekaj – przerywa.

To niemożliwe. Anna kłamie. Jaka kobieta mogłaby wiedzieć, że mam na swoich rękach krew innego człowieka?

– Jaka kobieta? – pytam, a moja wyobraźnia produkuje przeróżne scenariusze.

Anna nie odpowiada, słyszę w oddali jakieś głosy. Nie jest sama i najwidoczniej zakrywa telefon ręką, bo dochodzą mnie jedynie szmery. Anna nie chce, żebym słyszała, z kim rozmawia i o czym? Ta kobieta jest tam z nią? I nagle to do mnie dociera. Matka Nikodema! To jedyna kobieta, która mogłaby wiedzieć, co zrobiłam i która tak mnie nienawidzi, że chętnie wsadziłaby mnie za kratki. Jeśli on jest w Kopenhadze, to i ona. Powiedział jej wszystko, a ona postanowiła wymierzyć mi sprawiedliwość.

– Musimy się spotkać – mówi Anna zdenerwowanym głosem. – I to już, nie mogę dłużej czekać. Weź dzienniki i przyjedź.

– Jaka kobieta? – powtarzam pytanie.

– Jeśli za pół godziny nie pojawisz się w Tivoli, zdradzę, gdzie mieszkasz.

– Nie zdążę.

– Za pół godziny w parku rozrywki Tivoli przy chińskiej wieży – precyzuje, nie biorąc pod uwagę mojego sprzeciwu.

– Nie zdążę – powtarzam.

– Rowerem będziesz tam w piętnaście minut. Ja już tam jadę – mówi i rozłącza się.

Opieram się o zimny mur kamienicy i zerkam na stojący przede mną rower Charlotte.

ANNA

14 października 2019
Kopenhaga

– W parku rozrywki Tivoli?! – krzyczy pielęgniarka. – Co to ma znaczyć?! Co pani wyprawia!

– Mam plan – mówię.

– Mam dość pani planów – sprzeciwia się. – W ogóle od początku wydawało mi się to dziwne – krzywi się. – Ten przyjazd do pani domu, telefon do znajomego policjanta, dlaczego nie możemy pojechać po prostu na policję? Co pani kombinuje?

Nerwowo chodzi po pokoju, wparowała tutaj, gdy rozmawiałam z Leną, prosiłam ją, żeby wyszła, ale ta kobieta nie jest naiwna jak Lena, z nią tak łatwo mi nie pójdzie.

– Proszę mnie posłuchać, pojedziemy do parku…

– Co Lena ma pani przywieźć? – przerywa.

– Słucham? – Marszczę czoło, udając zdziwioną.

Wyprosiłam ją z pokoju podczas rozmowy z Leną, ale bez względu na moje prośby wróciła w najmniej odpowiednim momencie.

– Słyszałam, jak pani powiedziała, żeby przywiozła dzienniki. Jakie dzienniki? O co w tym wszystkim chodzi? Dlaczego skłamała pani, mówiąc, że jej nie zna?

– Nie powiedziałam, że jej nie znam – tłumaczę chłodno, czując, jak moje serce zaczyna gonitwę.

Od tego, jak poprowadzę tę rozmowę, wiele zależy, mogłabym rzec, że cała moja przyszłość. Niedobrze, że dowiedziała się o dziennikach, tracę panowanie nad sytuacją, powinnam bardziej ważyć słowa.

– Rozmawiała z nią pani, jakby ją bardzo dobrze znała. – Oskarżycielski ton i wrogie spojrzenie.

Dziewczyna zaczyna czuć, że coś się nie zgadza. Muszę przyjąć inną taktykę.

– No dobrze – wzdycham ciężko. – Będę z tobą szczera. – Spoglądam jej w oczy, chcąc odzyskać jej zaufanie. – Nie wiedziałam, czy mogę ci zaufać. Przyszłaś bez umówionej wizyty, zaczęłaś mówić o Lenie, chciałam cię wysłuchać, sprawdzić, zobaczyć, kim jesteś

– wymieniam. – Życie nauczyło mnie, aby nie ufać nieznajomym, wiesz, ile przychodzi do mnie osób i wiesz, ile z nich chce mnie oszukać, naciągnąć, wykorzystać?

Dziewczyna przygląda mi się, nie potrafię odczytać wyrazu jej twarzy. Wąskie usta i duże oczy, całość wykończona permanentnym makijażem. Jest ładna, ale nie oszałamiająco piękna jak Lena. Za tę nieprzeciętną urodę jeszcze bardziej nienawidzę tej małej szantażystki.

– Od dawna się jej przyglądam – ciągnę, co akurat jest prawdą. – Kiedy przyjechała do Danii kilka miesięcy temu, od razu zauważyłam, że coś ukrywa, wpadała do nas do instytutu, nawet szukała tutaj pracy – kłamię. – Znam się na ludziach, wyczułam, że ma coś na sumieniu. Zaczęłam szperać w jej przeszłości…

– I nie wiedziała pani o morderstwie? – mówi oburzona. – Proszę mnie nie oszukiwać. Widziałam na pani twarzy autentyczne zaskoczenie, kiedy powiedziałam, że Lena Romanowska zabiła człowieka. – Teraz ona spogląda mi w oczy. – W ogóle to jakieś nieporozumienie – wyrzuca z siebie. – Nie wiem, jak mogłam dać się tutaj przywieźć, naprawdę uważałam, że pani jako dyrektorka pomoże mi, ale pomyliłam się co do pani. – Odwraca się i rusza w stronę drzwi.

Pędzę za nią. Nie mogę pozwolić jej odejść.

– Proszę poczekać! – krzyczę. – Pojedźmy spotkać się z Leną. Jeśli pani chce, możemy od razu powiadomić mojego znajomego policjanta, aby poszedł tam z nami.

Odwraca się i spogląda mi w oczy, a potem mówi coś, czego się kompletnie nie spodziewam:

– Odnoszę wrażenie, że pani chce ją kryć. A ja na to nie pozwolę.

– Co za bzdury pani wygaduje – protestuję. – Tak samo jak pani chcę, aby policja wymierzyła jej sprawiedliwość. Ale najpierw musimy mieć pewność, że Lena…

– Właściwie, gdzie my jesteśmy, jaka to dzielnica? – przerywa mi, grzebiąc w torebce. – A niech to! – przeklina.

Przypominam sobie, że miała słabą baterię w telefonie.

– A tak. – Wzdycham. – Zapomniałam o ładowarce. Gdzieś tu powinna być, proszę dać mi chwilę – mówię, podchodząc do biurka i otwierając szuflady w komodzie.

– Nie trzeba. – Dziewczyna kręci głową. – Czy mogłaby pani wezwać mi taksówkę? – pyta, wkładając buty. – Poczekam przed domem.

Nie mogę wezwać jej taksówki, nie mogę pozwolić, żeby zawiadomiła policję, muszę ją powstrzymać i zabrać od Leny te cholerne dzienniki.

– Proszę poczekać! – wołam i wybiegam za nią przed dom. – Musisz mi pomóc – mówię.

– Proszę wezwać taksówkę – ponawia prośbę, spoglądając na mnie z przymrużonymi oczami. Nie do końca potrafię odgadnąć, czy jest zdenerwowana, czy przestraszona. –

Pani mnie okłamuje, nie wiem tylko dlaczego, ale się tego dowiem – mówi, a ja czuję, jakby ziemia osuwała mi się spod stóp.

NIKODEM

14 października 2019
Kopenhaga

Wycofuję z parkingu i włączam się do ruchu. Wyobrażam sobie tę stygnącą libańską zupę, zapach kuminu i czosnku, którym przesiąknięta jest restauracja, i niezadowoloną minę matki. Nie chcę w ten sposób spędzić kolejnego popołudnia. Pod jej dyktando, w ogniu niewygodnych pytań: gdzie byłeś, co robiłeś, dlaczego mnie zostawiłeś? Już dawno powinna zrozumieć, że nie jestem jej małym synkiem, czas pędzi do przodu, czy ona tego chce, czy nie, a do błędów, które popełniam, mam prawo. Jestem dorosły. Chcę odnaleźć Lenę, wytłumaczyć jej, dlaczego ją okłamałem, powiedzieć, co do niej czuję i zapewnić, że mnie nie musi się bać. Opieram głowę o zagłówek fotela, zamykam oczy i nagle doznaję olśnienia. Szybki przebłysk, jak niespodziewany promień słońca spomiędzy stalowych, ciężkich chmur. Pan Stefan. Dlaczego od razu o tym nie pomyślałem? Może on będzie wiedział, gdzie mieszka starsza pani na wózku. Anna nie chce mi tego zdradzić, nie odbiera ode mnie telefonów, muszę inaczej sobie poradzić.

Włączam kierunkowskaz i zjeżdżam na pobocze. Pismo z reklamą jego hostelu zostało w mieszkaniu Anny. Jak nazywał się ten jego pensjonat? Nie potrafię sobie przypomnieć. Wyjmuję telefon z kieszeni i wpisuję w wyszukiwarkę hasło. Hostel w Kopenhadze, prowadzony przez Polaka, po chwili dopisuję, pana Stefana. Po kilku minutach na jednym z forum znajduję odpowiedź i adres, wpisuję go do nawigacji i ponownie włączam się do ruchu.

Jeśli matka znów zadzwoni, nie będę odbierać, oczywiście wiem, że to dla niej niekomfortowa sytuacja, samotny obiad w restauracji, ale nie mam innego wyjścia. Najważniejsze to odnaleźć Lenę i mam nadzieję, że ten Polak mi w tym pomoże.

Gdy podjeżdżam na ulicę Prinsessegade, pod pensjonat prowadzony przez pana Stefana, mam już trzy nieodebrane połączenia od matki. Lekceważę to, wyłączam telefon, parkuję na chodniku i ruszam w stronę budynku. Liście, które zapewne jeszcze kilka tygodni temu były kolorowe, teraz gniją, zgarnięte po obu stronach wąskiego chodniczka w równe kopczyki. Pokonuję kilka schodków i naciskam przycisk z napisem B&B, zamek

automatycznie puszcza. Korytarz jest długi i wąski, pachnie lawendą, duszący zapach przypomina mi wnętrze naszego domu w Gnieźnie.

Moja matka tak bardzo lubi odświeżać powietrze w pomieszczeniach, że zapomina, iż najzdrowsze i najbardziej pachnące jest to świeże, zza okna. Najwidoczniej pan Stefan tak jak ona gustuje w perfumowanych wnętrzach, może dlatego od początku złapali dobry kontakt. Na końcu korytarza zauważam drzwi z napisem „Reception". Pcham je do przodu, za ladą siedzi młoda dziewczyna. Witam się po angielsku i od razu pytam o pana Stefana.

– Nie ma szefa – odpowiada z wyraźnym rosyjskim akcentem. – Jest w Polsce, ale wraca jutro rano. Czy mogę panu w czymś pomóc?

Obawiam się, że ta dziewczyna nie będzie w stanie odpowiedzieć na pytania, które mnie nurtują. Nie pozostaje mi nic innego, jak jutro tu wrócić.

LENA

14 października 2019
Kopenhaga

Wpadam do mieszkania, Tiszri wierci się przy drzwiach, a głosy dochodzące z salonu świadczą, że pani Sara nadal rozmawia z sąsiadem z dołu.

– Leno! – woła, gdy przemykam przez przedpokój.

A jednak mnie dostrzegła. Myślałam, że uda mi się prześlizgnąć do mojego pokoju.

– Pozwól do nas – mówi.

Mimo że wszystko się we mnie trzęsie, staram się nie pokazać tego po sobie i przyjmuję spokojny i opanowany wyraz twarzy. Przez te wszystkie miesiące ukrywania się i ucieczki nauczyłam się przybierać odpowiednią minę i z każdym dniem coraz bardziej wchodzi mi to w krew. Gram, stale gram kogoś, kim nie jestem.

– Usiądź – mówi, gdy wciąż niepewnie stoję w progu. – Powiedziałam właśnie panu, że także zajmujesz się fotografią. Chętnie zobaczy twoje zdjęcia, oceni twój warsztat, prawda Matijas?

– Jestem kompletną amatorką – tłumaczę.

Wspólne oglądanie zdjęć na kanapie i popijanie herbatki to ostatnie, czym powinnam się teraz zająć. Mam ważniejsze sprawy do załatwienia.

– Nie bądź taka skromna – mówi pani Sara. – Wiem, jakie to dla ciebie ważne, skorzystaj, że profesjonalista jest z nami i pokaż mu, na co cię stać. – Uśmiecha się szeroko.

Gdyby tylko wiedzieli, na co mnie stać, nie siedzieliby teraz tutaj ze mną z uśmiechami na twarzach.

– Możesz zawsze znaleźć mnie na Instagramie i przesłać mi zdjęcia, jest tylko jeden Matijas od Street Photo – mówi sąsiad z dołu.

Chyba wyczuł moje zdenerwowanie i sądzi, że stoi za tym trema przed pokazaniem mu portfolio. Gdybym tylko takie problemy miała na głowie.

– Idź, Leno, po swoje zdjęcia – zachęca mnie pani Sara. – A wcześniej przygotuj, proszę, leki, które powinnam wziąć przed snem, są na wypisie ze szpitala. Søren już zrealizował receptę – dodaje. – Reklamówka z apteki leży na kredensie w kuchni.

– Dobrze – rzucam.

Wchodzę do kuchni, na środku stołu leży teczka z logo szpitala, którą pani Sara przywiozła ze sobą. Jeszcze nie zdążyłam zajrzeć do środka. Spod sterty gazet wystaje róg pamiętnika, który tam schowałam przed powrotem pani Sary do domu. Mogłabym teraz zawołać z ekscytacją, żeby przyszli do kuchni i zobaczyli, co znalazłam. Ten wieczór byłby pełen radości, jestem przekonana, że pani Sara nie potrafiłaby powstrzymać łez szczęścia, zaprosiłaby pana Sørena i Charlotte do nas i wspólnie świętowalibyśmy cudowny zbieg okoliczności, niezwykłe zrządzenie losu, że akurat tym razem nie schowała dzienników na miejsce i dzięki temu nie dostały się w ręce włamywacza. Jednak mam też odmienny wybór. Mogę z pamiętnikiem postąpić inaczej. Zerkam na zegar na piekarniku, od telefonu Anny minęło pięć minut.

– Leno, znalazłaś tę rozpiskę o lekach? – Z salonu dobiega głos pani Sary.

– Tak! – krzyczę. – Chwilkę.

Najważniejsze to podać teraz pani Sarze leki. Zdejmuję gumkę z teczki i wyjmuję pierwszą kartkę leżącą na stercie dokumentów.

EMIL

15 października 2019
Kopenhaga

– Bardzo panu dziękuję – kwituje policjant, składając dokumenty do teczki.

Tłumacz zamienia z nim jeszcze kilka zdań i zwraca się do mnie.

– Tak więc najwyraźniej jest pan wolny. – Posyła mi uśmiech. – Mówiłem, że ich pan przekonał. Autentyczny wyraz zaskoczenia na widok zwłok kobiety zrobił wrażenie.

Dobrze, że już wychodzę, bo ten tłumacz działa mi na nerwy. Nie autentyczna rozpacz jest powodem puszczenia mnie do domu, ale alibi mojego sąsiada Petera. Tamtego dnia nie wychodziłem z domu i znaleźli na to potwierdzenie. Nie mam nic wspólnego z jej śmiercią.

– Jeśli pojawią się jakieś nowe fakty w sprawie, będą się z panem kontaktować, dlatego proszą nie opuszczać miasta, ale teraz może pan wracać do domu.

– Dziękuję – rzucam i w asyście funkcjonariusza opuszczam pokój.

Wąską klatką schodową schodzimy na parter, odbieram swoje rzeczy osobiste, komórkę, dokumenty, zarzucam na ramiona płaszcz, żegnam się i wychodzę na ulicę. Po kilku metrach dogania mnie tłumacz.

– Proszę poczekać! – krzyczy. – Mam jedno pytanie – mówi zziajanym głosem, dobiegając do mnie. – Wie pan, kto mógł ją zamordować?

Nie mam zamiaru z nim rozmawiać. A już na pewno nie o morderstwie.

– Nie wiem. – Wzruszam ramionami. – I niech zajmie się tym policja – mówię, ruszając przed siebie.

– Był pan wstrząśnięty.

Spoglądam w jego stronę, nie wiem, o co mu chodzi.

– Chyba nie ma w tym nic dziwnego – rzucam, od razu żałując, że wdaję się z nim w dyskusję.

– Kim ona dla pana była?

Nie daję się sprowokować. Idę przed siebie i słyszę, jak on przyśpiesza kroku.

– Podejrzewa pan, kto mógł ją zamordować? – drąży temat.

– Pan wybaczy, ale śpieszę się na dyżur – dodaję na odchodne, przebiegając na przełaj przez ulicę, w stronę schodów prowadzących do stacji metra.

– Panie doktorze! – woła za mną. – Chodzi przecież o ludzkie życie, to nie może być panu obojętne!

Nie jest i nigdy nie było, ale jemu nic do tego. Moje tajemnice nie mogą ujrzeć światła dziennego, nie, gdy dotyczą Leny.

CZĘŚĆ TRZECIA

PO ZABÓJSTWIE

NIKODEM

15 października 2019
Kopenhaga

Gdy następnego dnia przychodzę pod pensjonat na Prinsessegade, pan Stefan wyjmuje z bagażnika jakieś pudełka. Kilka razy nad jeziorem zamieniliśmy parę słów, nie znamy się zbyt dobrze, ale bez problemu go rozpoznaję.

– Dzień dobry! – krzyczę, podnosząc do góry rękę.

Odwraca się. Robi zdziwioną minę, słysząc słowa w języku polskim. Marszczy czoło, jakby próbował sobie przypomnieć, skąd się znamy.

– Nikodem Nowicki. – Wyciągam dłoń w jego stronę. – Jesteśmy sąsiadami znad jeziora.

Odwzajemnia uścisk, ale automatycznie jego twarz tężeje. Nie darzy mnie sympatią, co więcej, w jego spojrzeniu dostrzegam podejrzliwość. Czyżby matka naopowiadała mu czegoś nieprzychylnego na mój temat? A może przypomniał sobie naszą ostatnią rozmowę? Naszedł mnie raz na podwórku, kompletnie się go nie spodziewałem, wziąłem za szpiega i wręcz wyrzuciłem z mojej posesji, ale to było ponad rok temu. Muszę dobrze rozegrać naszą rozmowę.

– Moja mama poleciła mi pana pensjonat – dodaję, wskazując ręką na budynek za jego plecami. – Ostatnio była u pana, to znaczy, w domku nad jeziorem, nie tutaj, nasz pies wpadł na pana posesję…

– A tak. – Mężczyzna kiwa głową. – Wspominałem pani Nowickiej o moim życiu w Danii.

– No właśnie, mama mnie tu przysłała – mówię.

Wspomnienie mojej matki sprawiło, że jego twarz znów przybrała pogodny wyraz. Od wczoraj jest na mnie obrażona, kiedy dołączyłem do niej w restauracji libańskiej, kończyła jeść deser. Nie odzywa się do mnie, ale wiem, że jej przejdzie. Tłumaczyłem, że chciałem odzyskać samochód, a ona w kółko powtarzała, że pewnie uganiałem się po mieście za Leną. Teraz prosiła odwieźć się do centrum, chciała zrobić zakupy dla swoich przyjaciółek. Pogniewa się jeszcze przez kilka godzin, ale do wieczora jej przejdzie. To taki typ, który nie potrafi wytrzymać bez gadania, a tutaj nie ma innego towarzysza do rozmów oprócz mnie. Milczenie ją złamie.

– Chciał się pan zatrzymać w pensjonacie? – pyta.

– Nie – ucinam. – Rozmowa z panem ją zainspirowała, zaczęła szperać w przeszłości i okazało się, że my także mamy rodzinę w Kopenhadze, z którą dawno temu urwał się kontakt. Matka zasugerowała, że może pan mógłby nam pomóc.

Opowiadam mu tę samą historię co Annie, teraz idzie mi znacznie lepiej, nie jestem już nowicjuszem. I tak jak przypuszczałem, moja rzekoma cioteczna babka Sara Stein nie jest mu obca.

– Oczywiście, że ją znam – mówi. – Któż jej tu nie zna? Pamiętam, jak tańczyliśmy razem na imprezach w Instytucie Polskim. Za czasów, gdy żył jej mąż Lars i moja Irenka. – Macha ręką. – Stare dzieje!

– Wie pan, gdzie mogę ją znaleźć?

– Sara od zawsze stanowiła ważną postać wśród duńskiej Polonii – ciągnie, nie odpowiadając na moje pytanie. – Kto by się spodziewał, że to rodzina pani Nowickiej. – Kręci głową.

– Matka prosiła mnie, abym ją odnalazł – mówię. – Bardzo jej na tym zależy, sama miała się wybrać, ale niestety musiała zostać w Polsce. Dołączy do mnie lada dzień.

– Wspaniale – mówi pan Stefan. – Możecie się u mnie zatrzymać.

Nie mogę się u niego zatrzymać, bo już mam gdzie mieszkać w Kopenhadze, poza tym moja matka nie może się dowiedzieć o tych kłamstwach, które teraz opowiadam staruszkowi. Gdy odnajdę Lenę, gdy wszystko naprawię, wytłumaczę to matce, ale wtedy takie detale nie będą miały już żadnego znaczenia. Uśmiecham się i ponawiam pytanie:

– Czy wie pan, gdzie ona mieszka? Gdzie znajdę panią Sarę?

– Oczywiście. – Uśmiecha się. – Od dawna w tym samym mieszkaniu na Esplanaden. To całkiem niedaleko. – Wskazuje ręką przed siebie.

– Jak dokładnie nazywa się ulica? – pytam, bo nie zapamiętałem nazwy, którą właśnie powiedział.

– Pojadę z panem – oferuje się. – Rano wróciłem z Polski. – Pokazuje zawartość otwartego bagażnika. – Rozpakowuję zakupy, zaopatrzyłem się w polską żywność długoterminową. Trzeba wspierać rodzimy rynek – dodaje, spoglądając na mnie. – Ale chętnie przejadę się teraz z panem do Sary, tak dawno się nie widzieliśmy. Proszę jechać za mną – rzuca i nie czekając na odpowiedź, zajmuje miejsce za kierownicą swojego auta.

Nie mam czasu zaprotestować, bo już odpala silnik. Oczywiście nie myślałem, że zechce ze mną jechać, miałem zamiar wydobyć od niego adres i sam złożyć wizytę Lenie. Szybko wracam do swojego samochodu i włączam się do ruchu, próbując trzymać się jak bliżej jego auta.

Na Esplanaden pan Stefan parkuje pod kamienicą z czerwonej cegły, nie ma tam miejsca dla mnie, ale znajduję je nieopodal, po przeciwnej stronie ulicy.

– To tutaj. – Pan Stefan wskazuje na drzwi, gdy dołączam do niego, przebiegłszy przez ulicę. – Jak dobrze pamiętam, siódemka. – Rusza przed siebie. – A to się Sara ucieszy. – Uśmiecha się. – Co za historia, mój polski sąsiad jej rodziną.

Naciska na przycisk domofonu, zanim zdążę wymyślić, jak wybrnąć z twarzą z tej pogmatwanej sytuacji. Po drugiej stronie domofonu rozbrzmiewa głos starszego mężczyzny. Pan Stefan przedstawia się i zaczynają rozmawiać po duńsku, przez moment nawet myślę, że mi się udało, ten mężczyzna nie wpuści nas do środka, uniknę kompromitacji, a to, czego chciałem, czyli adres Leny, właśnie poznałem. Jednak jestem w błędzie, bo po chwili słychać charakterystyczne kliknięcie i drzwi stają przed nami otworem.

– Søren jest u niej – wyjaśnia pan Stefan, przywołując windę. – Znamy się od lat z panem profesorem, wyobraź sobie, że opiekunka pani Sary zaginęła – mówi, nieświadomy tego, jak ta wiadomość działa na mnie.

– Zaginęła? – pytam, wchodząc za nim do kamienicy.

– Wyszła wczoraj wieczorem z domu i dotąd nie wróciła. – Mężczyzna przywołuje windę. – Podobno pojechała gdzieś na rowerze. – Marszczy czoło. – Staruszka wzięła leki i zasnęła, zbudziła się rano i okazało się, że nie ma dziewczyny. Ma też wyłączony telefon. Mam nadzieję, że nic złego się nie stało tej kobiecie.

Winda otwiera się przed nami, a ja czuję, jak nadzieja, która od kilku dni wraz z krwią pulsowała w moich żyłach, powoli się ulatnia. To nie może być prawda. Lena zaginęła? Znów zniknęła? Już prawie ją odnalazłem, była niemal na wyciągnięcie ręki. Spóźniłem się? Ktoś ją ostrzegł? Ktoś mnie ubiegł? Co się z nią stało? Z każdą kolejną sekundą rośnie we mnie frustracja, a gdy winda zatrzymuje się na wybranym przez pana Stefana piętrze, moja złość osiąga apogeum.

ANNA

14 października 2019
Kopenhaga

Jest już ciemno, gdy wracam do domu. Rzucam klucze do porcelanowej miski, stojącej na regale w holu i zsuwam z nóg obłocone buty. Wszystko się we mnie trzęsie, nie tak to się miało potoczyć.

– Kurwa – klnę głośno.

Podchodzę do lodówki i wyjmuję butelkę białego wina. Sięgam do kredensu po kieliszek i napełniam go do połowy. Wino jest cierpkie i zimne, bąbelki chłodzą i szczypią podniebienie. Odwracam się i od razu widzę, że on tu był. Wszedł do mojego domu pod moją nieobecność. Dzwonił do mnie dwukrotnie, ale nie mogłam odebrać. Anders powiedział, że do końca tygodnia przyjedzie po swoje rzeczy i jak widać, dotrzymał słowa. Ściana przede mną zieje pustką, w miejscu, gdzie wisiał jego nowoczesny, gigantyczny telewizor, zostały gołe haki. Ze złości rzucam kieliszkiem przed siebie, rozlega się trzask rozbijanego szkła i cienka stróżka wina płynie po ścianie. Zrobił to, zostawił mnie i odszedł do innej. Próbowałam go powstrzymać, ratować nasz związek, ale nie miałam szans z tą młodą suką. Kiedy odkryłam ich wspólne zdjęcia w jego komórce, dotarłam do ich sprośnej korespondencji, postanowiłam działać. Spisałam z jego telefonu jej numer i umówiłam się na spotkanie. Nie spodziewała się mnie, podałam się za dziennikarkę z „Elle". Gdy tylko mnie zobaczyła, wiedziała, kim jestem.

– A więc mnie znasz?

– Pracuję z Andersem od kilku lat, a on nigdy nie ukrywał pani istnienia – odpowiedziała, chcąc wyjść. – Naprawdę nie mamy o czym rozmawiać. Rozumiem pani rozżalenie, ale…

– Niczego, kurwa, nie rozumiesz! – wrzasnęłam.

Powiedziałam, ile on dla mnie znaczy, przestrzegłam, że jej związek z nim nie ma przyszłości, jest młoda, znajdzie kogoś na całe życie, nie ma prawa odbierać mi mojej miłości.

– Ja nie mam tu nic do rzeczy – rzekła, zawieszając torebkę na ramię. – To sprawa między panią a Andersem. To nie przeze mnie odszedł od pani, decyzja zapadła dużo wcześniej, niż zaczęliśmy ze sobą sypiać.

Powiedziała to z takim tryumfem i wyższością, że miałam ochotę napluć jej w twarz.

– Oszukała go pani – dodała jeszcze. – Proszę mieć pretensje wyłącznie do siebie – powiedziała i ruszyła w stronę wyjścia.

– To on mnie oszukał! – krzyknęłam, ale ona nawet się nie obejrzała, znikając za drzwiami knajpy.

A teraz zabrał wszystkie swoje rzeczy, to z nią chce budować swoją przyszłość, nie ze mną.

Wbiegam do góry, zapalam światło w naszej sypialni, dopadam do przesuwnej szafy i otwieram ją. Jego strona zionie pustką. Krzyk wydobywa się z moich ust. Dobrze, że mieszkam na uboczu i nikt mnie nie słyszy. Osuwam się na podłogę i głośno łkam. To nie tak miało wyglądać. Zostałam sama, bez dziecka, bez partnera, czterdziestodwuletnia porażka. I niestety nie jest to największa tragedia, która mi się przydarzyła. Najstraszniejsze w tym wszystkim jest to, że przed chwilą ją zabiłam. Godzinę temu zamordowałam człowieka.

NIKODEM

15 października 2019
Kopenhaga

– To nie jest dobry moment, abym teraz tam wchodził – mówię, gdy drzwi windy otwierają się przed nami.

Nie ma w domu Leny, nic tu po mnie. Uciekła, zanim zdążyłem ją odnaleźć. A jeśli pan Stefan dowie się, że opiekunką pani Sary jest Lena, może rozpoznać w niej moją byłą dziewczynę, swoją sąsiadkę znad jeziora. Spędziła w domku nad Jeziorem Powidzkim ponad pół roku, mogła widzieć się z nim kilkukrotnie. W tej sytuacji pan Stefan może podać w wątpliwość moją historię o rodzinnych powiązaniach z panią Sarą, a ona to tylko potwierdzi. Od razu zrozumieją, że kłamię, że to nie staruszka jest powodem mojego zainteresowania, tylko jej opiekunka. A skoro ona zaginęła, mogą uznać mnie za winnego, zechcą wezwać policję, wtedy mogę mieć kłopoty. A kto wie, może nawet już wezwali policję w związku z jej zaginięciem.

– Przyjdę innym razem – mówię. – Teraz mają ważniejsze sprawy na głowie.

– Nie, nie – przeczy pan Stefan. – Skoro już tu jesteśmy.

Nagle drzwi od mieszkania otwierają się i w progu pojawia się starszy mężczyzna. To zapewne wspomniany pan profesor. Witają się z panem Stefanem i zaczynają rozmawiać po duńsku.

EMIL

15 października 2019
Kopenhaga

Widziałem się z nią. To ona mnie odnalazła, a nie ja ją. Na przesłuchaniu nie mogłem powiedzieć o tym policji. Gdyby alibi, którego udzielił mi Peter, nie wystarczyło, być może musiałbym bronić się inaczej, ale wypuścili mnie, dla policji byłem niewinny, a to najważniejsze.

Lena przyszła do mnie do szpitala. Dochodziła dziewiętnasta, miałem zejść za kilka minut z dyżuru, gdy zadzwonił telefon na moim biurku.

– Panie doktorze – odezwała się recepcjonistka. – Ktoś czeka na pana na dole – powiedziała. – Mówiłam, że pan jest zajęty, ale pani twierdzi, że to bardzo ważne. Zejdzie pan?

– A o co chodzi?

– Mówi, że to osobiste.

– Właściwie… – spojrzałem na zegarek – za dziesięć minut schodzę z dyżuru. Będę tamtędy przechodził, niech pacjentka poczeka.

Nie pierwszy raz zdarzało się, że ktoś przychodził w czasie mojej zmiany, chciał podziękować za opiekę, czasem umówić szybko prywatną wizytę czy konsultację. Zazwyczaj byli to Polacy, którzy wykorzystywali fakt, że jestem lekarzem z Polski i mogą zasięgnąć porady oraz porozmawiać ze mną w rodzimym języku. W żadnym razie nie spodziewałem się, że nad dole będzie czekać na mnie Lena.

– Co ty tu robisz? – zapytałem, gdy zobaczyłem ją siedzącą na jednym z krzeseł w holu.

Nie mogłem uwierzyć, że tu jest, że naprawdę ją widzę.

– Emil… – powiedziała, wstając i podchodząc do mnie. – Przepraszam, że cię nachodzę, ale potrzebuję twojej pomocy.

– Daj spokój, cieszę się, że cię widzę – odrzekłem i objąłem ją ramionami.

Stało się to tak naturalnie i swobodnie, jakbyśmy widzieli się dosłownie wczoraj.

– Możemy porozmawiać? – zapytała, podnosząc do góry głowę.

Była tu, stała przede mną, nie wierzyłem własnym oczom.

– Jasne – rzuciłem, żegnając się z recepcjonistką. – Mieszkam niedaleko – powiedziałem. – Chodźmy do mnie.

Gdy weszliśmy do domu, w przedpokoju natknęła się na kobiece szpilki. Właściwie wszędzie były porozrzucane rzeczy Sylwii, ubrania, kosmetyki, biżuteria. Miała zabrać je dzień wcześniej, ale potrafiła wysyłać mi tylko pełne żalu i złości esemesy, chyba w głębi duszy licząc, że wrócimy do siebie.

– Przepraszam – powiedziała Lena. – Nie chciałabym…

– Przestań – przerwałem jej. – Rozstałem się z dziewczyną, ale jeszcze nie zdążyła zabrać swoich rzeczy – wyjaśniłem.

Przez myśl przemknęła mi wizja, że właśnie teraz Sylwia przychodzi je zabrać i zastaje u mnie Lenę. Chyba by ją udusiła gołymi rękami, ale najpierw zabiłaby mnie.

– Napijesz się czegoś? – zapytałem, zapraszając ją do salonu.

Zacząłem zbierać ze stołu brudne talerze i szklanki.

– Daj spokój. – Machnęła ręką. – Mieszkaliśmy ze sobą przez pół roku, zdążyłam przywyknąć – powiedziała, zerkając na mnie wymownie.

W jednej chwili zrozumiałem, czego mi przez ten cały czas brakowało. Naturalności, jej swobodnego sposobu bycia, przy niej nie musiałem grać, mogłem być sobą. W drodze do domu zdążyła powiedzieć, że mieszka od pół roku w Kopenhadze, jest opiekunką starszej pani. Opowiedziałem jej o moim kontrakcie z Rigshospitalet.

– Jak mnie znalazłaś? – zapytałem, siadając obok niej na sofie i wręczając jej szklankę wody.

Przed sobą na stoliku postawiłem kieliszek wina, ona nie chciała alkoholu.

– Przez przypadek – powiedziała, upijając pierwszy łyk. – Przeglądałam dokumentację medyczną pani Sary, przebywała przez kilka dni w szpitalu, na jednej z kart był twój podpis i pieczątka, staruszka miała u ciebie konsultację okulistyczną – powiedziała, spoglądając mi w oczy. Codziennie mam wiele konsultacji okulistycznych osób w podeszłym wieku i najwyraźniej jedną z nich była kobieta, którą opiekowała się Lena. – Sprawdziłam w internecie i okazało się, że pracujesz w Kopenhadze. Nie uważasz, że to niezwykłe? – zapytała.

To ona była niezwykła. Miała w sobie coś urzekającego, magnetyzującego, przed czym nie potrafiłem się oprzeć.

– To prawda – odpowiedziałem, spuszczając wzrok.

Nie powinienem zapominać, jak mnie potraktowała, zniknęła z dnia na dzień, bez słowa wyjaśnienia, a wcześniej szukała na moim laptopie haseł dotyczących zamordowania człowieka. Jej niezwykła osoba ma nie tylko blaski, ale i cienie.

– Co się wtedy stało? – zapytałem, spoglądając na nią.

– Mógłbyś jednak poczęstować mnie winem? – zapytała. – Będzie mi łatwiej.

Podszedłem do lodówki i wyjąłem butelkę, a ona zaczęła mówić. O tym, jak odezwał się Hubert, jej były chłopak, jak pojechała za nim do Orchówka.

– Ale to nie ja go zabiłam – powiedziała, patrząc mi w oczy.

Wręczyłem jej kieliszek i patrzyłem, jak dotyka ustami oszronionego szkła i upija pierwszy łyk.

– Musisz mi uwierzyć – dodała. – Wiem, że zachowałam się okropnie, wyjechałam bez słowa wyjaśnienia, ale, Emil, to nie miało nic wspólnego z tobą. – Upiła kolejny łyk wina. – Po prostu zostałam oszukana i nie mogłam już wrócić do Krakowa, do ciebie.

Do ciebie? Powtórzyłem w myślach, czyli dobrze czułem, coś między nami zaczynało się wtedy dziać, miałem rację.

– Odkryłem w swoim laptopie zapytania dotyczące morderstwa, ukrywania się przed policją, to nie ja je tam wpisywałem – powiedziałem.

Nie byłem pewien, czy to jest dobry moment, aby wyznać jej, że wiem więcej, niż się jej wydaje, ale jeśli nie zrobię tego teraz, mogę już nigdy nie mieć okazji. Pokiwała głową, nie wypierała się, nie zaprzeczała.

– To prawda. – Spojrzała na mnie. – Ja wpisywałam je do wyszukiwarki na twoim laptopie, ale nie zabiłam Huberta. Musisz mi uwierzyć, nie mam nic wspólnego z jego śmiercią.

W jej oczach zobaczyłem łzy. Ona go kochała, nie miałem co do tego wątpliwości.

– Kochałam go – powiedziała, jakby wyczytała w moich oczach to, o czym myślę. – Ale on mnie oszukał, zniszczył mi życie, to przez niego muszę wciąż uciekać.

Rozkleiła się, łzy zaczęły płynąć jej po policzkach. Odstawiłem kieliszek i objąłem ją ramieniem, a potem zaczęliśmy się całować.

LENA

14 października 2019
Kopenhaga

Wszystko dzieje się bardzo szybko. Czuję jego usta na swoich wargach, zamykam oczy, oddaję się chwili. Wypity alkohol przyjemnie szumi w głowie, już dawno nie czułam się tak bezpiecznie. Będąc w jego ramionach, nie myślę o otaczającym świecie, Annie, Nikodemie i jego matce. Liczy się tylko tu i teraz. To ciągłe życie w napięciu, wyczekiwaniu, że po mnie przyjdą, że mnie odnajdą… W końcu przez moment mogę się zapomnieć. Jego ręce błądzą po moim ciele, od dawna tego chcieliśmy, jeszcze gdy mieszkaliśmy w Krakowie. Podobał mi się, z każdym dniem naszego życia w wynajmowanym razem mieszkaniu coraz bardziej byłam go ciekawa, ale nie dawałam dojść sercu do głosu. Chciałam być wierna Hubertowi, facetowi, który mnie zdradził, który złamał mi życie.

Emil dotyka mojej twarzy, wodzi po moich kościach policzkowych, sunie delikatnie palcem wzdłuż szyi, jakby mnie malował lub uczył się na pamięć. Zamykam oczy, pozwalając innym zmysłom celebrować chwilę. Nie protestuję, gdy zaczyna zdejmować ze mnie bluzkę, mam na sobie seksową bieliznę, na której zakup namówiła mnie staruszka. Emil dotyka koronowego biustonosza i sprawnie rozpina zapięcie z tyłu. Otwieram oczy i kładę dłonie na jego torsie, powoli, guzik po guziku rozpinam jego koszulę. Zmienił się przez ten rok, nosi kilkudniowy zarost, wcześniej był gładko ogolony. Dobrze mu z brodą, jest bardziej wyrazisty, męski, pociągający. Po chwili bierze mnie na ręce i niesie do drugiego pokoju.

Zastanawiam się, gdzie z nią najczęściej się kochał, z tamtą kobietą, której rzeczy widzę w każdym kącie jego domu. Czy dawno się rozstali, czy może nie jest ze mną w tej kwestii szczery, może po prostu wyjechała, nie ma jej dzisiaj, ale wróci? Okłamał mnie, bo właśnie w taki sposób chciał skończyć ten wieczór? W tej chwili jest mi to obojętne. Już tyle razy zostałam oszukana, że przełknę gorycz porażki jeszcze tym razem. Chcę jego, chcę naszej bliskości, od tylu miesięcy nikt nawet mnie nie przytulił. Potrzebuję dotyku i czułości, nie zdawałam sobie sprawy jak bardzo.

Kładzie mnie na jedwabnej, czarnej pościeli, czy z nią też się w niej kochał? Nachyla się i całuje mnie w usta. Pachnie środkami do dezynfekcji i mydłem. Zanurzam palce w jego

włosach, miękkich i delikatnych, a potem chwytam go mocno na szyję i przyciągam do siebie. Pocałunki stają się bardziej łapczywe, przyzwoitość topnieje, rozkwita pożądanie. Pulsuje całe ciało i wiem, że on też to czuje. Zachłanność i nienasycenie wychodzą naprzeciw niepewności. Wystarczy moment zwątpienia, chwila zawahania i któreś z nas zrezygnuje. Powie, że za wcześnie, że nie tutaj i nie teraz. Rozsądny umysł zatrzyma niezaspokojone ciało, zrzucając nas z tej cudownej karuzeli doznań.

Emil niecierpliwie ściąga ze mnie spodnie, ja rozpinam zapięcie jego paska. W pokoju panuje półmrok, blade światło wpadające z ulicy oświetla jego atletyczną sylwetkę. Pochyla się nade mną, jego twarz jest tak blisko, wyciągam rękę i gładzę go po zaroście, a potem przesuwam ręce na jego plecy i dociskam go do siebie. Zamykam oczy i czuję, że pod powiekami gromadzą się łzy. Po raz pierwszy od wielu miesięcy są to łzy szczęścia, jest mi tak dobrze, że nie chciałabym już nigdy opuszczać jego ramion. Rytmiczne ruchy, ciepło jego pocałunku i rozkosz, która rozlewa się w każdym centymetrze mojego ciała. A potem opada na mnie, zanurzając twarz w moich włosach. Nasze nierówne oddechy i wiatr hulający za oknem.

Gdzieś tam, kilkanaście kilometrów dalej, w Tivoli, jednym z najbardziej znanych parków rozrywki, czeka na mnie Anna. Nigdy tam nie byłam, choć wiem, że to stały punkt programu na mapie atrakcji turystycznych Kopenhagi, tak samo jak niedaleki Bakken, najstarszy park rozrywki na świecie, na północ od miasta. Kto by pomyślał, że Duńczycy są tacy rozrywkowi.

Ręka Emila przesuwa się po moim biodrze, czuję, jak przechodzi mnie przyjemny dreszcz. Przyciąga mnie do siebie, układam głowę na jego klatce piersiowej. Myślami wciąż jestem tam, gdzie mnie nie ma. W Tivoli. Specjalnie wybrała huczne i tłoczne miejsce, aby nikt nas nie zauważył, nie zapamiętał. Jakie będą konsekwencje mojego niepojawienia się we wskazanym przez nią miejscu? Idąc tutaj, wyłączyłam telefon, aby nie mogła się do mnie dodzwonić. Niech sobie myśli, co chce. Emil całuje mnie w czubek głowy, myślę, że to jest dobry moment, aby powiedzieć mu, po co do niego przyszłam.

– Chciałam cię przeprosić – szepczę, nie spoglądając mu w oczy. – Musiałam wtedy uciekać – zaczynam.

– Cii… – Przykłada palec do moich ust. – Nie musisz się tłumaczyć, naprawdę.

– Ale chcę. – Opieram się na łokciu i spoglądam Emilowi w oczy.

Zakłada kosmyk włosów za moje ucho, a ja czuję, jak ten prosty gest przyśpiesza bicie mojego serca. Już kiedyś to czułam, tę ekscytację i podniecenie, z Hubertem, nigdy z Nikodemem.

– Facet, u którego się ukryłam, gdy wyjechałam z Krakowa, okazał się zdrajcą – mówię. – Oszukał mnie, a teraz odnalazł w Kopenhadze.

– Boisz się go? – pyta, choć bardziej brzmi to jak stwierdzenie.

Kiwam głową.

– Możemy pójść na policję, jeśli jest stalkerem…

– Nie możemy – ucinam, wymownie spoglądając mu w oczy.

Wzrusza mnie ta liczba mnoga. Od wielu miesięcy myślę o sobie wyłącznie w pojedynkę, chyba że chodzi o nasze sprawy z panią Sarą, ale to zupełnie inna bajka. Emil nie pyta, dlaczego nie mogę iść na policję, wie, że mam na sumieniu czyjąś śmierć, hasła, które wpisywałam w jego laptopie, mówią same za siebie. Nie wie, dlaczego to zrobiłam, nie wie, kogo zabiłam, ale to nie przeszkadza mu kochać się ze mną. Czy to normalne? Czy ja, będąc na jego miejscu, też nie chciałabym wiedzieć, jaka jest prawda?

– Możesz zostać tu tak długo, jak zechcesz – mówi.

Nie mogę. Jeśli Nikodem mnie nie odnajdzie, zrobi to jego matka albo Anna. Kopenhaga jest już spalona. To zbyt ryzykowne, a przede wszystkim nie chcę narażać Emila.

– Dziękuję – szepczę, opadając znów na jego ramię. – To miłe, naprawdę, ale niemożliwe.

Nie mogę zostać u niego, mimo że bardzo bym chciała. Przychodząc do niego, liczyłam, że pomoże mi się ukryć, powie to, co zaproponował przed chwilą, abym u niego została. Jednak teraz poczułam, że nie powinnam go w to angażować, to mój błąd, nie mam prawa burzyć jego poukładanego i wspaniałego życia. Za bardzo mi na nim zależy.

– Mnie prawie nie ma w domu, stale jestem w szpitalu, naprawdę to dla mnie żaden problem.

– A jak ci się pracuje? – Zmieniam temat, rysując palcem kółka na jego piersi.

– Dobrze – mówi. – To bardzo rozwojowa praca.

– Jak długo tu będziesz? – pytam.

– Kontrakt podpisałem na trzy lata, ale ile tu zostanę, naprawdę nie wiem. – Wzrusza ramionami. – Zobaczę, jaka będzie sytuacja tutaj, jaka w Polsce, może spłyną do mnie inne propozycje?

– A jest takie miejsce, o którym marzysz? Dokąd chciałbyś wyjechać?

– Nie wiem, nie myślałem o tym – mówi. – Może tam, gdzie jest lepsza pogoda, czasem mam dość tego wiecznego deszczu.

– Ja też – uśmiecham się. – Ciągle leje lub wieje. Brakuje mi słońca.

– Marzy mi się ciepłe południe, może Hiszpania? – rzuca.

– Słońce i świeże owoce morza – dodaję.

– O tak! A ty? Co teraz zrobisz? – pyta, opierając się na łokciu i nachylając nade mną.

– Muszę znów uciekać – mówię.

Kiwa głową, odwracając wzrok w stronę okna.

– Wiesz, że moja dziewczyna dostała obsesji na twoim punkcie?

– Twoja dziewczyna? – Patrzę na niego z niedowierzaniem. – Skąd o mnie wiedziała?

Opowiada, jak zobaczył mnie na ulicy kilka tygodni temu, jak próbował mnie dogonić, ale mu się nie udało. Wzrusza mnie to. Naprawdę czuję, jak ciepło wypełnia mnie od

środka. Szukał informacji na mój temat w internecie, ona to zobaczyła i wściekła się. Pracują razem w szpitalu, jest pielęgniarką.

– To ona? – pytam, wskazując na zdjęcie w ramce na ich nocnej szafce.

– Tak – mówi i kładzie zdjęcie fotografią do dołu. – Ona je tu postawiła – tłumaczy.

Nie zdążyłam przyjrzeć się dokładnie dziewczynie, ale mam wrażenie, że już kiedyś ją gdzieś widziałam. Może w szpitalu, gdy odwiedzałam panią Sarę, skoro ona też tam pracuje. Albo po prostu jest do kogoś podobna.

Nagle rozbrzmiewa dzwonek do drzwi. Oboje zerkamy na siebie. To ona? Jego była?

– Nie ruszaj się stąd – mówi, wstaje i wciąga jeansy na gołe ciało.

Kiedy opuszcza pokój, ogrania mnie panika. Nie chcę, żeby ona zastała mnie tutaj nagą. To, co opowiedział mi o niej Emil, o jej obsesji na moim punkcie, nie napawa optymizmem. Może nie powinnam tu przychodzić, ale gdy zobaczyłam jego imię i nazwisko na dokumentach ze szpitala, pomyślałam, że to znak. Chciałam się z nim zobaczyć, wygadać przed kimś, wytłumaczyć swoje zachowanie i liczyłam na jego pomoc. Naprawdę nie planowałam, że się z nim prześpię i teraz, gdy leżę naga, słysząc głosy dochodzące z korytarza, czuję się okropnie. Pośpiesznie wstaję z łóżka i zaczynam się ubierać. Gdy kończę zapinać bluzkę, on zjawia się w progu.

– To sąsiad – tłumaczy. – Kurier zostawił u niego paczkę dla mnie, właśnie mi ją przyniósł. – Macha pudełkiem w ręku. – Już idziesz? – pyta, odstawiając przesyłkę na biurko i ruszając w moją stronę. – Nie zostaniesz na noc?

– Powinnam już pójść – mówię.

Tym razem miałam szczęście, następny dzwonek u drzwi może oznaczać problemy.

– Wiesz, że zawsze możesz do mnie przyjść…

– Wiem – przerywam mu. – Dziękuję.

– Daj mi numer telefonu do siebie – prosi. – Tutaj jest moja wizytówka – dodaje, wyjmując z aktówki portfel. – Potrzebujesz pieniędzy? – pyta, podnosząc na mnie wzrok.

To zabrzmiało, jakby chciał mi zapłacić za seks, on też uświadamia sobie tę dwuznaczność.

– Przepraszam – tłumaczy się. – Nie to miałem na myśli.

– Wiem – mówię, biorąc od niego wizytówkę.

– Zostań – prosi, chwytając mnie za rękę. – Proszę, zostań, tutaj będziesz bezpieczna.

– Nie mogę – odpowiadam, spoglądając mu w oczy. – Muszę załatwić ważną sprawę.

NIKODEM

15 października 2019
Kopenhaga

W rozmowie pana Stefana z emerytowanym profesorem przewija się bez przerwy słowo brzmiące jak policja. Nie wiem, czy wezwali policję, czy policja odkryła coś w sprawie Leny, ale wiem, że powinienem się stąd zbierać, póki jeszcze pora.

– Przepraszam – rzucam do pana Stefana.

– A tak, tak. – Zerka w moją stronę. – Już przedstawiam panów sobie. Pan profesor Søren Werner i pan Nikodem Nowicki.

Ściskamy sobie dłoń, pan Stefan dodaje coś po duńsku, zapewne w stylu, że jestem jego sąsiadem z Polski i – jak się okazało – rodziną pani Sary.

– Panie Stefanie, muszę naprawdę iść, wpadnę tu innym razem – mówię.

– Wykluczone – odpowiada, ale ja go nie słucham, odwracam się na pięcie i zaczynam zbiegać po schodach.

– Panie Nikodemie! – krzyczy za mną. – Co się stało? Proszę poczekać!

Wypadam z kamienicy i przebiegam przez ulicę. Samochód, pod który o mało nie wpadłem, zaczyna trąbić, a kierowca wygraża mi pięścią. Unoszę ręce do góry w przepraszającym geście i dopadam do drzwi auta. Zapewne wyszedłem przed panem Stefanem na wariata, ale to nie będzie pierwszy raz, jak ludzie biorą mnie za osobę niezrównoważoną psychicznie, a gdyby tak poszperać w mojej przeszłości, to nawet znajdą się na to niezbite dowody. W tej chwili to, co o mnie pomyśli, nie ma dla mnie znaczenia. Liczy się tylko Lena.

Gdzie ona jest? Jak to wyszła wieczorem z domu i nie wróciła? Zabrała rower. Dokąd mogła pojechać na tym rowerze? Przecież nie uciekłaby na nim daleko? O co w tym wszystkim chodzi?

Uruchamiam silnik i włączam się do ruchu. Matka chciała, abyśmy dzisiaj wracali do Polski. To nie tak miało być. Już prawie odnalazłem Lenę.

Rano dostałem esemesa od Anny, że moje rzeczy zostawiła w recepcji w instytucie, że wzięła tydzień wolnego, ponieważ z przyczyn osobistych musiała wyjechać nagle z Kopenhagi. Sucha, rzeczowa informacja, jak widać, pani dyrektor nie bawi się w konwe-

nanse. Zatrzymuję się na czerwonym świetle i odpalam mapę Google, nie wiem, gdzie jestem, strzałka wiruje i gdy strona w końcu się załadowuje, zauważam, że jestem dość blisko Instytutu Polskiego, mógłbym teraz odebrać te rzeczy.

Zmieniam pas ruchu i po kilku minutach parkuję pod instytutem. Nie mam zamiaru wypytywać recepcjonistki, czy wie, co tak pilnego wypadło pani dyrektor, że nie mogła oddać mi moich rzeczy osobiście. Być może to tylko jeden niewinny wieczór, który nie ma wpływu na jej życie. Kto wie, pewnie ma męża i dzieci i to, co nam się zdarzyło, pragnie jak najszybciej wrzucić w niepamięć?

– Dzień dobry – witam się.

Kobieta podnosi wzrok znad lady, widzę, że trzyma w ręku smartfon i czyta jakiś artykuł.

– Pani dyrektor miała zostawić dla mnie paczkę.

– Słucham? – pyta, spoglądając na mnie nieobecnym wzrokiem.

– Pani dyrektor – powtarzam. – Zostawiła dla mnie rzeczy, przyjechałem je odebrać.

– A, tak. – Wstaje z krzesła. – Przepraszam.

Podchodzi do szafki za swoimi plecami, otwiera drzwiczki i wyjmuje z nich moją walizkę, chwyta za rączkę i spogląda na mnie.

– Pan Nikodem? – upewnia się.

– Tak.

Zrywa przypiętą do uchwytu kartkę i mi ją wręcza. A potem wraca na fotel i znów bierze telefon do ręki. Moja walizka stoi za jej plecami, nie bardzo wiem, jak zareagować.

– A mogę dostać walizkę? – pytam.

– Przepraszam – reflektuje się. – Ale jestem cała roztrzęsiona. Słyszał pan o tym wypadku?

– Wypadku? – Marszczę czoło.

– Od rana huczy o tym w internecie, wspominali też w wiadomościach radiowych. Nad ranem znaleziono martwą kobietę, na poboczu drogi do Tingbjerg, cała zmasakrowana, a obok niej leżał rower – wyjaśnia.

– Rower? – mówię i czuję, jak spinają się wszystkie mięśnie w moim ciele.

– Tak. – Kiwa głową. – To Polka.

Jakby ktoś zacisnął mi pętlę na szyi.

– Polka?

– Niestety – mówi, układając usta niczym dziecko, gdy zbiera mu się do płaczu. – Nie to, że Dunki nie byłoby szkoda – dodaje. – Nie podali jeszcze tożsamości tej kobiety. Nie uważa pan, że to dziwne? – pyta, spoglądając mi w oczy. – Jeśli byłby to zwykły wypadek, nie utrzymywaliby tych danych w tajemnicy. Coś musi być na rzeczy. Myśli pan, że to morderstwo?

Lena. Chwytam się mocno lady, kręci mi się w głowie. Lena nie żyje?

ANNA

15 października 2019
Kopenhaga

Przeskakuję po serwisach informacyjnych i wszędzie to samo. Morderstwo czy nieszczęśliwy wypadek? Pokazują rower leżący w rowie, zwłoki zniknęły, najwyraźniej zajął się nimi patomorfolog sądowy. Na ten moment szukają sprawców zdarzenia, wszystkich, którzy cokolwiek wiedzą o tej sprawie, proszą o kontakt z najbliższym komisariatem policji lub telefon na numer widniejący na żółtym pasku. Wyłączam telewizor i idę do lodówki. Wyjmuję butelkę schłodzonej wody i nalewam do szklanki.

Noc była koszmarna, doprowadziłam się do porządku, bo musiałam wyjść z domu, ale to nie zmienia faktu, że czuję się jak zombie. Nie sądziłam, że tak szybko sprawa wskoczy na ekrany głównych wydań wiadomości. W komentarzach w internecie roi się od spekulacji. Wiele osób słusznie zakłada, że było to morderstwo. Dyskutują, kto może za tym stać. Mąż, o ile kobieta miała męża, kochanek, o ile kobieta miała kochanka, kochanka męża, o ile taki istnieje i zdradzał ją na boku. Niech sobie ustalają, co chcą, najważniejsze, aby nikt nie powiązał mnie z tą sprawą. A to mało prawdopodobne, nikt mnie tam nie widział, nie było świadków mojego spotkania z nią. I niech tak zostanie. Rano zawiozłam do instytutu rzeczy Nikodema, powiedziałam, że biorę tydzień wolnego, bo mam pilny wyjazd rodzinny. Wysłałam mu esemesa, że jego bagaż czeka na odbiór w recepcji. Nie mam ochoty się z nim spotykać, nie jest mi już do niczego potrzebny.

Wypijam duszkiem wodę i napełniam kolejną szklankę. Czuję się, jakbym miała ogromnego kaca. Pęka mi głowa i jest mi niedobrze. Zabiłam ją. Te dwa słowa pulsują w mojej głowie od chwili, gdy to się stało. Wracają jak nieznośna mantra i nie chcą mnie opuścić. Nie wiem, jak będę dalej z tym żyła. Jestem morderczynią, nic i nikt już nigdy tego nie zmieni. Od kilku godzin dzwonię do Andersa, ale jest poza zasięgiem. Jestem pewna, że celowo wyłączył telefon. Nie chce ze mną rozmawiać, nie interesuje go, że cierpię. Zabrał rzeczy i poszedł do tej dziwki. Nienawidzę go za to, jak mnie potraktował.

Otwieram laptopa i loguję się na stronę lotniska w Kopenhadze. Muszę stąd wyjechać. Kierunek jest nieważny, byle szybko i daleko. Przewijam listę odlotów i zastanawiam się, na który lot znajdę jeszcze bilet. Cena nie gra roli. Nie chcę być blisko, gdy policja zacznie

drążyć sprawę. Z drugiej strony, może to głupie rozwiązanie, powinnam zostać i czuwać, mieć wszystko pod kontrolą, doprowadzić sprawę do końca. To nie tak miało wyglądać. To ich wina. Sary, Leny, tej kobiety, która mnie naszła, Andersa. Wszyscy nastawili się przeciwko mnie. To oni zmusili mnie do zabójstwa. To przez nich czuję się jak najgorszy człowiek na świecie.

EMIL

15 października 2019
Kopenhaga

Dzwonię do Leny, ale nie odbiera. Kiedy ode mnie wychodziła, obiecała, że się odezwie, ale od kilku godzin milczy. Niepokoi mnie ten fakt. Czy coś się stało? Nerwowo bębnię palcami w stół. Co za parszywy dzień. Najpierw przesłuchanie na policji, a teraz jej milczenie.

Kiedy przyszła po mnie policja, nie wierzyłem w żadne ich słowo. Jak to Sylwia nie żyje? Nie ukrywam, że przemknęło mi przez myśl, że to Lena jej coś zrobiła. Powiedziałem jej, że Sylwia dostała obsesji na jej punkcie, to było niepotrzebne. Lena i tak była cała rozedrgana, bała się, że dopadnie ją ten były partner. Nie chciałem jej naciskać, do niektórych rozmów dochodzi się z czasem. Jednak nie mam teraz pewności, czy wychodząc ode mnie, nie trafiła na Sylwię i czy nie doszło między nimi do konfrontacji. Nie uważam, że Lena chciałaby ją zabić, ale z drugiej strony, kto mógł zagrażać Sylwii? Ona nie miała wrogów, a Lena już kiedyś zabiła człowieka. A potem, gdy zobaczyłem rower, który nie należy do Sylwii, wstąpiła we mnie nadzieja. To nie ona. Aż nagle policjant wysunął tę krwawą fotografię i podstawił mi ją pod nos. Sylwia. Nie miałem co do tego wątpliwości, mimo że ciało było zmasakrowane, rozpoznałem ją. Kto ją tak urządził, kto ją zabił? Nie sądziłem, że wywoła to we mnie takie emocje. Pokłóciliśmy się, rozstaliśmy, ale przez wiele miesięcy była mi bliska. Poza tym nikomu nie życzyłbym takiej okrutnej śmierci. Policjant powiedział, że ktoś przejechał po jej ciele autem. To nie był nieszczęśliwy wypadek, potrącenie, to było zabójstwo.

Zakrywam twarz dłońmi, wciąż mam przed oczami ten okropny widok jej zmasakrowanego ciała. Ponownie biorę komórkę i wybieram numer Leny, ale ma wyłączony telefon. Co się z nią stało? Nie powiedziała, gdzie mieszka w Kopenhadze ani co zamierza zrobić. Gdy poprosiłem ją, żeby została na noc, w pierwszej chwili nie chciała się zgodzić, ale gdy podszedłem do niej i zacząłem całować, znów mi uległa. Była spragniona doznań tak samo jak ja. I choć żadne z nas nie chciało się do tego przyznać, pragnęliśmy siebie bardziej, niż nam się wydawało. Wyszła rano, powiedziała, że potrzebuje czasu, żeby spako-

wać swoje rzeczy i pożegnać się ze starszą panią. Obiecała zadzwonić do mnie, gdy już będzie po wszystkim. A teraz od kilku godzin ma wyłączony telefon.

Zwłoki Sylwii znaleziono kilka minut po dziewiątej rano, na mało uczęszczanej bocznej drodze prowadzącej na osiedle domków jednorodzinnych. Właściwie zjazd, leśna droga, mało kto tamtędy się porusza. Na ciało natknął się młody chłopak, który wybrał się na poranny jogging. Zawiadomił policję, a o sprawie szybko dowiedziały się media, wiadomość o morderstwie młodej kobiety nie schodzi z ust dziennikarzy.

Co robiła tam Sylwia? Policjanci nie powiedzieli, o której godzinie doszło do zgonu, najprawdopodobniej sami jeszcze tego nie wiedzą. Lena wyszła ode mnie przed ósmą, czy Sylwia mogła czekać na nią przed budynkiem? Ale w jaki sposób nagle znalazły się w innej części miasta? Jej morderstwo nie może mieć związku z Leną. To po prostu niemożliwe. Jeszcze raz wybieram numer Leny, ale wciąż ma wyłączony telefon.

LENA

15 października 2019
Kopenhaga

Wychodzę od Emila kilka minut przed ósmą. Nie miałam zamiaru zostawać u niego na noc, tym bardziej że nie powiadomiłam o tym pani Sary. Kompletnie się zapomniałam. Już dawno mi się to nie zdarzyło. Tych kilka godzin spędzonych z nim było najlepszym czasem w moim życiu od wielu miesięcy. Mam nadzieję, że pani Sara nie wezwała policji. Raczej nie jest panikarą, bardzo prawdopodobne, że po zażyciu leków, które przepisano jej na noc, zasnęła i nawet nie zauważyła, że nie ma mnie w domu. Może uda mi się wrócić, zanim to spostrzeże. Staruszka co prawda wstaje rano, ale często leży w łóżku po przebudzeniu i czyta.

Przebiegam na drugą stronę ulicy i pędzę w stronę metra. Żałuję, że nie pożyczyłam wczoraj roweru od Charlotte, byłabym znacznie szybciej w domu. Sprowadziłam go do piwnicy i zamknęłam w wymiennikowni. Oczywiście to zupełnie niepotrzebna fatyga, bo w naszej kamienicy nie ma włamań, ale z wiadomego powodu wszyscy myślą inaczej, więc dla spokoju schowałam rower. Miałam zamiar zejść do pana Sørena i mu o tym powiedzieć, ale gdy dowiedziałam się, że Emil pracuje w szpitalu w Kopenhadze, od razu zadzwoniłam na oddział. Okazało się, że akurat ma dyżur, nie mogłam dłużej czekać i zmarnować takiej okazji. A potem dałam się ponieść chwili.

Zbiegam do stacji metra i zjeżdżam schodami w dół. Za pół godziny powinnam być w domu. Mogłabym zadzwonić do pani Sary i uspokoić ją, że wszystko ze mną dobrze, ale może tylko niepotrzebnie ją zbudzę. Poza tym, nawet gdy się obudzi, może stwierdzić, że wyszłam po świeże pieczywo. A zważywszy na to, że ostatnio miała ciężkie dni, bardzo prawdopodobne, że pośpi dłużej i wrócę, nim ona się zorientuje. Wysiadam z metra na Marmorkirken i wchodzę do pobliskiej piekarni. Jest dość długa kolejka, ale wiarygodniej będzie wrócić do domu ze świeżym pieczywem. Jeśli pani Sara już zdążyła się obudzić, uniknę niewygodnych pytań.

Choć właściwie to bez znaczenia, bo dzisiaj będę musiała się z nią pożegnać. Nie wiem, jak szybko działa Anna, ale nie chcę się nawet o tym przekonywać. Nie pojawiłam się

w Tivoli, z zemsty może podać mój adres Nikodemowi, a to oznacza, że nie jestem już bezpieczna na Esplanaden.

Emil zaproponował, żebym u niego została, ale nie uważam, żeby to był dobry pomysł. Co oczywiście nie znaczy, że nie chciałabym dać nam szansy. To, co zdarzyło się między nami teraz, pozwoliło mi choć przez kilka chwil poczuć się bezpiecznie. Jednak najpierw on powinien zamknąć swój związek, jego była dziewczyna nie wyprowadziła się od niego i wszystko wskazuje na to, że wcale nie ma zamiaru zrobić tego szybko. Poza tym powiedział, że dostała obsesji na moim punkcie. Czy to znaczy, że wiedziała, gdzie mieszkam, że mnie śledziła? Te wszystkie razy, gdy czułam się obserwowana? Czy to była ona, czy może jednak Anna?

Wychodzę z piekarni i szybkim krokiem kieruję się w stronę mieszkania pani Sary. Co jej powiem? Jak to załatwię? Nie mogę być z nią szczera, ale nie powinnam opuścić jej bez słowa. To byłoby nie w porządku. Wypadam zza rogu i gdy jestem dosłownie sto metrów od wejścia do budynku, zauważam na ulicy Nikodema. W pierwszej chwili myślę, że tylko to sobie wyobraziłam, ale to jest on. Nie mam co do tego nawet cienia wątpliwości. Wybiega z klatki schodowej mojej kamienicy, jakiś samochód trąbi na niego, bo omal nie wpada pod koła. Odwracam się na pięcie i wchodzę do sklepu spożywczego. W środku jest sporo ludzi, wtapiam się w tłum i przez wielkie szyby spoglądam na ulicę. Nikodem wsiada do samochodu, który tak dobrze znam, którym wielokrotnie jeździłam. Wszystko do mnie wraca, krew w uszach pulsuje, łapię się półki, bo mam wrażenie, że za chwilę zemdleję.

– Wszystko okej? – pyta jakaś kobieta, która stoi obok mnie.

– Tak. – Kiwam głową.

Nikodem znika mi z oczu, wychodzę na ulicę i wiem, że nie mogę wrócić do mieszkania pani Sary. Nie wiem, co tam się stało, ale wiem, że on mnie odnalazł. Anna nie kłamała. Zdradziła, gdzie mieszkam. Nie wiem, co mam dalej zrobić, ale jednego jestem pewna, nie mogę dłużej zostać w Kopenhadze.

ANNA

15 października 2019
Kopenhaga

Chwytam za telefon i gdy mam zamiar sprawdzić, czy zostały jeszcze wolne miejsca na lot do Aten, nachodzi mnie nagła myśl i zanim ktoś po drugiej stronie podniesie słuchawkę, odkładam telefon. A może będzie to wyglądało, że uciekłam? Do wypadku doszło niedaleko mojego domu, bardzo prawdopodobne, że policja zastuka do moich drzwi w tej sprawie. A jeśli pani Basia z recepcji skojarzy, że dziewczyna, która spotkała się wczoraj ze mną, to ta martwa kobieta? Mogę mieć problemy. Nie miałam zaplanowanego spotkania, nagły wyjazd może wzbudzić podejrzenia. Lepiej, żebym została w Danii.

Gdy rano byłam w instytucie, nikt nic jeszcze nie mówił o morderstwie. Powiedziałam pani Basi, że całe wczorajsze popołudnie spędziłam w bibliotece, pracując nad kolejną prelekcją, a na noc zostałam w mieszkaniu niedaleko instytutu. Kobieta nie wie, gdzie dokładnie znajduje się mój dom, nie skojarzy miejsca odnalezienia ciała ze mną. Nie rozwodziłam się nad tym, ale dodatkowo specjalnie wtrąciłam kwestię nocowania w służbowym mieszkaniu. Bardzo prawdopodobne, że nie rozpozna samej dziewczyny, a jeśli nawet, to najpierw ze mną o tym porozmawia – taki już z niej typ. Może lepiej, żebym jutro była w pracy? Będę miała wszystko pod kontrolą, zobaczę, czy pani Basia dowiedziała się o zabójstwie dziewczyny i co o tym myśli? Może celowo sprowadzę jej przypuszczenia na mylne tory. Jeśli jednak rozpozna pielęgniarkę i przypomni sobie, że mnie odwiedziła, powiem, że ta przyszła do mnie, bo szukała pracy, a w czasie rozmowy wspomniała, że rozstała się ze swoim chłopakiem, który ją prześladował. Coś wymyślę.

Nie chciałam jej zabić, ale nie miałam wyjścia. Gdy kobieta zorientowała się, że nie mam zamiaru wezwać dla niej taksówki, chwyciła mój rower oparty o dom.

– W takim razie go pożyczam – rzuciła. – Odwiozę do instytutu, gdy już zgłoszę sprawę na policję – powiedziała, wsiadając na niego.

Wjeżdżając na posesję, z pośpiechu i roztargnienia zapomniałam zamknąć bramę wjazdową, co nigdy mi się nie zdarza. Droga ucieczki stała więc przed nią otworem.

– Poczekaj! – krzyknęłam, ale ona już była na ulicy.

Zaczęłam za nią biec, jednak to nie miało sensu. Mogłam dogonić ją tylko autem. Wróciłam do domu po kluczyki, wskoczyłam w mojego land rovera i ruszyłam w pogoń za nią. Po raz pierwszy od nie wiem kiedy nie sprawdzałam kilkukrotnie, czy zamknęłam drzwi, strach, że mogę wszystko stracić, był silniejszy od nieznośnego natręctwa. Cała się w środku trzęsłam, nie mogłam pozwolić jej odjechać. Chciałam z nią porozmawiać, przekonać, przekupić.

Gdy jednak wyjechałam na główną drogę, dziewczyny nigdzie nie było. Uciekła mi, zgłosi sprawę Leny na policję, dotrą do mnie, wszystko stracone. Jechałam, rozglądając się na boki, ale ona jakby zapadła się pod ziemię. I nagle ją zauważyłam, jej żółtą przeciwdeszczową pelerynę na skraju bocznej drogi. Pojechała na skróty. To nie była droga dla aut, ale miałam napęd na cztery koła i czasami jeździłam tamtędy, wiedziałam, że się nie zakopię. Zawróciłam i gdy ją doganiałam, zniknęła mi za zakrętem. Przyśpieszyłam i wtedy wjechałam w nią z impetem.

Nie chciałam jej zabić, chciałam, żeby tylko się przestraszyła, przewróciła, żeby rower był uszkodzony, żeby nie mogła na nim uciekać i żeby zechciała ze mną porozmawiać. Mogłaby co najwyżej stracić przytomność, jak Nikodem. Przecież ostatecznie nic mu się nie stało.

Ale było już za późno, padał deszcz, wpadłam w poślizg, przeleciała mi przez maskę i zanim zdążyłam zahamować, przejechałam przez nią. Wycofałam, wyskoczyłam z samochodu, ale ona już nie żyła. Leżała na ulicy z rozbitą głową. Przesunęłam ją na bok, jak zabitego kota, działałam jak w transie. Potem wróciłam do auta i zaczęłam nerwowo wycierać dłonie o siebie. A jeśli na płaszczu znajdą odciski palców? Po co przesuwałam ją na bok? Nie potrafiłam logicznie myśleć, zawróciłam i główną drogą ruszyłam w stronę Tivoli. Tam miała czekać na mnie Lena. Musiałam zabrać od niej te cholerne pamiętniki.

Kiedy dojechałam na miejsce, byłam niemal spóźniona. Bałam się, że Lena mi ucieknie. Zaparkowałam przy ulicy i puściłam się biegiem w stronę parku. Ale ta gówniara wystawiła mnie, nie przyszła. Byłam na nią wściekła, miałam zamiar pójść do domu pani Sary, wyciągnąć ją z niego za włosy i zabrać jej te cholerne dzienniki. Czekałam na nią aż do zamknięcia parku, wciąż się łudziłam, że przyjdzie. A potem, wsiadając do auta, celowo wjechałam w zderzak zaparkowanego obok samochodu. Mój przedni bufor był lekko zgięty, nie było na nim krwi, ale lakier zdarty z roweru. Miętowa zieleń rzucała się w oczy. Grzmotnięcie w auto obok sprawiło, że na mojej karoserii pozostała czerwona farba i powstała dużo większa dziura. Zadzwoniłam do ubezpieczyciela, zgłosiłam swoje przewinienie, a auto odstawiłam do lakiernika. Niech usunie wszelkie ślady, zanim policja zacznie węszyć. Uberem wróciłam do domu i wtedy zauważyłam, że ten palant pod moją nieobecność zabrał wszystkie swoje rzeczy.

Jestem wściekła, kręcę się po mieszkaniu, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Dlaczego Lena nie przyszła, co ta smarkula sobie wyobraża? Dzwoniłam do niej, ale jest poza zasię-

giem. Ta cała niepewność doprowadza mnie do szału. Znów idę do sypialni i chwytam za pilota. Włączam telewizor, aby sprawdzić, czy nie pojawiły się jakieś nowe fakty w sprawie morderstwa. Nadal same spekulacje, żadnych konkretów, to samo w internecie. Mimo wszystko ani na moment nie potrafię zapanować nad zdenerwowaniem.

NIKODEM

15 października 2019
Kopenhaga

Wybiegam z instytutu, ciągnę za sobą walizkę, a mój umysł wypełnia rozpacz. Lena nie żyje. Czy to ona jest ofiarą wypadku? Wkładam torbę do bagażnika i wsiadam do samochodu. Wyjmuję telefon. Na wyświetlaczu jest kilka nieodebranych połączeń, wszystkie od matki, ale nie mam teraz czasu oddzwaniać. Odpalam internet i staram się znaleźć coś więcej o szczegółach wypadku. Po angielsku nie ma jeszcze żadnych newsów, a niewiele rozumiem z duńskiego. W każdym razie nikt nie podaje tożsamości kobiety, nie widzę żadnego imienia ani nazwiska w tekście. Tłumaczę artykuł przez Google translator, bez przerwy odrzucając połączenia przychodzące od matki, ale nie dowiaduję się niczego więcej, niż powiedziała mi kobieta z recepcji. Być może dla dobra śledztwa policja nie ujawnia tak szybko tożsamości ofiary?

Kto mógł zabić Lenę? Dlaczego? A może to nie ona? Może to inna kobieta na rowerze? Inna Polka? Ale czy to nie naginanie rzeczywistości do moich oczekiwań? Lena nie wróciła na noc, wzięła rower, a teraz policja zajmuje się sprawą morderstwa rowerzystki. Matka znów dzwoni, zostawiłem ją w centrum, pewnie chce, żebym po nią przyjechał. Pada drobny deszcz, a ona nie znosi moknąć.

– Za chwilę będę, mamo – mówię, odbierając.

– Nikodem! – krzyczy. – Nikodem, widziałam ją!

– Słucham?

W pierwszej chwili nie rozumiem, o co jej chodzi.

– Widziałam Lenę!

Świat na moment zwalnia.

– Lenę?! Gdzie?! – krzyczę, uruchamiając silnik.

– Tutaj, w centrum – mówi. – Dzwoniłam do ciebie, ale nie odbierałeś.

Przeklinam siebie w myślach.

– Gdzie ona jest? – pytam. – Musisz ją zatrzymać.

– Zeszła do metra, właśnie idę za nią.

– Jesteś pewna, że to Lena?

– Tak – mówi. – Na milion procent.

– Widziała cię?

– Tak.

Zamykam oczy. Niedobrze. Ucieknie.

– Jesteś pewna, że cię poznała?

– Tak – twierdzi. – Krzyknęłam za nią. Obejrzała się i miała taką minę, jakby zobaczyła ducha. Zaczęła biec i zniknęła mi z oczu. Teraz też jej nigdzie nie widzę. Przyjedź szybko.

Może jeszcze nie wszystko stracone? Dlaczego nie odebrałem od razu telefonu od matki?, ganię siebie w myślach, ale oprócz frustracji i złości na siebie dobija się do mnie zupełnie odmienne uczucie. Ulga. Ogromna ulga, że to nie ona zginęła. Że Lena wciąż żyje.

LENA

15 października 2019
Kopenhaga

Zjeżdżam w dół schodami ruchomymi na stacji metra Marmorkirken, przepycham się między ludźmi, bo muszę szybko uciekać. Ona tu jest. Matka Nikodema. Miałam rację, zostałam odnaleziona, z każdej strony czyha na mnie niebezpieczeństwo. Gdy jestem w połowie schodów, ostatni pasażerowie wsiadają do kolejki, wpadam na peron, ale drzwi zamykają mi się przed nosem i pociąg odjeżdża. Nie zdążyłam. Cholera. Klnę w myślach. Za chwilę będzie tu matka Nikodema, a jeśli on jej powiedział, że ciąży na mnie morderstwo, ona wezwie policję. Może nawet już wezwała. Muszę stąd uciekać. Rozglądam się na boki, jeszcze jej nie ma, ale lada chwila się pojawi. Gdybym teraz zaczęła wjeżdżać schodami w górę, mogę spotkać ją w połowie drogi, będzie na przeciwległym pasie, to oznacza moją przewagę, ale jeśli Nikodem czeka na górze? Wpadnę prosto w jego ręce. Muszę się schować.

Ruszam w stronę ruchomych schodów i staję pod nimi. Czuję na twarzy wypychane powietrze, nadjeżdża pociąg z przeciwnego kierunku, mogłabym spróbować wsiąść do niego. Nie ma znaczenia, dokąd zawiezie mnie kolejka, oby jak najdalej od nich. Wychylam się z ukrycia i momentalnie cofam, przywierając plecami do zimnej ściany.

Ona już tu jest. Dumna i z nienaganną fryzurą przepycha się między ludźmi, rozglądając się dookoła. Szuka mnie. Lada chwila, a dołączy do niej Nikodem, wyszedł z domu pani Sary, jest niedaleko. Pociąg wjeżdża na peron, jedni wysiadają, drudzy wsiadają, muszę wyczuć dobry moment.

Czekam jeszcze kilka sekund i rzucam się w stronę drzwi. Maria mnie zauważa, rusza w moją stronę, wrzeszczy, żebym zaczekała, żeby inni ludzie mnie zatrzymali. Krzyczy po polsku, na szczęście nikt jej nie rozumie, pasażerowie patrzą na nią jak na wariatkę, a ja w tym czasie wskakuję do kolejki. Drzwi się zatrzaskują, Maria zostaje po drugiej stronie. Przywieram plecami do szyby, głośno dyszę, ktoś pyta, czy nic mi nie jest, macham ręką na odczepnego i idę w głąb wagonu. Siadam na wolnym miejscu i wyrównuję oddech.

Nie mogę wrócić do domu pani Sary, nie wiem, co naopowiadał jej o mnie Nikodem. Nie mogę też jechać do Emila, nie chcę go narażać, a poza tym jest jeszcze ta jego była dziew-

czyna, która dostała obsesji na moim punkcie. Anna też mnie szuka, na pewno nie daruje mi tego, że nie oddałam jej pamiętników. Wszystkie rzeczy osobiste zostawiłam w mieszkaniu staruszki, mam przy sobie telefon, portfel z dokumentami i pieniądze. Dobrze, że kilka dni temu dostałam wypłatę.

Pociąg zatrzymuje się na stacji metra Gammel Strand, za dwa przystanki będzie kopenhaski dworzec główny. Znów powinnam uciec w nieznane? Kolejny raz zaczynać od nowa? Najwidoczniej nie mam innego wyjścia, jestem skazana na wieczną tułaczkę.

Wysiadam na Kobenhavn Central Station i wjeżdżam schodami do góry. Wyjmuję z kieszeni telefon i uruchamiam go. Pierwszy raz od momentu, gdy szłam wieczorem do Emila. Moja bateria ma pięć procent, a ładowarka została podpięta do gniazdka w kuchni. Natychmiast jestem bombardowana wiadomościami o nieodebranych połączeniach. Anna, Emil i pani Sara. Wybieram numer tej ostatniej.

– Leno, na Boga – mówi. – Jak się martwiłam.

– Pani Saro, nic mi nie jest – odpowiadam. – Może pani być spokojna.

– Właśnie miałam zawiadamiać policję. Myślałam, że to ty jesteś tą dziewczyną, której ciało znaleźli rano na jednej z bocznych dróg. Też jechała na rowerze.

– Ja nie wzięłam roweru – tłumaczę, przypominając sobie, że nikomu nie powiedziałam o rowerze w piwnicy. – Zamknęłam go na dole, w wymiennikowni.

Waham się, czy nie zapytać pani Sary o Nikodema, ale wiem, że oni za chwilę mogą się tu zjawić. Ostatnim razem, gdy uciekałam, też szukali mnie na dworcu. Przyjdzie jeszcze pora na tę rozmowę.

– Nie uwierzysz, co się stało! – mówi nagle pani Sara.

Mój puls przyśpiesza.

– Znalazłam pamiętniki – oznajmia uradowana. – Dasz wiarę?! Były w tym bałaganie na stole w kuchni. Zaczęłam dzisiaj składać i nie mogłam uwierzyć, że je tam zostawiłam. No szczęście w nieszczęściu. Nie ukradli ich, naprawdę los mi sprzyja.

Może teraz zacznie sprzyjać też mnie?

– Kiedy będziesz? – pyta pani Sara.

– Pani Saro, przepraszam – zaczynam. – Wytłumaczę to wszystko pani, wiem, że to okropne z mojej strony, ale muszę nagle wyjechać.

– Wyjechać? Dokąd?

Sama chciałabym wiedzieć.

– Naprawdę przepraszam, że tak panią zostawię bez pożegnania i bez opieki z dnia na dzień, ale nie mogę dłużej zostać w Kopenhadze.

– Dlaczego? – pyta.

Mój telefon wibruje, znak, że za chwilę bateria zupełnie się rozładuje.

– To bardzo skomplikowane, pani Saro, muszę załatwić ważną sprawę, ale zadzwonię, wszystko pani wytłumaczę, mam nadzieję, że znajdzie pani szybko kogoś na moje miej-

sce. Naprawdę bardzo mi przykro, czuję się okropnie…

– W porządku – mówi pani Sara. – Czułam, że coś się dzieje. To włamanie – zaczyna. – Odkąd tu mieszkam, a to już ponad pół wieku, nikt nigdy się tu nie włamał, to ciebie szukali – mówi tak pewnie, że gdybym nie wiedziała, jaka jest geneza włamania, sama uwierzyłabym w jej słowa. – Czy mogę ci jakoś pomóc? – pyta. – Potrzebujesz pieniędzy? Tylko podaj numer konta, a od razu prześlę.

– Dziękuję – mówię. – Poradzę sobie.

– Ale jakby co, pamiętaj, że możesz na mnie liczyć.

– Wiem… – mówię, a łzy zaczynają płynąć mi po policzkach.

– A o opiekunkę się nie martw – mówi. – Teraz pomoże mi Søren, a potem znajdę kogoś nowego, zapytam panią dyrektor, ona na pewno mi pomoże.

Tylko nie Anna.

– Nie – wymyka się z moich ust. – Pani Saro, jakkolwiek to dziwnie brzmi, proszę jej nie ufać.

– Doktor Szmidzie? – pyta zdziwiona.

– Tak, proszę nie wpuszczać jej do mieszkania i na nią uważać – mówię i w tym momencie moja bateria pada.

Próbuję jeszcze raz uruchomić telefon, ale ekran nie chce się włączyć. Zrezygnowana chowam komórkę do kieszeni i ruszam w stronę automatu z biletami. Dokąd tym razem powinnam uciekać? Może mogłabym wrócić do domu? Choć na kilka dni, zobaczyć rodziców, tak bardzo za nimi tęsknię, ale Nikodem wie, gdzie mieszkam i to tam będzie mnie szukać. Pojadę do Polski, ale jeszcze nie tym razem.

ANNA

22 października 2019
Kopenhaga

Uruchamiam ekspres i patrzę, jak czarna stróżka kawy spływa po szyjce mojej malutkiej filiżanki do espresso. Na talerzyku układam bułeczkę cynamonową, posypuję ją płatkami migdałów i polewam miodem. Siadam przy stole w kuchni. Z werandy wpada słońce, oświetlając blat i moje ręce. W końcu po kilku ulewnych dniach jest ładna pogoda. Może nawet mogłabym pójść na spacer, udać się w miejsce zbrodni, zobaczyć, jak teraz wygląda. Popijam kawę i na moment zamykam oczy, wystawiając twarz do słońca.

Minął tydzień od znalezienia zwłok dziewczyny. Siedem długich, deszczowych dni, przez które nikt nie pytał o mnie. Cisza. Zupełny spokój. Przeglądam codziennie serwisy informacyjne, ofiara wypadku to dwudziestodziewięcioletnia Sylwia W., pielęgniarka z Rigshospitalet.

Do tej pory nie złapano sprawcy. Pani Basia nie skojarzyła jej z dziewczyną, która mnie odwiedziła tamtego dnia w instytucie, przynajmniej nic takiego nie mówiła, a ja starałam się nie przypominać jej tego faktu. Obłożyłam ją robotą, tak żeby nie miała chwili na myślenie o czymś innym niż praca. A sprawa powoli znika już z czołówek wiadomości, jak zwykle pojawiły się świeższe i ciekawsze tematy dla dziennikarskich hien. Nie zostałam odnaleziona, skojarzona ze sprawą, z każdym dniem jestem coraz bardziej bezpieczna. Nie było żadnych świadków, rzęsisty deszcz zmył wszelkie ślady, a mój samochód wygląda jak nowy.

Dzwoniłam do Andersa, ale nie odbiera ode mnie telefonów, tak samo jak Lena, z tym że ona jest poza zasięgiem. Codziennie jeżdżę na Esplanaden, ale nie widziałam Leny. Dwa dni temu zobaczyłam, jak pan Søren, emerytowany profesor uniwersytetu w Kopenhadze, wychodzi z kamienicy i idzie w stronę piekarni. Poszłam w jego ślady. Spotkaliśmy się przy ladzie, myślał, że zupełnym przypadkiem. Przywitałam się i niby od niechcenia zapytałam, co u niego słychać.

– U mnie dobrze – powiedział. – Gorzej z panią Stein.

– Nie rozumiem? – Przybrałam zaniepokojony wyraz twarzy.

– A nie, nie. – Machnął ręką. – Ze zdrowiem w porządku, ale opuściła ją ta młoda opiekunka – powiedział, a ja poczułam, jakby ktoś wiercił mi dziurę w brzuchu. – Lena – dodał.

– Wyjechała? – zapytałam.

– Nagle. Jakaś pilna sprawa. – Podał sprzedawczyni kartę. – Teraz ja robię jej zakupy, ale trzeba poszukać jej kogoś nowego do pomocy – powiedział, zabierając z lady siatkę ze świeżymi bułkami.

– Będę o tym pamiętać – rzuciłam. – Zadzwonię do niej.

Kilka minut później już wybierałam jej numer. Czy Lena zabrała ze sobą dzienniki? Czy będzie mnie nimi szantażować?

– Dzień dobry, pani Saro – przywitałam się pogodnym tonem.

– Dzień dobry – rzuciła oschle.

– Widziałam się dzisiaj z pani sąsiadem – zaczęłam. – Pan profesor mówił, że straciła pani opiekunkę.

– To prawda, Lena musiała wyjechać.

– Dokąd? – zapytałam. – Wróciła do Polski?

– Nie wiem – odpowiedziała. – Nie tłumaczyła mi się.

– Pomogę pani szukać kogoś na jej miejsce – zaproponowałam.

– Nie trzeba – rzekła. – Poradzę sobie.

Była niecodziennie małomówna. Czy zniknięcie Leny ją tak zmartwiło?

– A jak posuwają się prace nad książką? – zapytałam. – Skończyła pani czytać pamiętnik matki?

– Jeszcze nie. – Odchrząknęła. – Na ten moment nie mam do tego głowy, jak książka będzie gotowa, dam pani znać.

A więc Lena zostawiła pamiętniki, w innym razie staruszka nie omieszkałaby wspomnieć, że zostały jej ukradzione.

– Może mogłabym wpaść do pani? – proponuję. – Mogę też zrobić czasem zakupy po drodze, porozmawiamy o publikacji.

A przy okazji niechcący wyleję kawę na pani cenne dzienniki, dodałam w myślach. Nie mogłam ukraść pamiętników, od razu wiedziałaby, że ja to zrobiłam, co innego ze zniszczeniem ich. Może w ogóle od tego powinnam zacząć, a nie mieszać w to tej całej kłamliwej smarkuli.

– Nie trzeba – ucięła. – Søren o mnie dba. Poza tym na pewno ma pani ważniejsze sprawy na głowie niż robienie zakupów staruszce. Do widzenia.

Rozłączyła się. Było to dziwne, zupełnie niepodobne do niej, ale być może odejście Leny kompletnie wybiło ją z rytmu. Najważniejsze, że nie czyta dzienników, wkrótce zrobię jej niezapowiedzianą wizytę i postaram się zniszczyć te zeszyty.

Dzisiaj nie będę zerkać na programy informacyjne, obiecuję sobie, spoglądając na skąpaną w słońcu werandę. Od tego ciągłego przeglądania newsów dotyczących wypadku roi mi się w głowie od czarnych scenariuszy. Skoro do tej pory nikt mnie nie namierzył, nikt już tego nie zrobi. Mogę być spokojna.

Zauważam, że Anders zabrał ratanowy stolik z werandy, będę musiała kupić nowy komplet wypoczynkowy. Leżący kilka centymetrów ode mnie telefon wibruje na blacie stołu. Dostałam esemesa. Upijam ostatni łyk kawy i odsuwam filiżankę. Biorę telefon do ręki i omal nie dławię się kawą. Treść wiadomości mrozi mi krew w żyłach.

EMIL

22 października 2019
Kopenhaga

– Można prosić pana doktora na ósemkę? – pyta pielęgniarka, zaglądając do dyżurki.

– Ja pójdę – proponuje Martin, wstając z krzesła. – Jutro o dwudziestej, u ciebie – mówi, wymierzając palcem w moją stronę.

– Tak jest. – Unoszę rękę do skroni, udając, że salutuję.

Za chwilę kończę dyżur, a Martin właśnie go zaczyna. Drzwi zamykają się za nim, składam dokumentację do teczki i wstaję. Przeciągam się i głęboko ziewam. Jestem zmęczony, nie marzę o niczym innym, jak tylko o poduszce pod głową.

W ciągu ostatnich kilku dni jeszcze dwa razy byłem na policji, zaniosłem im mój komplet kluczy do mieszkania Sylwii, a potem ponownie przesłuchiwali mnie w sprawie morderstwa. Zadawali szczegółowe pytania dotyczące dnia, w którym to wszystko się zdarzyło. Nie widziałem się wtedy z nią, więc nie bardzo mogłem pomóc. Nie złapali sprawcy i wiem, że każdy dzień ich od tego oddala. Przeszukanie mieszkania, jej laptopa i rzeczy osobistych niewiele wniosło do sprawy. Nie wiem, dlaczego zginęła i kto mógł ją zabić. Nie mogę pozbierać się po jej śmierci, rozstaliśmy się, to prawda, ale to nie zmienia faktu, że darzyłem ją uczuciem, a poza tym nikt nie zasługuje na taką brutalną śmierć. Kto mógł jej tak źle życzyć?

Zerkam na wyświetlacz telefonu, nadal żadnych wiadomości od Leny. Zniknęła tak nagle, jak się pojawiła. Wszystko jest bardzo dziwne, aż wydaje się nierealne. Dlaczego się nie odezwała? To, co się między nami wydarzyło, było szczere, prawdziwe. Czułem to, nie jestem jej obojętny, ale mimo wszystko nie odezwała się, co więcej, wyłączyła telefon. Chwytam aktówkę, gaszę światło i wychodzę z dyżurki. Kieruję się do windy i zjeżdżam na dół. Od dnia, kiedy złożyła mi niespodziewaną wizytę, ilekroć wychodzę ze szpitala, odnoszę wrażenie, że znów ją zobaczę, siedzącą w holu i czekającą na mnie. Drzwi windy otwierają się, korytarz jest pusty.

– Do widzenia – rzucam do recepcjonistki.

Nie patrzy na mnie, przyciska słuchawkę do ucha i coś sprawdza w segregatorze. Na moment unosi głowę i wtedy zakrywa słuchawkę ręką.

– Panie doktorze – mówi. – Proszę poczekać. Mam coś dla pana.

Dla mnie? Podchodzę do lady, kobieta, kontynuując rozmowę, wysuwa szufladę i wyjmuje z niej kartkę. Kolorową pocztówkę z błyszczącym obrazkiem zachodu słońca nad morzem. Wręcza mi ją. Odwracam pocztówkę, zaadresowana jest na moje nazwisko, na adres szpitala. Miejsce, gdzie zazwyczaj wpisuje się pozdrowienia czy życzenia, jest puste. Zerkam na kobietę, rozkłada ręce i wzrusza ramionami. Nadal przyciskając słuchawkę ramieniem do ucha, zaczyna uderzać szybko palcami w klawiaturę komputera. Odwracam się i wychodzę ze szpitala.

Na zewnątrz jest już ciemno, zatrzymuję się przy ulicznej latarni i przyglądam idyllicznemu krajobrazowi – plaża, palmy i fale. Uroczy, wakacyjny kadr. Obracam pocztówkę w dłoniach, puste miejsce po lewej stronie kartki kontrastuje z dużym, drukowanym pismem, którym zapisane jest moje nazwisko i adres szpitala. Przyglądam się znaczkowi. Kartka została wysłana trzy dni temu, na pieczęci widnieje napis: Malaga. I nagle wszystko staje się jasne. Wiem, kto jest nadawcą. To Lena. Nie mam co do tego wątpliwości. Wysłała mi niemą wiadomość. Przekaz, który tylko ja zrozumiem. Przypominam sobie naszą wspólną noc, rozmowy o planach na przyszłość. Wtedy powiedziałem, że chciałbym wyjechać tam, gdzie jest więcej słońca i proszę, oto dowód, że ona już tam jest. Wyjechała do Hiszpanii. Musiała ukryć się przed kimś, kto ją odnalazł. To jej zaproszenie dla mnie. A może pierwsza wiadomość, po której zaczną przychodzić kolejne?

EPILOG

Samolot ląduje z półgodzinnym opóźnieniem. Stewardesa informuje, że temperatura na zewnątrz wynosi dziesięć stopni Celsjusza i jest godzina ósma pięćdziesiąt czasu lokalnego. Prosi o nieopuszczanie miejsc do czasu, aż pozwoli na to sygnalizacja nad fotelami. Samolot zatrzymuje się, pasażerowie sięgają po swoje bagaże i kierują się w stronę wyjścia.

– Dziękuję za wspólny lot – mówi uśmiechnięty staruszek, wyciągając rękę. – Miło było mi pana poznać, panie Andersie.

– Mnie również. Podwieźć pana do centrum? – pyta mężczyzna, ściskając dłoń rozmówcy.

– Dziękuję, nie trzeba, odbierze mnie córka.

Mężczyźni żegnają się, Anders chwyta rączkę walizki i oddala się w stronę parkingu. Mrugają światła, projektant otwiera bagażnik, chowa torbę i wsiada do swojego volvo. Wrócił właśnie z tygodniowego pokazu mody w Nowym Jorku, gdzie jego najnowsza kolekcja została bardzo dobrze przyjęta przez krytyków i obecną na fashion week publiczność. Mimo ogromu gratulacji i ciekawych propozycji biznesowych, które otrzymał, nie opuszczało go złe samopoczucie. Wyrzuty sumienia wierciły dziurę w jego brzuchu, nie pozwalając ani na moment zapomnieć o tym, jak się parszywie zachował.

Jak mógł zostawić tę kobietę przy drodze? Powinien wezwać karetkę, zawiadomić policję, a nie uciec jak tchórz. Nie rozumiał, dlaczego tak postąpił. To nie było w jego stylu. Będąc w Nowym Jorku, śledził tę sprawę w duńskich mediach. Podano tożsamość i wiek dziewczyny, nie znał jej, ale wciąż miał wrażenie, że jej widok na poboczu, przewrócony rower miał w sobie coś znajomego. Od razu to poczuł, w tamtej chwili, gdy znalazł się na miejscu, wiedział, że stało się coś złego i w pewnym sensie ma to z nim związek. Racjonalnie rzecz ujmując, zdawał sobie sprawę, że to niemożliwe, ale jednak to pierwsze wrażenie go nie opuszczało.

Prawdę odkrył dopiero wczoraj, gdy na jakimś portalu informacyjnym przeglądał zdjęcia z wypadku. Nie było na nim ofiary, ale cały teren zdarzenia owszem. Powiększał, przybliżał i nagle wszystko stało się jasne. To Anna ją zabiła. Nie wiedział, kim była dziewczyna i dlaczego została zamordowana, ale wiedział, kto to zrobił. Rower należał do Anny, co prawda w całej Kopenhadze jest mnóstwo takich modeli, ale ten był szcze-

gólny. Obszycie koszyka było jego dziełem. Wzór z jego najnowszej kolekcji, której jeszcze nikomu nie pokazywał. Razem z Anną go uszyli, wykorzystując materiał w neonowe psychodeliczne wzory. Był to próbny wzornik, jedyny na świecie, niepowtarzalny. Nie miał wątpliwości, rower należał do Anny, ale dlaczego jechała na nim obca kobieta? Ukradła go?

Wtedy przypomniał sobie telefon od lakiernika. Gdy Anders wylądował już w Nowym Jorku, tamten zadzwonił z pytaniem o dobór lakieru na zderzak. W pierwszej chwili nie wiedział, czy to nie pomyłka, ale gdy Stefen, właściciel zakładu samochodowego, z którego usług korzystał od lat, nakreślił mu sytuację, zrozumiał, że to Anna miała stłuczkę. Początkowo nie powiązał faktów, ale wczoraj poszczególne puzzle wskoczyły na swoje miejsca. Sprawca uciekł z miejsca, na rowerze są ślady szarej karoserii, a do wypadku doszło niedaleko domu Anny.

Pojechał do niej przed wylotem do Stanów, zabrać resztę swoich rzeczy. Nie zastał jej, ale miał swój klucz. Kilka dni wcześniej się rozstali. Anna uważała, że powodem jest Britta, młoda modelka. Przespał się z nią, nie zaprzeczał, ale zrobił to, bo dowiedział się prawdy o Annie. Przez dwa lata ich związku nigdy jej nie zdradził. Co więcej, chciał się jej oświadczyć, była kobietą, z którą zamierzał spędzić resztę życia. Tak mu się przynajmniej wydawało do dnia, gdy odebrał jej korespondencję. Nigdy nie czytał poczty przychodzącej do niej, zrobił to przez przypadek, a wręcz przez pomyłkę.

Wrócił z którejś z wielu podróży zagranicznych, Anny nie było w domu. Wchodząc, wyjął korespondencję ze skrzynki. Rachunki, reklamy, kilka zaproszeń na spotkania, których głównym gościem miał być on albo ona, otwierał kopertę po kopercie i nagle trach. List, który wywrócił jego życie do góry nogami. Anna była bezpłodna. W kopercie znajdowała się kopia jakichś wyników badań, pełny opis, a wzmianka na dole informowała, że został wysłany z laboratorium w dwóch jednobrzmiących egzemplarzach do niej i do lekarza prowadzącego. Lekarza prowadzącego? Anna takiego miała? Nic mu o tym nie powiedziała.

Wpisał imię i nazwisko lekarza widniejące na dokumencie do wyszukiwarki, a potem zadzwonił do kliniki, w której doktor pracował. Wiedział, że nikt nie udzieli mu informacji, bo na pewno nie był przez Annę do tego upoważniony, ale postanowił dowiedzieć się czegoś, co da mu szerszy ogląd sprawy. Skłamał, że otrzymali z żoną list z laboratorium, ale niestety dostał się w łapy ich niesfornego szczeniaka i nie mogą odczytać wyników.

– Nie mogę podać państwu przez telefon tych danych – powiedziała recepcjonistka.

Początek był taki, jak przypuszczał.

– Rozumiem – odpowiedział. – Chciałem się upewnić, czy druga kopia do państwa już dotarła? I czy będzie podczas wizyty, gdy żona spotka się z doktorem Mortesem – przeczytał nazwisko z kartki, którą trzymał w dłoni.

– Nazwa laboratorium? I numer zlecenia? – rzuciła. – Dokumentacja pana żony jest długa, rozumie pan, że nie jestem w stanie tego znaleźć bez szczegółowych danych.

Długa? Jak długa? Od kiedy to przed nim ukrywała? I co jeszcze? Czy kiedykolwiek była z nim szczera?

– Ale na pewno dotarła – dodała recepcjonistka po chwili. – Dlaczego miałaby nie dotrzeć?

– Racja, dziękuję.

Czym był ich związek? Jednym wielkim kłamstwem? Czy ona w ogóle go kochała? Dlaczego nie powiedziała, że jest bezpłodna? Dlaczego pozwalała snuć fałszywe plany, jak to będzie, gdy ich życie wypełnią dzieci? Nie chodziło o to, że szczególnie zależało mu na byciu ojcem, oczywiście to była miła i kusząca perspektywa, z wszystkimi wadami i zaletami, ale chodziło o sam fakt, że Anna kłamała. Gdyby powiedziała prawdę, byłoby inaczej. Nie zastanawiał się, czy tak naprawdę chce mieć dzieci, ale wiedział jedno: nie chce być z kobietą, która jest kłamczuchą.

Zakleił kopertę, inną otwartą korespondencję spalił w kominku, aby nie pozostał po niej ślad, a list z laboratorium podrzucił razem z ulotkami do skrzynki. Wyczekiwał jej powrotu z pracy. Kiedy szary land rover podjechał pod bramę, stanął w oknie. Wysiadła i podeszła do skrzynki. Wyjęła ulotki, od razu wyrzucając je do śmietnika, a list otworzyła, bacznie zerkając w stronę domu.

Stał na górze w sypialni, schowany za roletą, nie mogła go widzieć. Przeleciała wzrokiem po tekście, a potem schowała list do torebki. Czekał dwa długie tygodnie, by wyjawiła mu swoje tajemnice. Nie zrobiła tego, kilkukrotnie z uśmiechem podejmując konwersację o ich wspaniałej przyszłości z dwójką lub trójką dzieci. Jakiś czas później przespał się z Brittą, może nawet dlatego, żeby dać im powód do rozstania. Nie potrafił powiedzieć Annie prosto w oczy, że odkrył jej kłamstwa. Chciał oszczędzić jej kompromitacji, a może nadal ją kochał? A potem znalazł na poboczu ciało dziewczyny i kiedy zrozumiał, że Anna za tym stoi, nie mógł tego zachować w tajemnicy. Ona zabiła tę kobietę, uciekła z miejsca wypadku, do czego jeszcze jest zdolna?

Wziął telefon do ręki i napisał do niej esemesa. Ważąc każde słowo i każdą emotikonę. Wiedział, że ta informacja zada Annie bolesny cios, ale chciał, żeby cierpiała, tak jak on i tamta kobieta. Nie może tego zostawić, już raz zachował się jak frajer, tym razem nie mógł zawieść siebie, prawda musi ujrzeć światło dzienne.

Odłożył telefon na fotel pasażera, włożył kluczyki do stacyjki i powtórzył w myślach tekst swojego ulubionego Gio Evana: „Czasami musimy nauczyć się fruwać sami, jeśli nie ma nikogo, kto zasługuje na nasze niebo".

KONIEC

OD AUTORA

Wspomniany w książce Instytut Polski w Kopenhadze naprawdę nie istnieje. Stworzyłam go na potrzeby fabuły, zapożyczając nazwę i charakter działalności od instytucji, które działają w innych europejskich miastach, m.in. w Sztokholmie, Berlinie czy Pradze. Wszystkie występujące w książce postacie wspominane w znaczeniu historycznym, jak generał Grabowski czy Marian Szmida, są fikcyjne, samo tło historyczne tamtejszych wydarzeń jest jak najbardziej prawdziwe.

PODZIĘKOWANIA

Chciałabym podziękować wszystkim, którzy pomogli mi w pracy nad niniejszą książką.

Przed wszystkim mojej Siostrze, zaufanej powierniczce i niezastąpionej towarzyszce snucia intryg fabularnych

To podczas naszych rozmów zrodził się pomysł na *Odnalezioną.* Uprzedzam, że jeszcze nie raz skorzystam z Twojego wsparcia!

Mojemu Mężowi za to, że zawsze jesteś, gdy Cię potrzebuję, bez Ciebie wszystko byłoby o wiele trudniejsze. Mojej Mamie za pomoc w ogarnięciu życiowych spraw, gdy mam deadline, oraz moim Synom za ogromne zrozumienie i dopasowanie się do mojego rytmu pracy.

Ogromne wyrazy wdzięczności dla mojego niezawodnego konsultanta i przewodnika po Kopenhadze, pana Romana Miedzianogóry, zwłaszcza za dokładne wskazanie miejsca zbrodni!

Całemu Zespołowi Redakcyjnemu wydawnictwa Edipresse Książki, a przed wszystkim Idze Rembiszewskiej, Natalii Gowin, Renacie Bogiel-Mikołajczyk, za wysiłek i entuzjazm włożony w promocję i prace nad moją książką oraz wspaniałej redaktorce Kasi Wojtas za niezwykłe wyczucie i uważność w pracy nad tekstem.

Na końcu chciałabym podziękować wszystkim moim czytelnikom, niezmiernie mi miło, że czekacie na każdą kolejną moją książkę, to dla mnie bardzo ważne i motywujące! Bibliotekarzom, blogerom książkowym i recenzentom – Wasze zaangażowanie sprawia, że moje książki docierają do kolejnych czytelników, mam u Was ogromny dług wdzięczności. Chętnie też zobaczę się z Wami osobiście. Jeśli chcielibyście, abym pojawiła się w Waszym mieście czy miejscowości, szepnijcie słówko w rejonowej bibliotece, domu kultury, ośrodkach, które umożliwią nam spotkanie. Z góry dziękuję za polecenie mnie w miejscach, do których nie dotrę bez Waszego wsparcia.

Created with Writer2ePub
by Luca Calcinai